



ARCHIWUM  
LEGIONÓW  
i N. K. N.

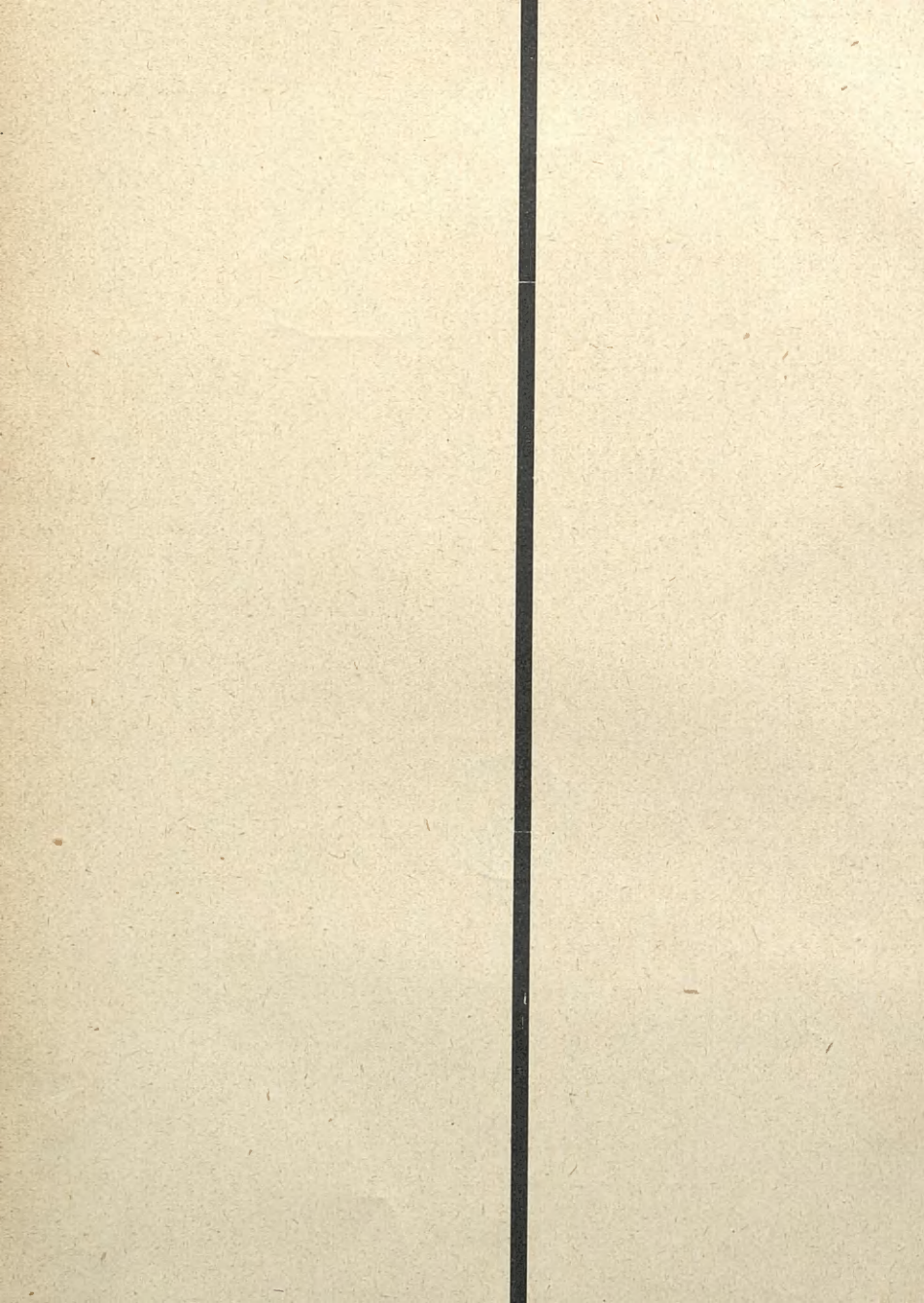
Nr 1673

*Legenda  
Murmarska  
z Chrząstowski*



# LEGENDA MURMAŃSKA





1673

leg. 1421



ZDZISŁAW CHRZĄSTOWSKI

# LEGENDA MURMAŃSKA

W S P O M N I E N I A

Z NIEZNANĄ BALLADĄ EUGENJUSZA MAŁACZEWSKIEGO

I P R Z E D M O W A

Motto:

Odwagi i starajcie się, aby imię  
polskie dobrze dźwięczało

(Z rozkazu dziennego księcia  
Józefa Poniatowskiego pod Lipskiem)

OPRACOWANIE  
GRAFICZNE  
ATELIER  
GIRS—BARCZ  
WARSZAWA

DRUKARNIA  
NARODOWA  
KRAKÓW

NAKŁADEM  
GŁÓWNEJ  
KSIĘGARNI  
WOJSKOWEJ  
WARSZAWA,  
NOWY ŚWIAT 69

*Pamięci  
Eugenjusza Małaczewskiego  
poświęcam*

**N**INIEJSZY ZBIÓR SZKICÓW, OPRACOWA-  
NY NA KANWIE PRAWDZIWYCH ZDA-  
RZEŃ, NIE JEST ANI HISTORJĄ, ANI  
KRONIKĄ, ANI NAWET PAMIĘTNIKIEM W ZNA-  
CZENIU KOMPLETNEGO I CHRONOLOGICZNIE  
UJĘTEGO DZIENNIKA WOJENNEGO. JEST TO  
LITERACKA CHARAKTERYSTYKA LEGENDY  
MURMAŃSKIEJ. SZMAT ŻYCIA W PRYZMACIE  
TWÓRCZOŚCI. PULSOWANIE KRWI I INSTYNK-  
TÓW LUDZKICH, TYGIEL IDEAŁÓW, PŁONĄ-  
CYCH, JAK ŻAGWIE, I DZIEJE MŁODZIEŃCZEGO  
ANIMUSZU MURMAŃCZYKÓW.

PIÓRO I KARABIN



# P

o jutrze wyruszamy z Archangielska na front. Kompanja kapitana Sołodkowskiego szykuje się w drogę.

Tworzymy coś w rodzaju legji oficerskiej, gdyż co drugi żołnierz jest oficerem.

Koledzy moi są przemili. Natomiast jest jeden, który mi się mniej podoba. Zaledwie wszedłem na salę i przywitałem się serdecznie ze wszystkimi, podporucznik ów usiadł w kącie z ołówkiem w ręku i, obserwując mnie z pod oka, zaczął coś notować. Za chwilę usłyszałem pod swoim adresem całe wierszowane przemówienie, z którego została mi w pamięci tylko pierwsza, najmniej złośliwa zwrotka:

Jest taki srogi kawalerzysta;  
Daj mu ostrogi — zębami błyska...

Przerywam złośliwą improwizację i spokojnie narazie zapytuję:

— Co pan wygaduje! Czy to do mnie?

— Uderz w stół — nożyce się odezwą — odpowiada autor.

— Jakie nożyce? — pytam nieopatrznie.

— Ano krzywe, wiadomo — kawaleryjskie. Czy kawalerzysta może mieć proste nogi? Znacie, koledzy, wierszyk legjonowy:

„Lampasami błyszczą krzywe nogi,  
O okopy tłuką się ostrogi...  
Czyście kiedy w polu ich widzieli?”

Tu już poczułem, że mnie porywa nie tyle szewska, ile kawaleryjska pasja. Ulżyłem też sobie jakimś siarczystym powiedzonkiem i tak, od słowa do słowa, omal nie doszło do awantury. Wszyscy koledzy zaczęli nas uspokajać.

— Czemu się malowane dziecko obraża? Nawet Mickiewicz nazwał kawalerję „stadem gilów, siewek“...

— A wy, chcecie, żebym, wlaższy między wrony, krakał, jak i one? Nie wiedziałem, że z was wszystkich — wrony!

Tu obraził się śmiertelnie autor wiersza. Wrony — co za wyrażenie! I rzeczywiście — było za co się oburzyć. Przecież w kilka miesięcy potem naczelnny wódz wojsk koalicyjnych na Murmanie, generał Ironside, nazwał w swym rozkazie kompanję kapitana Sołdkowskiego „lwami północy“.

Zanosilo się na awanturę.

Nagle do naszych przygodnych koszar wszedł dowódca kompanji kapitan Sołdkowski. Ktoś skomenderował „baczność!“. Stoimy oto wyprężeni przed zwierzchnikiem.

— Co to za hałasy? Czego pan chce od podporucznika? — rzekł, zwracając się do mnie, bo zauważył moją agresywną postawę.

Nie chciałem skarżyć się na kolegę, obiecując



sobie, że potem sam sobie wymierzę należyłą satysfakcję. Kapitan jednak domyślił się, o co chodzi.

— Niech pan się na niego nie obraża; codziennie jest to samo, tylko coraz to z kim innym. On musi każdemu przypiąć łatkę, ale przekona się pan, że to wszystko tylko na języku. W rzeczywistości — to setny chłop i dobry kolega. Pogódźcie się zaraz!

Autor wierszyka podbiegł do mnie z otwartymi ramionami.

— Brawo, ułan! Rozsierdził się i stanął dęba, jak koń, którego zostawił gdzieś w Bobrujsku. Niech da gęby!

Ucałowaliśmy się, a kapitan skierował się ku wyjściu. Za ledwie drzwi się za nim zamknęły, jak mój nowy przyjaciel krzyknął:

— Wiara! Posłuchajcie teraz coś nowego!

— Znowu o poruczniku Chrząstowskim?

— Nie, o naszym kapitanie.

Ciżba żołnierzy umilkła, obiecując sobie nową zabawę.

Porucznik wskoczył na stół i począł recytować z zacięciem i swadą:

Są młode bogi, co przez życie  
Przechodzą lekko, gładko  
I, jak motyle, trzęsą skrzydłem  
Nad panną i mężatką...

— Skąd ty to wiesz o nim? — ryknął jakiś głos z drugiego końca sali.

— Znamy się jeszcze z Podola, jak łyse konie!

Salwy śmiechu i mniej lub więcej sprośne komentarze raz wraz przerywały autorowi ten zaimprovizowany kabaret. W koszarach było huczno i gwarno. Wreszcie, gdy się trochę uciszyło, postanowiłem dowiedzieć się kto to taki, i spytałem o niego swego najbliższego sąsiada.

— O, to cięte pióro, ale i karabin niegorszy: podporucznik Eugenjusz Małaczewski.

NIEMA GUMY – NIEMA WOJNY

# P

*Polish soldier dobra* (polski żołnierz dobry) — rzekł mi z przekonaniem szeregowiec angielskiej piechoty, ćmiąc nieodstępną fajeczkę. Był to rosły, tęgi, zdrowy, rudowłosy chłop, o dobrodusznej, rumianej, kwadratowej twarzy, ruchach powolnych, lecz pewnych siebie, umundurowany i wygolony bez zarzutu, a, mimo wszystko, wyglądający na przebranego po wojskowemu stuprocentowego cywila.

Rozmawiał ze mną w narzeczu, które stanowiło dziwną mieszaninę słów angielskich, francuskich i rosyjskich. Ze swej strony posługiwałem się francuszczyzną (też nie najczystsza); był to żołnierz, przybyły z frontu francuskiego, i cośniecoś po francusku rozumiał.

Jego opinia o Polakach była mi bardzo przyjemna. Przyjąłem ją, jako rzecz naturalną, ale spytałem, gdzie się z Polakami w boju zapoznał.

— Nie zapoznałem się jeszcze nigdzie, ale dużo słyszałem. Wysadzili nas na łąd z transportowca „Stefan“ (czytaj: Stifen), abyśmy zdobyli Archan-gielsk. Ale Polacy nas uprzedzili, i kiedy wysiedliśmy na łąd, miasto już było zdobyte. Takie duże miasto! A były tu przecie podobno dwa pułki bolszewickiej piechoty...

Anglik nie był poinformowany dokładnie. Miasto

nie było zdobyte z zewnątrz, lecz poddało się Anglikom wskutek przewrotu wewnętrznego, który się dokonał w nocy z 1-go na 2-gi sierpnia. Przewrotu dokonała kompanja rosyjskich białogwardzistów z pomocą kompanji polskiej kapitana Sołodkowskiego. Polacy rzeczywiście odegrali główną rolę w tem powstaniu i rozbrojeniu bolszewickiego garnizonu, i stąd powszechna opinja: „Polish soldier dobra“. Co do garnizonu bolszewickiego w mieście — pułki były o stanach lilipucich, a część urzędów i oddziałów bolszewickich została ewakuowana jeszcze w przeddzień przewrotu. Niemniej, jak na siły dwu szczupłych kompanij, które wyrosły, jak z pod ziemi, i wystąpiły do boju z bolszewikami, zaledwie doraźnie zorganizowane i bardzo lichy uzbrojone — był to czyn bojowy nadzwyczaj efektowny.

Powiedziałem Anglikowi, że osobiście nie brałem udziału w tej akcji, gdyż przybyłem do miasta dopiero nazajutrz. Powiedziałem też, że, jakkolwiek faktycznie pełnię służbę szeregowca, jestem jednak porucznikiem.

— Więc pan jest zdegradowany?

— Nie.

— Więc dlaczego tak jest?

— Dlatego, że u nas za mało jest szeregowców w stosunku do ilości oficerów.

— To wtedy wcale nie trzeba służyć. Przecież panu się należy i inna gaża, i inny mundur, i inny tryb życia. A co się należy — to musi się zawsze dostać; inaczej się nie wojuje.



— Jaktó! A jeżeli narazie inaczej nie można?

— Jak nie można, to się nie wojuje. Co się należy, to musi być dostarczone — powtórzył z uporem Anglik, biorąc się do żucia gumy, która mu się „należała“.

— A gdyby panu nie dostarczyli tej gumy, czy panby też powiedział: — Szlus! Niema gumy — niema wojny?

— Guma zawsze będzie — wycedził lakonicznie Anglik z głębokim przekonaniem w głosie.

— No, a jednak, gdyby kiedykolwiek zabrakło? Przecież guma jest niezbędniejsza do samochodów wojskowych, niż do żucia...

— W Anglii nigdy niczego nie zabraknie — odparł z dumą Anglik.

Nie można było go doprowadzić do logicznego wniosku z tego „cywilnego“ założenia. Odniosłem jednak wrażenie, że wniosek ten byłby równie cywilny, jak ruchy Anglika i jego zapatrywania.

Z tem wszystkim, Anglik — jak zresztą wszyscy jego koledzy — był bardzo sympatyczny. Chcąc mu się czem odwdzińczyć za komplement, który usłyszałem od niego na wstępie rozmowy, powiedziałem:

— *English gom dobra* — wszelki towar angielski jest dobry.

— *O yes!* — Anglik kiwnął potakująco głową, nie przerywając żucia gummy, widać było po nim, że był to dla niego najmiłszy komplement.

— Dobry kupiec — pomyślałem — i dobry obywatel swego kraju. Czy dobry żołnierz — zobaczymy.



M A Ł A C Z E W S K I,  
J A K O W R Ó Ź I Z N A C H O R



**N**igdyś mi, Geniu, nie opowiedział, w jaki sposób dostałeś się do Archangielska. Opowiedz mi to teraz!

— Dobra! Otóż wpierw odsiedziało się we wszystkich więzieniach miejskich, jakie są po drodze od Jarosławla do Archangielska. Spacerowało się po ulicy pod widelcami...

— Niby pod bagnetami?

— No, tak. Było się pod sądem wojennym, sądem polowym... Poznało się całą, rzeczywiście bardzo mądrą i sprężystą, administrację policyjną Sowietów... Było się wkońcu skazanym na rozstrzelanie...

— O, psiakrew! — wtrąciłem.

— Ale kręctwo — ciągnął poeta — któremu przypatrzyłem się zamłodu w kancelarjach adwokackich, wybawiło mnie z tych opresyj. Umiałem się bronić słowem — gdy chodzi o własne gardło, człek przemawia okrutnie przekonywająco — gdzie to nie pomagało, przetrąciło się kogoś jego własną kolbą — i jazda dalej na północ, śladem Hallera, gdzie Polarna gwiazda świeci. Tak wreszcie w połowie lipca dotarłem do Archangielska.

— To o jakieś trzy tygodnie wcześniej ode mnie?

— Tak. I stałem nad Białym morzem z głupią

miną, nie wiedząc, co robić dalej. Bo pieniędzy nie miałem ani grosza, od dwu dni nic nie jadłem, a w mieście ogłoszono stan oblężenia.

— A cóż francuskie poselstwo, czy konsulat?

— Do misji francuskiej nie było po co chodzić, bo w jeszcze gorszej, niż ja, była sytuacji: siedziała za kratą. Zacząłem sobie tedy radzić kradzieżą mleka od krów, pasących się po moczarach dookoła Archangielska...

— Ha-ha-ha! Cóżbym za to dał, gdybym mógł cię wówczas widzieć!

— ...i żebraniną po wsiach u chłopów. Teraz to śmieszne, ale wtedy!... Przy odpowiednim sprycie można było użebrać na dzień funt owsianego chleba. Potem ukradłem talję kart i zacząłem ludziom wróżyć.

— Eugenjusz Małaczewski, poeta (*in spe*), jako wróż i znachor — to doskonale! Że też nikt cię wówczas nie sfotografował! Więc wróżyłeś czubarykom z kart?

— Również i z ręki. Wtedy byt mój poprawił się. Sypiałem jedynie kiepsko, bo koło rzeki w sitowiu, gdzie mnie zagryzały na śmierć komary.

— Wyobrażam sobie. Komary tutaj tną niemal przez ubranie.

— Po paru tygodniach poznałem kilku takich samych, jak ja, włóczęgów, śpiących w błotach, w bagnach, w nadrzecznym sitowiu. Po akcencie ich mowy rosyjskiej poznałem, że to Polacy. Długo do tego



nie przyznawali się, dopókim nie spotkał wśród nich mego ciotecznego brata.

— Porucznika Hoffnera?

— Jego we własnej osobie. Owóz ten mnie wprowadził do ich koła. Była to organizacja pod dowództwem kapitana z pod Kaniowa, niejakiego Sołodkowskiego, dobrze nam teraz znanego z dyżurów karnych, które raz wraz wlepia za nieporządek przy apelu mundurowym. Tułaliśmy się, już razem, jeszcze z jakiś tydzień, do „bosiaków“ ostatniego rzędu podobni, nie goleni, nie myci...

— No, i wiecznie głodni zapewne?

— Mało: głodni — umierający z głodu... Było nas z początku czterdziestu trzech, lecz jeden wkońcu umarł z wycieńczenia, drugi zwarjował i skoczył do rzeki, trzeci zaś okazał się prowokatorem i zadenuncjował.

— To już gorzej!

— Marynarze zrobili w nocy obławę; sześciu złapano. Osadzono ich w więzieniu, skazano na rozstrzelanie. Wyrok miał być wykonany 1-go sierpnia z rana. Anglicy byli jeszcze o dwieście kilometrów od Archangielska. Dla uratowania skazanych, kapitan nasz zdobył się na krok rozpaczliwy...

— Brawo Sołodkowski! — wtrąciłem.

— O świcie 1-go sierpnia...

— 1-go sierpnia — przerwałem Małaczewskiemu — podjechałem do Archangielska Dźwiną i zostałem aresztowany na statku.

— Nie przeszkadzaj! O świcie 1-go sierpnia na-

padliśmy na wartość bolszewicką, wyrznęliśmy ją pochichu, zawiadnęliśmy ośmiu karabinami. W trzydziestu czterech chłopą z tą bronią...

— Więc dwudziestu sześciu poszło z gołemi rękami?

— Tak. Mówię przecie: w trzydziestu czterech chłopą z tą bronią zrobiliśmy napad na więzienie; tam zdobyliśmy resztę karabinów potrzebnych, odbiliśmy naszych kolegów i jakąś białą gwardję, też uwięzioną, która się do nas przyłączyła. Było nas już więc nie czterdziestu, ale cała setka. Awantura się wszczęła w mieście straszna. Panikę bolszewików zwiększył hydroplan angielski, latający nad miastem. Rozpoczął się rozpaczliwy odwrót Łotyszów, z Archangielska Dźwiną w głąb Rosji. Mieli tylko czas wsiąść na statki rzeczne, aby uciec...

— Spotkałem uciekające statki 2-go sierpnia...

— Trochę ich napsuliśmy. Około ośmiuset marynarzy, w tem — wielu znacznych komisarzy, rozbiliśmy, i wtedy oni poszli do więzienia. W południe miasto było w naszych rękach. Dopiero wieczorem zaczęła się do nas złazić zgnębiona moskiewska inteligencja i, widząc, że bolszewików już naprawdę w mieście niema, poczęła się zgłaszać na ochotnika do białej gwardji. W dwa dni potem przyszli Anglicy i Francuzi.

— A co dalej?

— Dalej — to już wiesz. Potem znów przyjechałeś ty i pokłóciliśmy się nazabój o ten wiersz: „Jest taki srogi kawalerzysta“...

— Ach, tak! Ale teraz, to jużbym się nigdy na ciebie nie pogniewał — zwłaszcza za wiersz...

— Nigdy? Nawet gdybym napisał coś złośliwego?

— Przeciwnie: byłbym bardzo rad, gdybyś coś o mnie napisał, choćby to miała być satyra.

— Musisz poczekać; na kolejce są teraz inni koledzy. Chyba, że się nadarzy jaka okazja.

WARCZOLSTWO NA UWIĘZI



**K**arabiny mieliśmy rosyjskie i japońskie, żołd—francuski, mundury—angielskie, orzełki i serca—polskie. I polską komendę. Czuliśmy też na sobie oczy otaczających nas żołnierzy angielskich, szkockich, kanadyjskich, francuskich, rosyjskich — a potem jeszcze amerykańskich, włoskich i serbskich. Nic dziwnego, że każdy czuł się potrosze reprezentantem „polish soldiers’ów“, „des braves Polonais“ i „polskich legjonierów“, jak nas nazywała ta szczupła, lecz wielojęzyczna armja na Murmanie. Dlatego oddziały polskie na froncie archangielskim, a zwłaszcza oddziały rotmistrza Horawskiego, kapitana Świąteckiego i kapitana Sołodkowskiego cechowała postawa, służbistość i bitność najwyższej klasy. Żołnierz nie tylko świetnie się bił, ale bił się z gestem. To mu wyrobiło renomę we wszystkich oddziałach cudzoziemskich, a przez to — we wszystkich krajach koalicji.

Zanim jednak kompanja nasza wyruszyła na front, spędziliśmy parę dni w Archangielsku.

Uderzało mnie wspaniałe wyekwipowanie i wyżywienie angielskiego żołnierza. Niepodobna zjeść wszystkiego, co zawiera zwykła racja żołnierska. Czego tam nie było! Od treściwych konserw do czekolady, konfitur i australijskich *jamów*. Podobno

gust człowieka zmienia się co siedm lat. Ja nie chciałem brać do ust konfitur przez lat siedmnaście. A teraz jakoś nagle nabrałem do nich apetytu. Może zaostrzyła go podróż przez Rosję, bo gdyśmy się wyrwali z szponów naszych „przyjaciół“, wyglądaliliśmy, jak głodomory.

*Jam* nasuwa mi wspomnienie domu rodzinnego i dziecięcych lat, kiedy to pierwszy raz wystąpiłem do walki na śmierć i życie ze starszą siostrzyczką. Powodem był spodek konfitur, które siostra prowokacyjnie przyniosła do mojego pokoju i prowokacyjnie zaczęła jeść w moich oczach. Łajdak ze mnie: nie lubiłem konfitur, a jednak biłem się o nie. A może to chodziło tylko o pretekst? W każdym razie, skrzywdziwszy w bójce starszą o pięć lat siostrę, wspaniałomyślnie darowałem jej potłuczony spodek. Lepka ciecz okleiła mi w ogniu walki ręce i twarz, i może dlatego straciłem gust do konfitur na tak długo.

Tak czy inaczej, ale pożerałem niesamowite ilości *jam*'u, nie tylko z mojej racji żołnierskiej, ale i z racji Małaczewskiego, który słodczy nie lubił.

---

Niebawem wydano mi, jak i wszystkim nowoprzybyłym, plecak, chlebak, pasy i ładownice na półtorej setki naboju karabinowych. Prócz czapki angielskiej, którą dostałem przedtem, otrzymałem również angielski hełm stalowy. Wszystko to razem było bardzo ciężkie, zwłaszcza dla mnie, ponieważ, jako kawalerzysta i oficer, nigdy na sobie nic takiego nie dźwigałem.

Po południu tegoż dnia dowódca kompanji zarządził ćwiczenia w szyku zwartym. Stanęliśmy tedy w dwuszeregu i ćwiczyliśmy na komendę sierżanta-szefa chwyty bronią, zwroty, maszerowanie i t. p.

Szkolenie było niezbędne ze względu na to, że tutaj, podobnie, jak w legjonach, skąd przybyła większość starsziny, musztrę opierano na regulaminie niemieckim, którego zupełnie nie znali przybyli z armij innych. Nie mogli też znać regulaminu piechoty oficerowie i żołnierze kawalerji, artylerji i innych broni, którzy wraz ze mną byli wcieleni do kompanji. Mimo tak oczywistych konieczności, ten punkt programu był dla mnie, jako kawalerzysty, najcięższy. Niedosć, że człowiek wdział na siebie mundur szeregowca, niedosć, że przeszedł do piechoty po kilkoletniej służbie jezdnej, jeszcze mu każą ćwiczyć „Na ramię broń!“, „Do nogi broń!“, a za byle uchybienie poprawiają ostro i obcesowo, jak rekruta. I kto to tak się ciska? Sierżant-szef kompanji, młodszy ode mnie rangą, nominalnie bowiem zachowaliśmy swoje rangi, bez względu na rzeczywiste stanowiska. Czuję, że wzbiera we mnie tak zwana cholera, a wiadomo, że polska cholera jest groźniejsza od każdej innej. Hamowałem się wprawdzie i zewnątrznie starałem się wszystko wykonać jak najlepiej, ale co się działo wewnątrz! W pewnej chwili zdałem sobie sprawę, że trudniej mi znieść przed sobą dziś sierżanta-Polaka, niż komisarza bolszewickiego wczoraj na bolszewickim statku; to mnie zawstydziło i przywróciło do przytomności.

Podczas przerwy dałem temu wyraz w rozmowach z kolegami. Zdania były podzielone. Jedni „psioczyli“ na ćwiczenia, drudzy „byli za dyscypliną“. Zaledwie zaczęła się dyskusja o dyscyplinie w gronie kolegów, stanąłem z pasją w jej obronie. Niekonsekwencja? — trudno! Ileż to razy w życiu bywamy niekonsekwentni! Jasne jest, że wojsko bez dyscypliny — to nonsens, tylko łatwo teoretyzować o dyscyplinie, ale trudno wcielać ją w życie. Komu trudno, niech się z tem przynajmniej nie zdradza, jak nie zdradza się z uczuciem strachu, które opada na polu bitwy. Cóż stąd, że jednemu nie podobają się sierżant, drugiemu — niemiecki regulamin, trzeciemu — że to już za późno na ćwiczenia i jeść się chce, czwartemu — że właśnie za wcześnie, piątemu — jeszcze coś, i tak każdy może mieć to lub owo do zarzucenia.

Zarzuty wytacza tylko warchoł i malkontent. Dobry żołnierz nie ma nic do zarzucenia, a wszystko — do poświęcenia; każda nowa ofiara jest nowym tytułem do chluby. W imię tych samych impulsów moralnych, dla których trzeba rzucić na szalę niebezpieczeństwa swoje życie, trzeba też rzucić w kuźnię dyscypliny swoje *ja*. Bo dyscyplina jest kuźnią, w której się wykuwa potęgą zbiorowa oddziałość. Jest to kuźnia, w której charaktery rozżarzają się czasem do białości, aby później tem silniej i tem ściślej spoić się w jedną całość z szeregiem. Wojsko zdyscyplinowane — to łańcuch, w którym każde ogniwo raczej samo pęknie, niż się oderwie od ogniwa sąsied-

niego. Wojsko bez dyscypliny — to szereg liści, lecących za lada podmuchem, każdy w swoją stronę. Taki był mój pogląd. A inni? Najbardziej uderzył mnie pogląd Małaczewskiego, ujęty w wierszu:

Polska powstanie wtedy  
Ze swojej krzywdy i biedy,  
Jak własnej mocy wskrzesiciel,  
Krwi drogiej strojna koralem —  
Gdy każdy kiepski marzyciel  
Zostanie dobrym kapralem!

To też trzeba przyznać, że mimo wybujałego indywidualizmu, jakim się odznaczyli awanturnicy i zapaleńcy w oddziałach murmańskich, nastroje odśrodkowe nigdy nie dochodziły do głosu, i dyscyplina była dla wszystkich świętem „tabu“.

S E X - A P P E A L

Szóstego sierpnia rozpoczęła się ofensywa aljantów. Odjechaliśmy z Archangielska na statkach ku południowi po Dźwinie Północnej, a więc tym samym szlakiem, którym kilka dni temu w odwrotnym kierunku przedzierałem się do Archangielska w przebraniu.

Spozierając teraz na te same brzegi, przeżywałem te same wrażenia, co i wówczas. Oto sosenka na wzgórzu, którą podejrzewałem o zły zamiar użyczenia mi swej gałęzi na szubienicę. Teraz wydaje się to zabawne i zajmujące. Wówczas — wydawało się kozmarem. Tak się zmieniają okoliczności i nastroje, a wraz z nimi — i cały świat, który nas otacza. Ten sam północny posępny krajobraz, powleczony wówczas smętkiem, niby kirem czy całunem, wydaje mi się dzisiaj roześmianą w słońcu egzotyczną bajką.

Bo trzeba wiedzieć, że słońce praży. Słońce? pod sześćdziesiątym piątym stopniem szerokości, czyli na wysokości Grenlandji, może jeszcze prażyć słońce? Otóż tak! Jest to dla mnie nielada rewelacja. Niema tu wiecznej nocy, niema jeszcze reniferów i tundry, niema nawet mrozów. Jest natomiast wcale niezły upał — około trzydziestu stopni.

Dopytuję o przyczynę tego wszystkiego. Otóż północne brzegi Murmanu, aczkolwiek oddzielone od

bieguna jedynie oceanem Lodowatym, posiadają świetne centralne ogrzewanie w postaci ciepłego prądu morskiego Golsztremu, który dociera aż do tak zwanego gardła Białego morza, czyli połączenia morza z oceanem. Następnie, leżący w pobliżu morza Archangielsk, jest już poza właściwym Murmanem, nieco na południe od niego, i ma klimat bardziej kontynentalny. A więc, o ile zimą mrozy dochodzą w głębi gubernji archangielskiej do czterdziestu kilku stopni i więcej, o tyle latem są tu upały. Jesieni i wiosny prawie niema; przejście od gorąca do zimna i odwrotnie — bardzo raptowne.

Ponieważ mamy dopiero sierpień, więc jest jeszcze upalne lato.

Brzegi rzeki są naogół suche. W głębi poza niemi ciągną się podobno niezmierzone obszary błot i podmokłych lasów, ale tu, na rzece, jedynym zwiastunem topielisk są miljarde dokuczliwych komarów.

Co do borów, to ciągną się one po obu brzegach rzeki, a jedynie osiedla stanowią nieliczne wyspy w tym oceanie drzew. Podobno główny kompleks leśny, pokrywający lwią część archangielskiej i wołogodzkiej gubernji, zajmuje bagatelę — mniej więcej tyleż kilometrów kwadratowych, co cała Rzesza Niemiecka. Istna tajga syberyjska.

Dziwom przyrody sekunduja dziwy, a raczej dziwolągi taktyki w tej egzotycznej wojnie, czy też wojence, jakby ją raczej należało nazwać ze względu na szczupłe siły nasze i przeciwników. Po Dźwinie wiozą nas na południe statki małej flotylli, trakto-

wane nie jako transportowce rzeczne, lecz jako jednostki bojowe, przeznaczone do walki na rzece. Jeździemy środkiem rzeki już od dłuższego czasu ze znaczną szybkością bez zatrzymania, a tymczasem na lądzie, na brzegach niema absolutnie żadnego oddziału. Niema nawet ani jednego patrolu. Piechota na statkach nie tyle przeznaczona jest do wysadzenia na ląd, ile traktowana jako załoga statków. Wskazuje na to rozkaz znoszenia na jednej z przystani worków z piaskiem i tworzenia z nich na pokładzie szańców, z poza których mamy prażyć nieprzyjaciela z karabinów. Jest to taktyka dawnych korsarzy, napadających na okręty handlowe, taktyka tak zwanej morskiej piechoty. Nowoczesna flotylla powinna walczyć przede wszystkim działami. Niestety, pokłady naszych lekkich pasażerskich statków są tak słabe, że nie można było zainstalować na nich działek kalibru większego niż 37 milimetrów. W całej flotylli nie było nawet ani jednego zwykłego polowego działa, boby się zapadło przy pierwszym strzale, rozwalając pokład. Wskutek tego możemy być skazani na zagładę przy spotkaniu choćby z takim morskim *trawlerem*, który w moich oczach wycofywał się w dniu 1-ym sierpnia z Archangielska w górę rzeki i miał cięższą artylerję. Z drugiej strony dość ustawić i zamaskować na brzegu jedną baterję polową i w odpowiednim momencie rozpocząć znienacka ogień armatni, aby zatopić całą naszą armadę. Dla każdego fachowca jest jasne, że taka flotylla nadaje się jedynie do współdziałania z wojskiem, bi-



jącem się na obu brzegach, lecz właściwie nie mogłyby angażować się w bitwę sama, i to bez rozpoznania brzegów.

Na szczęście, bolszewicy myśleli, zdaje się, tylko o ucieczce i nie zdobyli się nietylko na zasadzkę, ale nawet na jaką taką straż tylną i utrzymywanie styczności bojowej z aljantami. Poprostu odsadzili się odrazu na wiele dziesiątków kilometrów, pozostawiając poza sobą taktyczną próżnię.

Dzięki tej próżni, jesteśmy już od pięciu dni, to jest od opanowania Archangielska, bez tak zwanego „kontaktu z nieprzyjacielem“. Niewiadomo, czemu się więcej dziwić: czy ucieczce bolszewików, czy też brakowi pościgu i zaniedbaniu rozpoznania ze strony aljan-

tów. Od pięciu dni dajemy nieprzyjacielowi czas i możność zorganizowania przeciwakcji, a sami nie mamy o nim żadnych wiadomości.

Ten grzech śmiertelny przeciw kanonom taktyki nie jest dobrą wróżbą na przyszłość.

Gawędzimy na ten temat z podporucznikami Sosnowskim i Rafalskim, ale rozmawiamy półgłosem, aby nie słyszeli nas szeregowi; poco podważać w nich autorytet dowództwa? O ileż łatwiej żołnierzowi zdobywać się na żołnierski wysiłek, gdy posiada wiarę w dowództwo! Więc dajmy pokój krytyce. Czy nie lepiej zaśpiewać „Husia-siusia“ albo „A u naszych weteranów“? Zebrałem tedy wałęsających się po pokładzie weteranów Kaniowa i Bobrujska, a Małaczewski, który miał niezły głos i lubił we wszystkim rej wodzić, zaraz objął pierwszy głos i rolę tak zwanego „zapiewały“ chóru.

Rozprężyliśmy tedy gardziele i ożywił się echem śpiewu okoliczne knieje i ostępy. Po raz pierwszy bodaj od pra-wieków sędziwa puszcza archangielska usłyszała nadwiślańską piosenkę. Ponieważ nasz statek z polską załogą płynął w straży przedniej, niebawem zobaczyliśmy na dziobach statków, zdążających za nami, grupy ciekawych *englishmanów* i francuskich *poilus*. Przyglądali się z zaciekawieniem „Wiatce“ — tak się nazywał nasz korab — i stali zasłuchani w nieznane dla nich melodje, mimo, że nie rozumieli, rzecz prosta, ani słowa. Ważny jednak był temperament chóru i znamienne zacięcie, w którym, jak w lustrze, odbijała się duchowa fizjonomja

polskiego oddziału. Wiadomo zaś, że żołnierz żołnierza zawsze najlepiej zrozumie, choćby był innej narodowości, wiary, mowy i usposobienia.

Repertuar nasz był bardzo obfity i różnorodny. Były pieśni górne i mocarne, były wesołe i frywolne. Wkońcu zeszedliśmy na takie tory, że sarenki borów okolicznych musiały chyba pouciekać wstydliwie, pozostawiając nad brzegiem rzeki co starszych i obleśniejszych kozłów.

Niebawem jednak poczuliśmy w powietrzu wilgoć i chłód, pierwsze jaskółki zbliżającej się nocy, bo noce w tym kraju są zimne, nawet latem. Słońce zaszło, i wieczór szybko się zbliżał. Powoli wiara rozchodziła się po pokładzie lub znikwała w czeluściach kajut.

Na rufie, gdzie leżałem w dalszym ciągu, podziwiając przyrodę, opustoszało zupełnie.

Zapadała noc.

Nagle zobaczyłem na pokładzie dziewczynę. Stała do mnie prawie tyłem, tak że nie widziałem twarzy. Widziałem zato wąskie ramiona, wciętą talję i zarys lewej, przeżęcej się za każdym oddechem stromej piersi. Koroną były dwie smukłe nóżki. Wprawne oko spostrzegło, a raczej odgadło, że to kwiat jeszcze zupełnie świeży. Już czuję, że szybciej sunie naprzód statek; energiczniej poruszają się jego koła i silniej pulsują jego maszyny. Lecz co się dzieje ze mną samym?... Zresztą mniejsza o to, ciekawe natomiast, skąd u djaska, między nami ta podwika? i to jeszcze taka? Aha! Pewno bufetowa; przecież cała

cywilna obsługa została. Dziewczyna nie patrzyła na mnie i nie mówiła nic, lecz falista linja jej ciała, rysująca się pod skromną sukienką, wołała do mnie w ciszy nocnej wielkim głosem *sex-appealu*...

...Czy nie było oporu? Owszem: opór fali, którą pruć zwycięsko dziób naszego statku...

Nazajutrz Małaczewski napisał nowy wiersz pod tytułem „Ułan i dziewczyna“, niestety — nie nadający się do powtórzenia.

W istocie trudno było o dyskrecję na tak małym stateczku, wypełnionym przez zawsze głodnych wszelkiej erotyki żołnierzy.

Odtąd czarnooka Wieroczka miała wielkie trudności z pogodzeniem swego kobiecego sromu z przemożnym głosem serca czy też krwi.

PIASKARZE I PYSKACZE

# P

o kilkunastugodzinnej podróży stanęliśmy wreszcie przy brzegu, opodal dużej wioski, którą widać na wzgórzu o jakiś kilometr od rzeki. Nasz statek stanął pierwszy; tuż za nim o kilkadziesiąt kroków — statek francuski, dalej — angielski, wreszcie — rosyjski. Ogółem liczebność naszego oddziału nie przewyższa trzystu karabinów i dwudziestu karabinów maszynowych, oraz trzech czy czterech działek 37 mm.

Jak się teraz okazało, dotychczasowy ruch naszej flotylli był jednak poprzedzony rozpoznaniem przez motorówkę rosyjską, tę samą, której zawdzięczałem w dniu 2-gim sierpnia swe ocalenie, gdy byłem areztowany na statku bolszewickim, a owa motorówka wzięła statek do niewoli.

Dzisiaj motorówka wróciła z rozpoznania i przywiozła jakieś wiadomości. Jakie to były wiadomości — nie wiedział nikt, nawet dowódca naszej kompanji, który był zarazem komendantem „Wiatki“, mając do pomocy dawnego jej cywilnego kapitana i cywilnych marynarzy.

Niebawem na brzeg ku wiosce poszły pierwsze piesze patrole ze składu rosyjskiej kompanji, a nam kazano znów nosić worki z piaskiem i fortyfikować nasz „pancernik“. Musiałem przytem pomagać Mała-

czewskiemu, który nie odznaczał się siłą fizyczną i ugiął się pod ciężarem.

Pracowaliśmy tak w pocie czoła kilka godzin, i niewiadomo, jak długo toby jeszcze trwało, gdyby nie meldunek kapitana statku, iż „Wiatka“ już tak się zanurzyła, że więcej przeladowywać jej nie można. Zato na pokładzie urosły potężne przedpiersia i blindaż, zresztą do strzelania jedynie z pozycji leżącej. Prócz tego, zbudowaliśmy pierwszorzędne gniazdo dla jedyne go naszego karabina maszynowego. Pracowaliśmy przy tem wszyscy, z oficerami włącznie, z wyjątkiem podporucznika Kazimierza Wróblewskiego, który jest jednorękim inwalidą wojennym. Wprawdzie i Wróblewski chciał również nosić piasek, ale jedyną ręką nie mógł sobie zarzucić worka na plecy, a my znów nie chcieliśmy mu w tem pomagać, uważając, że nie powinien pracować. Miał za to wielki żal do nas, jak gdybyśmy mu wyrządzili największą krzywdę. Przykład ten tak podziałał na ambitnego słabeusza Małaczewskiego, że nie przyjmował żadnej pomocy przy dalszej robocie. Niebora k zziąjął się i spocił, jak nieboskie stworzenie, ale robił może więcej, niż inni, o bardziej atletycznej budowie.

Czyż mogłem w tych warunkach skarżyć się na ból w zabliznionej, lecz nigdy nie wyleczonej dobrze nodze?

Blindaże i przedpiersia rosły w oczach. Nie przeszkadzało to mruzczyć i psioczyć, na czem świat stoi, na tę podłą robotę. Taki już jest żołnierz. Sarka, na-

rzeka, klnie, ale pracuje i umiera. Zupełnie odwrotnie, niż głęboko wżgardzany cywil. Cywil — to w oczach żołnierza nietylko tchórz i oferma, ale przede wszystkim człowiek, który właśnie dużo i ładnie mówi, a mało robi, i jest niezdolny do ofiary, ani z życia, ani z mienia, ani ze swych wygod. Taki jest przynajmniej nastrój na froncie i takie ogólne przekonanie wojska podczas wojny — mniejsza o to, słuszne czy niesłuszne. Wojna wymaga syzyfowego wysiłku, przede wszystkim z powodu trudów i niewygód, głodu i chłodu, gdy często niema kiedy i jak przespać się bodaj parę godzin na dobę, no i — z tego powodu oczywiście, że śmierć lub kalectwo czyha na każdym kroku. Ogrom wysiłku wymaga, aby żołnierz doń dorósł i — żołnierz dorasta. Ale z drugiej strony, wzniosłszy się na wyżyny poświęcenia, żołnierz skłonny jest zgóry patrzeć na tych, którzy trudów, brudów i niebezpieczeństw z nim nie dzielą, a korzystając na tyłach z życia, zdają się nie dostrzegać ogromu jego wysiłku. „Żołnierz kordem broni granic; *frater* ma to sobie za nic“ — mówi w pewnym historycznym dramacie rycerz do zakonnika. To samo myśli na wojnie każdy żołnierz o każdym cywile i płaci mu lekceważeniem.

Rzecz ciekawa, że żołnierz nieraz niechętnie traktuje również tych, co w społeczeństwie cywilnem gloryfikują jego czyny, a to dlatego, że gloryfikacja ta jest zbyt często „robiona“ i nieszczerą, a z drugiej strony — nie odpowiadając realizmowi życia i obyczajów żołnierskich, urąga prawdzie i rzeczywistości

wojennej. Żołnierz na froncie jest z reguły rubaszny i trywjalny i o wszystkim rąbie bez obsłonek.

— Wyciągniesz kopyta i wyrzygasz juchę, a potem ci napiszą, że „umierał z uśmiechem na ustach“. Niechby spróbowali się uśmiechnąć, jak im granat jelita wypruje!

— Te panienki z miasta mówią o wojnie, jak ślepy o kolorach! Do bani z taką błagą!

— Liga kobiet robi wieńce — s... na takie przedsięwzięcie... (autentyczny fragment jednej z piosenek).

Nie bez wpływu na ten stosunek do cywilów było bezdenne rozgoryczenie, wywołane niewytłumaczoną obojętnością ogółu do poczynań zbrojnych wszystkich polskich formacji podczas wojny światowej.

Wogóle żołnierz dumny jest z siebie, ale uważa, że nikt oprócz niego samego lub jego dowódców, nie umie godnie ocenić wysiłku, w należycie prostych i wielkich słowach.

W naszej kompanji najwięcej dostawało się cywilom w ciętych wierszach i przypowiadkach Małaczewskiego.

Teraz znów koledzy rozpuścili języki na temat oszczędzenia ludności przez dowództwo.

— Wieś pod nosem; za pysk wziąć chłopów i baby, i niech noszą piasek!

— Pewno! Zmobilizować ludność cywilną; niech pracują za nas te bęcwały!

— *Naser mater!* Ostatni worek noszę!

— Cicho! Dowódca kompanji idzie!

I znów zapanowała cisza, przerywana stękaniem, ciskaniem worków na pokład i wskazówkami sekcyjnych.



**T**e Francuzy, to muszą być ofermi — rzekł z powagą kapral Rybczyński, stary wyga frontowy i dobry żołnierz, chociaż notoryczny malkontent i „bolszewik“, jakeśmy go nazywali z powodu lewicowych poglądów.

Rybczyński lubił jednak wojnę, wojsko i nigdy w niczem nie zawiódł.

— Czemuż to Rybczyński tak myśli? — zapytałem.

— Bo, panie poruczniku, ani wyglądu, ani musztry nijakiej w nich niema. Rozpięte to, rozchelstane, z czapkami nabakier, z rękami w kieszeniach, a trajkoczą cości furt, jak na jarmarku.

— A to ich skrytykował! — mówię do aspiranta Allingera.

— Bo i prawda! — dorzucił Allinger. — Mundury, jak chabry błękitne, ale cóż? Po komendzie „baczność!“ chwieje się to i rusza, niby łan zboża na wietrze.

— To nie to, co my — powiadam.

— O, nie to! — odrzekł Allinger. — U nas, jak baczność — to mur, a jak kompanja maszeruje — to łomot taki, jakby jakiś wielkolud obcasami w ziemię walił!

— To źle, że nie macie sympatji do naszych naj-

pewniejszych sprzymierzeńców. Jednak Francuzi cztery lata biją się z Niemcami i nie spoczną, póki ich nie zwyciężą. Oni to wytrzymali na sobie czasu tej wojny najpotężniejsze uderzenia wojsk niemieckich, oni ponieśli największe procentowo straty w zabitych i rannych, oni wykazali największy hart ducha. A że inaczej wyglądają — trudno: co kraj — to obyczaj.

Allinger i Rybczyński umilkli, ale, zdaje się, nie zmienili zdania.

Co do mnie, miałem zawsze wielki sentyment i szacunek dla Francji i Francuzów, ale i mnie raził u nich brak tak zwanej „zewnątrznej dyscypliny“, wyrażającej się w dbałości o wygląd i postawę żołnierza, w wymaganiu zewnętrznego porządku i wojskowego *drillu*. Mimo to panuje u nich taki posłuch, czyli tak zwana „wewnętrzna dyscyplina“, jak nigdzie.

Niebawem przekonaliśmy się o tem naocznie.

Skończywszy nosić worki z piaskiem, chcieliśmy się udać do wioski po mleko, jaja — może na jakiś buziak i inne tego rodzaju specjały. Niestety, porucznik Wilczyński, zastępca dowódcy kompanji, oświadczył, że nikt nie pójdzie do wioski, ponieważ dowódca flotylli zabronił komukolwiek oddalać się ze statku. Zwiesiliśmy nosy na kwintę, ale przyjęliśmy rozkaz w milczeniu.

Natomiast na sąsiednim statku francuskim powstała z tego samego powodu wrzawa. Francuz lubi sarkać nawet w obecności oficerów. Za chwilę już wiadać było posterunki, stojące przy statkach angielskich.



skim, rosyjskim i polskim. Posterunki te nie przepuszczały nikogo, kto nie miał pisemnej przepustki dowództwa. Jedynie przy statku francuskim nie było żadnej kontroli. Żołnierze otrzymali zakaz oddalania się — to dla Francuza wystarczy.

Oto inny przykład pięknej dyscypliny wewnętrznej.

Po południu kompanja polska dostała rozkaz: opuścić statek i zluzować kompanję rosyjską w wiosce, wystawiając tam czaty i wysyłając bliskie patrole rozpoznawcze. Jeszcześmy nie odsapnęli należycie po pracy, jak, włożywszy hełmy i cały ciężki rynsztunek piechura, człapaliśmy po błocie na służbę w polu.

Czaty nasze stanęły na zewnętrznym skraju wioski; dowództwo kompanji umieściło się w samej wiosce. Idąc późnym wieczorem z meldunkiem od dowód-

cy placówki do dowódcy kompanji, spotkałem we wsi Allingera, który w tym dniu był dyżurny.

— No, i cóż nowego? — zapytuję.

— A no, wylegitymowałem we wsi wszystkich włączających się żołnierzy, a tych, co nie mieli przepustek kazałem aresztować i odprowadzić do właściwego oddziału. Rosjan było we wsi ośmiu, z tego czterech łazików bez przepustek, Anglików pięciu — wszyscy za przepustkami.

— A Francuzi? — zapytałem.

— Francuza nie było ani jednego.

— Ani jednego? Dobre wojsko!

— Dobre — przyznał Allinger.

VIII

OSTRE POGOTOWIE



**N**o, a to co takiego? Gdzie owijacze? Ubiierz się zaraz, wałkoniu jeden!

— Co, kto? Ubierać się? czy atak? Czemu mnie szarpiesz? — Małaczewski przecierał zaspane oczy.

— Niema ataku; możesz spać, tylko się ubierz. Czy ty nie wiesz, że jest ostre pogotowie i że trzeba spać w ubraniu i rynsztunku, tak jak wszyscy koledzy?

— Czego się ciskasz?

— Nie ciskam się, ale jestem dziś dyżurny. Jestem nato, ażeby pilnować porządku na statku, zwłaszcza w nocy.

— Przecież statek nigdzie nie jedzie, stoi w nocy przy brzegu...

— Tak, ale może być zaatakowany od strony lądu.

— Gadanie! Byliśmy dziś na zwiadach o dziesięć kilometrów stąd. Pies kulawy na nas nie szczeknął, a wy się boicie ataku!

— Kto „wy“? Może ja? Uważaj, bo jestem na służbie! Zresztą, co ja z tobą będę gadał! Rozkaz jest — ostre pogotowie — i już! Wykonać!

Małaczewski stękał, mruczał, kłął, ale zawiął ponownie odwinięte ze zmoczonych, spracowanych nóg mokre i zabłocone owijacze. Za chwilę chrapał zno-

wu, jak cała reszta kompanji w wielkiej wspólnej kajucie.

Wziąłem do ręki odstawiony na chwilę karabin i powędrowałem po stromych schodkach na pokład.

— Stój, kto idzie? — szcęknęła broń i błysnął bagnet, skierowany ku mojej piersi.

— Dobrze pełnicie służbę, panie sierżancie — rzekłem do Baranowskiego, który stał na posterunku na dziobie statku. Drugi posterunek polski stał na brzegu o kilkadziesiąt kroków od przystani. Noc była ciemna, choć oko wykol, i wysunięta za dnia linja czat została na noc cofnięta bezpośrednio na statki. Placówki, czaty głównej, ani nawet warty wewnętrznej nie było wcale, ponieważ nie było rozkazu.

Zresztą, czyto się warto liczyć z takimi handami, jak bolszewickie?

Sprawdziwszy posterunek na brzegu, usadowiłem się na rufie i zwróciłem wzrok ku północy, aby zaobserwować wreszcie choć raz jeden słynną zorzę północną, której dotychczas nie widziałem (ach, ta Wieroczka!). Tym razem nikt mi nie przeszkadzał, zresztą przecież miałem służbę. Natomiast noc była tak chmurna i ciemna, że nic nie było widać. Nie było ani zorzy, ani gwiazd, ani księżyca; nie widziałem nawet wcale statku francuskiego, mimo, że stał przy brzegu o kilkadziesiąt kroków za nami. Nawet na naszym statku trzeba było dobrze uważać, żeby, przechadzając się po pokładzie, nie potknąć się o jakiś przedmiot pod nogami. Światła były pogaszone, a okna kajut szczelnie zasłonięte.



Mimo lekkiego wiatru, było stosunkowo cicho, to też nasze posterunki miały rozkaz, czuwając, nie tyle patrzeć, ile nasłuchiwać.

Siedząc na ławce, wsłuchiwałem się w charakterystyczny szmer i plusk, z jakim nurt rzeki opływał kadłub i koła naszego statku. Statek spał, lecz rzeka żyła i przemawiała doń cicho i pieśczośliwie, tajemnym, lecz wyraźnym szeptem.

W czasach gimnazjalnych bardzo wiele podróżowałem po Niemnie, zdążając z Kowna do domu na wakacje, lub zpowrotem. Zwłaszcza podróż ze wsi do miasta przynosiła identyczne niemal z dzisiejsze-

mi wrażenia na rzece. Mieliśmy z domu do Jurborga, czyli do najbliższej przystani na Niemnie, około sześciu mil. Jest to odległość fantastyczna, ale ponieważ do kolei mieliśmy dwa razy tyle, więc latem jechało się zawsze do przystani na Niemnie. Przy takich przestrzeniach wyjeżdżało się z domu o tyle wczas, że przybywało się na miejsce o trzy—cztery godziny przed odejściem statku. Przystań w Jurborgu przedstawiała się we wspomnieniach z lat dziecińczych tajemniczo i romantycznie. Przyjeżdżaliśmy zawsze w nocy. Czasem już o kilka kilometrów od przystani słyszało się przeciągły sygnał przyjazdu lub odjazdu jakiegoś statku. Na tle cichej, pełnej tajemniczego misterjum nocy, zakłócanej jedynie skrzypnięciem koła, parsaniem koni i rechotaniem żab, nagły, przeciągły i żaloszny gwizd statku wydawał mi się zawsze niesamowitym jękiem żywej istoty.

Minąwszy miasteczko, wjeżdżaliśmy w dolinę rzeki i jechaliśmy już stępem po ciężkim piachu nadbrzeżnym, ażeby przebyć ostatni kilometr, dzielący nas od wody. Stąd, o ile noc była jasna, widać było przystań i statki na Niemnie, a przynajmniej — ich niewyraźne sylwetki. Przeciwnie, o ile noc była ciemna, sylwety statków nieoświetlonych gubiły się na tle czarnego nieba, ażeby wyłonić się dopiero wówczas, gdy się podjeżdżało bezpośrednio do przystani.

Natomiast ślicznie wyglądało, jeżeli podjeżdżaliśmy w chwili, gdy statek dopiero podpływał do przystani. Sylweta jego była zwykle niewidoczna; zato widoczny był snop iskier i szereg świateł,

niby szereg kwadratowych gorejących źrenic. Słychać było sapanie maszyn oraz łomot kół, tłukących z wściekłością wodę — wszystko to przy akompaniamencie głośnego, monotonnego, podobnego do syku żmij, szelestu, w którym dziób statku pruł wodny miąższ i ślizgał się wśród fal.

Wiedziałem dobrze, co jest złudzeniem, a co rzeczywistością, a jednak lubiłem porównywać taki statek do płynącego smoka. A później ten potężny i żaloszny zarazem ryk, czy jęk, trwający kilkadziesiąt sekund... Na szerokiej rzece, jaką jest Niemen pod Jurborgiem, widziało się i słyszało wszelki przybywający statek już o dziesięć kilometrów od przystani, a im dalej go się dostrzegło, tem bardziej fantastyczne wrażenie wywierał na wyobraźnię dziecka.

Teraz te wrażenia we mnie odżyły. Przypomniałem sobie jedną taką noc, jak dziś, wyjątkowo ciemną i tajemniczą. Weszliśmy na martwe cielsko statku, który miał odejść dopiero nad rankiem i na którym wszystko jeszcze spało. Matka i siostra ułożyły się w kajucie do snu, ja zaś zostałem na pokładzie i długo wypatrywałem, czy nie zdarzy się przepiękne zjawisko nadpływania żywego świecącego potwora.

Jedyną moją troską realną wówczas było, czy zdam „poprawkę“ przy przejściu do klasy drugiej. Dziś myślę o tem, czy zdam egzamin w pierwszej bitwie na Murmanie i kiedy ten egzamin się rozpocznie? Jutro, czy pojutrze? Kto dostanie pałkę, a kto będzie „położony“? Jaka jest wartość bojowa kompanji i poszczególnych kolegów? Rafalski — dobry

na pewno. Burhardt — znakomity. Małaczewski, fantast, poeta — duża niewiadoma. Może być świetny, ale czy nie za wrażliwy i nie za miękki? Zobaczymy. Ten Baranowski, co stoi teraz na posterunku i czuwa na dziobie statku, robi dobre wrażenie, ale jest, jak i ja, krótkowidzem. Trzeba zobaczyć jeszcze raz, czy się przypadkiem nie zdrzemnął.

Podniosłem się, aby przejść po pokładzie kilkadziesiąt kroków, które mnie od Baranowskiego oddzielały.

Nagle w miejscu, gdzie stał wartownik, padł strzał.

A T A K I O B R O N A



# P

orwałem karabin, zarepetowałem i pędem pomknąłem na dziób statku, potykając się po drodze o jakieś liny.

— Czy Baranowski zabił napastnika, czy też to jego zabito? Za którym z przybrzeżnych krzaków ujrzę pierwszego bolszewika? A może już są na statku?

Lecz Baranowskiego zastałem tam, gdzie stał ostatnio.

— Co się stało? Kto strzelał?

— Ja strzelałem na alarm. Tam!...

— Gdzie? — pytam gorączkowo, wytrzeszczając oczy w stronę brzegu.

— Ależ nie tu! Tam, na wodzie! O, tam!...

Na wodzie nie mogłem jednak nic dojrzeć.

— Płyną ku nam z prądem, prawie bez maszyn i z pogaszonemi światłami! Tylko iskry z kominów — o! tu, tu i tam!...

Rzeczywiście, widać niewielkie snopy iskiei z niewidzialnych kominów niewidzialnych statków: jeden snop, opodal drugi i trzeci. A więc trzy — cztery statki, może więcej... Snopy posuwają się zwolna ku nam, a zatem statki płyną. Nie strzelają — widocznie chcą nas zaskoczyć całkiem zbliska. Nagle widzę jeszcze jeden snop, wyraźniejszy i bliższy. Statek, który go

wyrzuca, musi być na środku rzeki, prawie na wysokości naszej „Wiatki“, już tylko o pięćset-sześćset kroków od nas.

Pędem zbiegłem, a raczej stoczyłem się po schodach do kajuty i ryknąłem na cały głos: — Alarm! Alarm! Zbiórka!...

Ponieważ wszystko spało nadal, z wyjątkiem dwóch czy trzech czujniejszych, którzy pozrywali się na mój okrzyk, złożyłem się z karabina i już miałem pociągnąć za cyngiel, aby obudzić wszystkich wystrzałem w kajucie.

Za sekundę stało się to już zbyt późno: ciszę nocną rozdarła tak ogłuszająca kanonada dział i karabinów maszynowych, jakiej chyba nigdy w życiu nie słyszałem. Wszystko pozrywało się na równe nogi i, chwytając hełmy, karabiny, granaty ręczne pędziło na pokład.

Kapitan Sołdkowski nadbiegł tam jednocześnie z nami i objął dowództwo.

Za chwilę leżeliśmy na pokładzie w tyraljerze, po za przedpiersiem, wybudowanym w przeddzień z takim nakładem pracy, i waliliśmy ze wszystkich karabinów kompanji we wraży statek.

A statek odpowiadał.

Jak u nas, tak i u nich, wszystkie światła były nadal pogaszone lub szczelnie zasłonięte. Noc rozjaśniały nieco jedynie tysiączne błyski strzałów. Rakiet żadna ze stron nie użyła, widocznie w obawie, aby nie oświetliły one znanadto tego statku, z któregooby je wypuszczono.

W błysku strzałów można było teraz dostrzec niewyraźnie olbrzymie, jak na rzeczny statek, kontury naszego najbliższego przeciwnika. To tu, to ówdzie zapalały się na nim na sekundę i znów nikły jakieś wielkie, jasne żagwie — to był ogień jego dział. Prócz tego w kilkunastu innych punktach często i regularnie migotały ogniem karabiny maszynowe, wyrzucając ku nam nieprzerwanie strumienie kul. A te ogniki, nieregularnie przebiegające, jak wąż ognisty, wzdłuż pokładu, z prawa na lewo i zpowrotem — to ogień karabinowy. Wszystko razem grzmiało ogłuszającym łoskotem, hukiem, trajkotem i klekotaniem, pomnożonem stokrotnie przez echo wody i okolicznych borów, i wyrzucało ku nam istną lawinę żelaza.

Mimo tak wielkiej ilości broni maszynowej i artylerji i mimo śmiesznie małej odległości, lawina ta, świszcząca i skowycząca, leciała gdzieś w przestrzeń ponad naszemi głowami, nie czyniąc żadnej szkody ani mnie, ani moim najbliższym kolegom. O losie reszty obsady naszego statku, ani też o losie innych statków naszej wyprawy, nie wiedzieliśmy nic. Noc była za ciemna, aby obserwować bitwę i zdać sobie sprawę z jej przebiegu. Pozostawało celować w światelka nieprzyjacielskie, albo w punkty, w których te światelka ukazywały się najczęściej, i strzelać w nie, licząc na to, że tam właśnie siedzi obsługa bolszewickich dział i broni maszynowej. Zdawałem sobie sprawę, że i nasz ogień nie mógł być w tych warunkach celny, zwłaszcza, iż nikt nie widział muszki swojego

karabina. Można było liczyć tylko na masowość ognia. Ponieważ, prócz nas, strzelały już działa, karabiny maszynowe i karabiny wszystkich pozostałych statków naszej flotylli, więc i z naszej strony płynęła ku bolszewikom powrotna lawina pocisków. Bodaj nikły procent trafień przypadkowych, a djabł nie powinien się ostać na najbliższym statku bolszewickim!

Mieliśmy teraz nad nim tę przewagę, że staliśmy przy brzegu. Na tle krzewów i drzew, rosnących opodal, jeszcze mniej nas było widać w tę czarną, jak smoła, noc, niż statki nieprzyjacielskie, manewrujące na środku szerokiej rzeki. Bolszewicy chcieli nas zaskoczyć śpiących i wyrznąć bez wystrzału. Udarremnił to wystrzał Baranowskiego. Gdy zaskoczenie się nie udało, znaleźli się na rzece w sytuacji nader trudnej. Nie przypuszczałem ani na chwilę, żeby przeciwnik pominął sposobność wzięcia nas we dwa ognie i nie uderzył jednocześnie od strony lądu, zwłaszcza, że dowództwo angielskie nieopatrnie wycofało na noc linję czat. Nagłe uderzenie od tyłu byłoby szczególnie groźne w takiej chwili, gdy wszystkie siły były zaangażowane w kierunku rzeki do odparcia ataku statków. To też zaraz na początku walki przerwałem ogień swej sekcji (od wczoraj dowodziłem w zastępstwie drugą sekcją), poderwałem ją z lewej burty statku i położyłem na prawej, frontem do brzegu, kryjącego w swych mrokach wielką niewiadomą.

— Co pan robi? — posłyszałem obok siebie głos

kapitana Sołdkowskiego, chociaż go prawie nie widziałem.

— Sprawdzam, czy mam ludzi w ręku.

— To dobrze. Teraz zpowrotem na lewą burtę, ale oszczędzać nabojów! Na brzeg wysłałem patrol ubezpieczający.

Wykonałem rozkaz, przyczem stwierdziłem z zadowoleniem, że wszystkie ruchy sekcji odbyły się pod ogniem we wzorowym porządku i z niezwykłą sprawnością, mimo, że tylko paru najbliższych mogło słyszeć głos komendy, a dalsi musieli wykonywać wszystko za przykładem najbliższych sąsiadów w tyraljerze. Niełatwo było przekrzyczeć piekielny chór odgłosów bitwy. Każdy statek nieprzyjacielski wydawał się w mrokach nocy stugłową hydrą, wyjąca stem zachrypłych, rozstrojonych głosów.

Tymczasem czołowy potwór, rzygając ogniem i żelazem, zbliżał się powoli, ale nieustannie, do naszej „Wiatki“. — Jak tak dalej pójdzie, trzeba będzie skomenderować: „Bagnet na broń!“ — pomyślałem sobie, przekładając jednocześnie dwa granaty ręczne z chlebaka do kieszeni, aby je mieć pod ręką.

Komenda „Bagnet na broń!“ stała się jednak zbędna. W pewnej chwili czołowy statek bolszewicki zaczął się stopniowo oddalać. Wreszcie zaprzestał ognia i odjechał pełną parą, nieścigany zresztą przez nikogo. Tylne statki bolszewickie zwiały jeszcze wcześniej. Pościg był niemożliwy, ponieważ maszyny nasze nie były pod parą, a obsługa cywilna statku zaszyła się gdzieś na dnie, pod dziesiątą pierzynę.

Gdyśmy wyciągnęli ich stamtąd i wyprowadzili za kołnierz na pokład, było już za późno. Noc była tak samo cicha, jak poprzednio, gdy mi się marzyły ciche noce litewskie nad Niemnem.

X

WOJNA, ŻARCIE I POEZJA



# P

przed świtem dostałem rozkaz, aby stawić się z dziesięciu Polakami na brzegu, przed statkiem Anglików i zameldować się tam lejtnantowi N., od którego dostanę dalsze rozkazy. Zebrałem na alarm swoją sekcję i, dawszy kopniaka Józiowi, ulubionemu przyjacielowi, który zawsze miał tendencję do spóźniania się, wyprowadziłem swój szczupły hufiec na miejsce zbiórki, gdzie już stała gotowa do wymarszu sekcja francuska.

Była godzina 3,45. Do godziny 4-ej, wyznaczonej na wymarsz, mieliśmy jeszcze cały kwadrans. Punktualnie o 4-ej nadeszli Rosjanie — również w sile dziesięciu ludzi. Okazuje się, że dowództwo flotylli postanowiło rozpoznać wieś, leżącą na prawym brzegu rzeki, w odległości trzech kilometrów od nas, w której podobno były znaczne siły bolszewików. Ponieważ nasze statki stały przy brzegu lewym, a szerokość rzeki wynosiła około półtora kilometra, zdecydowano wysłać na rozpoznanie większy oddział, w sile czterdziestu bagnetów. Dlaczego wyznaczono doń po dziesięciu ludzi z różnych formacyj — niewiadomo. Może chodziło o wywołanie współzawodnictwa i zbratania różnojęzycznych wojsk? W każdym razie zlepek taki mało nadawał się do sprężystego i aktywnego działania w polu.

Zresztą nie mogliśmy wyruszyć, bo brakowało... Anglików.

Minęła godzina 4-ta, 4,05, 4,10 — Anglików wciąż nie było.

Słowo „spóźniłem się“ nie istnieje w słowniku dobrego żołnierza, zwłaszcza, gdy chodzi o rozkaz bojowy, który dotyczy całego oddziału. To też zdumienie nasze nie miało granic. Zaczęliśmy bawić się w zgadywanie, co mogło być przyczyną spóźnienia Anglików.

— Jedzą.

— Nie, *fasują* gumę do żucia.

— Gołą się — rzuca Małaczewski, a my wszyscy — w śmiech, uważając to za dobry kawał.

— Nie śmiejcie się; oni naprawdę wolą się golić, niż przyjść na czas — rzecze poważnie jakiś bywalec z sekcji rosyjskiej.

— Czy to możliwe — pytam stojącego obok sierżanta francuskiego — żeby oni teraz robili toaletę, gdy tymczasem już świta i z tamtej wioski może się odezwać artylerja, zanim rozpoznamy ją, jak to nam nakazano?

— O! Pan nie zna, jak widzę, Anglików. Wojna — wojną, *business* — *businesssem*, a toaleta — toaletą. Najpierw się ogolą i wyczyszczą dokładnie szczoteczkami zęby, a później dopiero pójdą naprzód. Poleżą wprawdzie wszędzie, gdzie im się każe, ale bez pośpiechu. Zresztą — twardy to żołnierz i nieustępliwy, i zimna krew nadzwyczajna. Tylko nie lubią się śpieszyć, zwłaszcza o czwartej rano i na głodny żołądek.



U nich ponosi winę nie ten, kto się spóźnił, ale wyłącznie ten, kto późno wydał rozkaz zbiórki. Bo czy rozkaz wydano wcześniej czy późno, czy czasu jest mało czy dużo — na jedzenie, picie, mycie się i gołonie czas zawsze musi się znaleźć. Nie widziałem Anglika, któryby stracił równowagę i zimną krew, ale również nie widziałem takiego, któryby był ogarnięty zapalem i szałem bojowym, do jakiego jesteśmy zdolni my i wy. Opowiem panu jeden wypadek. Gdyśmy byli na froncie macedońskim...

Francuz nie dokończył jednak, bo właśnie ukazali się Anglicy. Zeszli ze swego statku po mostku na miejsce zbiórki krokiem szybszym, niż zwykle, ale bynajmniej nie śpiesznym. Każdy żołnierz był wygolony, jakgdyby świeżo opuścił pierwszorzędny zakład fryzjerski na Piccadilly Street.

Na rozmowy brakło już czasu. Przystąpiono niezwłocznie do odtransportowania nas na prawy brzeg rzeki.

W tym celu oddział nasz, wyciągnięty w długą kolumnę od prawego po jednym, wszedł ponownie na jeden ze statków o wysokim pokładzie, skąd zeskakiwaliśmy do małych, niskich motorówek, które miały nas przewieźć na tamtą stronę.

Tu zaszedł zabawny wypadek.

Jeden z Anglików poślizgnął się i wpadł z wysokości dwóch czy trzech metrów wprost do wody. Ponieważ Dźwina w tem miejscu była bardzo głęboka, a żołnierz, jak i wszyscy inni, dźwigał na sobie pełny rynsztunek, hełm, karabin, sto siedmdziesiąt naboii oraz kilka granatów ręcznych, więc odrazu znikł pod wodą. Przypuszczaliśmy, że poszedł, jak kamień, na dno i że więcej go nie zobaczymy. Jakież było nasze zdziwienie, gdy, po upływie sporej chwili, ujrzeliśmy o kilkadziesiąt metrów od motorówki najpierw rudowłosą czuprynę i tęgi kark, a później rumianą, parszczającą twarz wojaka.

— Bestja, dobrze pływa! — rzekł Burhardt, który uchodził wśród nas za najlepszego pływaka.

— Jak każdy Anglik — dodał Truczka.

Za chwilę sekcja angielska wyciągnęła go na pokład, klepiąc po ociekających wodą barczystych ramionach i jowialnie powtarzając przy tej okazji stereotypowe: *all right, very well, o, yes* i tem podobne *słagworty*.

Anglik parskał jeszcze i kichał, ale dobrodusznie

uśmiechał się do wszystkich szeroką gębą i końskimi zębami. Zadowolenie tryskało z sytej, wygolonej twarzy; wzruszenia nie było na niej ani śladu. Człowiek, któremu przed sekundą groziło niebezpieczeństwo śmierci, wyglądał, jakby mu się udało, grając w *football*, obronić bramkę przed decydującym *goallem*. Nie przejmował się też wcale tem, że utopił rządowy hełm i karabin.

— Dałby nam za to Sołodkowski — mruknął Truczka.

— Starą Anglję stać na stratę jednego karabina — zauważył ktoś z tylnego szeregu.

— Ale jaki, do djaska, musi być ich regulamin, że nie biorą za to do raportu! — rzekł Przewalski, który dostał wczoraj trzy karne dyżury za uszkodzenie owijacza.

— — — — —  
W kilkanaście minut potem wylądowaliśmy na przeciwległym brzegu. Lejtnant N., posługując się tłumaczami, rozwinął wszystkie cztery różnojęzyczne sekcje w tyraljerę, i w tym szyku wyszliśmy na krawędź płaskowzgórza, panującą nad rzeką, z której roztaczał się widok na równą, rozległą łąkę, dochodzącą aż do opłotków wsi.

Tu tyraljera padła na ziemię, jakgdybyśmy byli w ciężkim ogniu, chociaż, jak dotychczas, pies z kuszym ogonem nie wyszedł na nasze spotkanie.

Nie wdawałem się dziś w rozmowy, kierując sekcją, ale do ucha mego dolatywały mniej lub więcej sarkastyczne uwagi.

— Od chwili nocnego ataku chodzą napietrani, jak widzę — mruknął jeden z oficerów. — Za każdym krzakiem widzi im się bolszewik...

— A ty nie miałeś pietra, jak ci w nocy wygarnęli pod samym nosem z kilkunastu armat i stu karabinów maszynowych?

— Wolno mieć pietra, ale nie wolno zbaranić.

— Głupieś — mówi Truczka — to nie jest u nich wcale strach, to metodyczna taktyka, do której się wdrożyli na zachodnim froncie. W ciągu roku posuwają się naprzód o kilometr, to znaczy centymetr na godzinę. Inaczej u nich nie wolno.

— Do cholery z taką taktyką! Jak będziemy tak się namyślali dzisiaj nad każdym krokiem, to kiedy będzie fasunek i wyżera? I tak mi już teraz kiszki marsza grają!

— Więc czego chciałbyś?

— Czego chciałbym? Tempa, do jasnej cholery! Naprzód albo wtył, ale z pieprzem! Bo to wygląda na słodko-kwaśny *jam* australijski!

I rzeczywiście — tempa nie było wcale. Rozsypanwszy się w tyraljerę przed urojonym nieprzyjacielem, zaczęliśmy zwolna posuwać się skokami od krzaka do krzaka i od rowu do rowu, jakgdyby szło o zdobycie co najmniej jakiegoś Verdun.

A ponieważ mieliśmy wśród nas takiego, co się bił pod Verdun w szeregach niemieckich — a był nim sierżant Baranowski — więc, korzystając z dwudziestominutowej przerwy w ruchu, kazałem mu tę historję opowiedzieć. Baranowski porzucił piechotę

niemiecką, aby przejść na stronę legjonów w bitwie pod Kaniowem. Stamtąd, wraz z innymi legjonistami, przedostał się na Murman.

Baranowski, z zawodu rzeźnik, nie miał jednak, podobnie, jak większość żołnierzy, żadnego talentu naracyjnego i nie lubił mówić o swych czynach. Był to typowy poznaniak, energiczny, praktyczny, obrotny, z dużą werwą w ruchach i słowach. Mówił prędko, ale od czasu do czasu zacinał się, jak karabin maszynowy, zwłaszcza, że brakło mu wyrazów, a ten zasób słów polskich, którym rozporządzał, przetykał często gęsto germanizmami lub zgoła niemczyzną.

— Ano... *narukowali* my do *transzy*; było nas luda może dziesięć, dwadzieścia tysięcy, na takiej łączce, jak ta. Zaś ale wszyscy dobierani z różnych dywizyj, że kto nie miał *eiserne Kreutz* — na tego *Oberst* patrzył, jak na łazika. Wieczorem zaczął się *Trommel-feuer*, a o świcie — *Hand-granaty* do *graby* i poszli my na *Angrif* w kilkanaście linii jedna za drugą. Trza było brać fort *Dumo*, czy jak tam na niego szwargoczą...

— Douaumont — poprawiam.

— *Ja, ja*, i wzięli ten fort wówczas — drugi i trzeci bataljon naszego regimentu — ale ja nie doszedł, ani nikt z kompanji, co przede mną poszła w pierwszej linji, bo trafili my *richtyg* na fugasy, i wszystko wyleciało w powietrze... A mnie urwało wtedy te dwa palce — rzekł, wyciągając ku nam kikut lewej ręki — i kontuzjowało prawą stronę głowy,

prawą rękę i prawą nogę, co mi ją dwa razy prze-  
strzelili jeszcze przedtem nad Marną.

— Ot, i wszystko — zakończył Baranowski swój  
opis bitwy pod Verdun.

— Patrz, poeto — mówię do Małaczewskiego —  
tak mówi żołnierz o największej bitwie świata. A ty  
już z naszej głupiej, nocnej potyczki na rzece zro-  
biłbyś cały poemat!

— Wcale nie. Nie mam zamiaru. Gdybym chciał  
pisać poematy, siedziałbym teraz w klubowym fotelu  
w Winnicy przy biurku i fantazjował na temat woj-  
ny. Ale teraz uważam, że wiesz co?... Nie wiesz? —  
to słuchaj:

— Żołnierza nie omami już czar mistycznych łąk,  
Zaklętych w rznięty kryształ  
Sonetu, ronda, scherza,  
Bo teraz nagi czyn wawrzynem oplótl serca...

— Ależ ty, nawet nie chcąc tworzyć, tworzysz.  
To, co mówisz — to już przecie poemat...

— Być może, ale mi o to w tej chwili nie chodzi.

— Masz rację. Ale, jak wrócimy na statek, mo-  
żemy o tem pogawędzić. Dasz mi swe utwory, jak  
tylko wrócimy.

— J e ż e l i wrócimy...

— Widzicie go! Teraz znów Hamlet z niego wy-  
łazi! „Jeżeli wrócimy...“, „być albo nie być...“. Co za  
wyrażonka tutaj w tyraljerze! Demoralizujesz mi  
sekcję — i nic więcej! Dymaj do naszego lejtnanta  
i spytaj, czy można wyrwać z polską sekcją naprzód

do tej zatraconej wioski. Powiedz, że my ją sami zbadamy ze wszystkich stron w pięć minut. A oni niech sobie tu zostaną.

— Pewno; niechaj zostaną. Przynajmniej wszystko mleko we wsi będzie tylko dla nas.

— Poeta, a pies na żarcie — mruknął wślad za nim któryś z kolegów.

— A z ciebie pies na dziewczyny!

— Tylko nie na Wierę, bo ta zajęta...

— Cicho tam jeden z drugim! Zamknij gębę i otwórz zamek. Rozładować!

— — — — —  
Lejtnant N. wysłał polską sekcję naprzód. Pchnąwszy szperaczy z odpowiednimi rozkazami na skrzydła, poprowadziłem ją z miejsca do miejsca szybkim krokiem i w dziesięć minut wpadłem do wsi, która, jak się okazało, była zupełnie pusta. Przeszedłszy na przeciwległy skraj, wystawiłem czujki i wysłałem meldunek do porucznika. Wszystko to były rzeczy proste, łatwe i całkowicie pozbawione niebezpieczeństwa, ponieważ, jak się rzekło, nieprzyjaciela nie było wcale. Niemniej dla oddziałów aljanckich, przybyłych świeżo z francuskiego frontu i wyszkolonych jedynie i wyłącznie do zastygłej w bezruchu wojny okopowej, były to rzeczy, do których nie wiedzieli poprostu, jak się wziąć. Stąd wygórowana ostrożność, powolność i niezaradność. Działanie ich utrudniała nadto niezajomość języka rosyjskiego i niemożność porozumienia się z ludnością cywilną.

W oddziale polskim ten i ów nie przebył może

równie morderczego ognia artylerji, jak oni w swych okopach na zachodzie, zato wszyscy zęby zjedli w wojnie ruchowej, w szczerem polu, w wykorzystaniu i ocenie nieznanego terenu, w orientacji wśród lasów i borów i w znajomości takich czynników powodzenia, jak manewr i zaskoczenie. Prawdziwym zaś mistrzem był każdy oficer polski w zwiadach, podchodach i podsłuchach, a przecież, co trzeci żołnierz kompanji kapitana Sołdkowskiego — to oficer lub starszy podoficer. Nie dziw, że i dziś szybkie, sprawne posuwanie się patrolu po rozległej łące ku tajemniczej wiosce mogło być doskonałym pokazem rozpoznania. To też zauważyłem od tego dnia, że oficerowie angielscy zaczęli traktować nas z odzieniem dyskretnego respektu, a niebawem przekonaliśmy się, że od tego czasu wszystkie patrole wywiadowcze wysyłano niemal wyłącznie z kompanji polskiej.

Narazie, pijąc mleko opodal od wystawionych czujek, kazałem przyprowadzić „starszynę“, czyli wójta wioski, i paru co znaczniejszych „chozajów“. Zjawili się w łapciach we wpuszczonych w nie spodniach, w długich, przepasanych krajkami rubachach i w charakterystycznych, zwęzających się ku górze czapach na głowie, przypominających nieco wielkoruskie i kaukaskie „papachy“. Twarze stanowcze, ogorzałe, poorane wichrami i słońcą wodą, miały w sobie charakter rolniczy i rybacki. Cała ludność nad Dźwiną Północną zajmują się więcej rybołóstwem, niż rolnictwem. Ogromny odsetek udaje się perjo-

dycznie na połów na morze. Bardzo wielu emigruje do Archangielska i tam szuka służby na morskich okrętach, statkach, kutrach i łodziach rybackich, aby potem, na starość, powrócić do rodzinnej wioski. Teraz, kłaniając się w pas, przybysze pokornie zaczęli składać zeznania o tem, co widzieli i słyszeli o bolszewikach.

A więc dziś w nocy była nad rzeką wielka bitwa. W cerkwi szyby wyleciały od huku. Kule świstały nad wioską, dużo, bardzo dużo kul. Padały i pociski armatnie. Jeden statek bolszewicki ze strzaskanem kołem osiadł chwilowo na mieliźnie. Załoga powyskakiwała do wody i ratowała się ucieczką na brzeg. Biegli przez wieś i dalej na południe. Już teraz ich tu niema. Przed świtem część wróciła na opuszczony statek, i statek odjechał. Ci, co byli we wsi, mówili, że na statku jest pięćdziesięciu zabitych i rannych.

Zameldowałem te dane dowództwu flotylli, dodając, że pochodzą one od ludności cywilnej i że nie są w stu procentach wiarogodne.

W każdym razie, jedno było pewne: bolszewicy ponieśli w nocy znacznie większe straty, niż my. Bo w naszej flotylli zginęło w nocnym boju tylko dwóch ludzi — śmiesznie mała cyfra, jak na tyle zgiełku, emocji i niezwykłych wrażeń słuchowych i wzrokowych. Ale cóż? Mają rację żołnierze sekcji rosyjskiej, gdy, omawiając nocny bój, przypisują jego wynik powiedzeniu Suworowa: „Pula — dura, sztyk — mołodiec“. Bolszewicy woleli nie zbliżać się do nas „na

szyki“ i strzelali w nocy na chybił-trafił, jak to się mówi — „Panu Bogu w okno“.

A jednak coby było, gdyby Baranowski z a ś a l e nie dojrzał iskier i nie zaalarmował śpiącej flotylli? Z a ś a l e straciłby więcej, niż dwa palce, urwane pod Verdun, nie mówiąc już o nas wszystkich.

To też dowódca flotylli serdecznie dziękował kapitanowi Sołdkowskiemu, a ten znów — naszemu dzielnemu Wielkopolaninowi.

TRZECH MUSZKIETERÓW



# F

rancuzi z piechoty kolonjalnej odznaczyli się większym temperamentem, niż Anglicy, a szefem sztabu flotylli, który kierował służbą rozpoznawczą, został właśnie kapitan francuski. Naza jutrz, gdy flotylla przejechała kilkanaście kilometrów ku południowi i stanęła, nie napotkawszy statków nieprzyjacielskich przy dużej wyspie, zostałem wezwany do szefa sztabu i dostałem zadanie o tyle trudne, o ile wczorajsze było łatwe.

— Niech pan podejdzie do tej mapy — rzekł mi szef sztabu, gdy stanąwszy na baczność z karabinem u nogi, wyrecytowałem formułę meldunku.

— Tu płynie Dźwina. Tu stoi nasza flotylla przy tej wyspie, która przylega niemal do brzegu prawego. Po prawym brzegu idzie wasz patrol porucznika Rafalskiego do wsi, leżącej o sześć kilometrów stąd. Pan z drugim patrolem przeprowi się na tamten brzeg pod wsią Gorki, zbada ją, a później rozpozna następną wioskę, skąd natychmiast wróci pan jeszcze dziś, bez względu na to, czy spotka pan nieprzyjaciela, czy też nie.

— Ilu ludzi mam wziąć?

— Ilu pan chce. Ale możemy panu dać tylko tę łódkę, która jest przy waszej „Wiatce“. Nie wiem, ilu ona tam zmieści...

— Rozkaz. Skąd mam wysłać pierwszy meldunek?

— Jeżeli pan będzie miał patrol mały, niech pan nie osłabia go przez wysyłanie gońców.

— Rozkaz.

Znowu postawa na „baczność“, meldunek o odejściu, wtył zwrot — i za chwilę wróciłem ze statku angielskiego na polski przed oblicze kapitana Sołdkowskiego.

— Cóż tam panu powiedzieli?

— Idę na zwiady, panie kapitanie. Proszę o wyznaczenie siły i składu mego patrolu.

— Niech pan weźmie całą swoją sekcję; wystarczy?

— Ośmiu ludzi? Najzupełniej.

— A kto pana przewiezie przez Dźwinę?

— Pan, panie kapitanie.

— Ja? Z byka pospadali, czy co? A czem, chciałbym wiedzieć? — i tu zirytowany dowódca wypowiedział niedwuznaczną aluzję do najintymniejszej części swego ciała.

— To może się panu kapitanowi przydać przy najbliższej przygodzie, zwłaszcza na urlopie. Jabym prosił o łódź „Wiatki“, w myśl rozkazu szefa sztabu.

— Łódź „Wiatki“ została podziurawiona kulami, jak sito, jeszcze podczas nocnej bitwy. Ale czekaj pan: kapitan statku zarekwirował tu dwóch drabów z jakąś łódeczką; może jeszcze są. Tylko musiałyby pan co najmniej trzy razy obrócić, bo nie zabiorą więcej naraz nad trzech ludzi z rynsztunkiem.

— Niemożliwe, panie kapitanie. Dźwina ma tu ze dwa kilometry szerokości, przytem dziś jest wichura, utrudniająca przeprawę. A ja mam do przebycia dziesięć kilometrów tam i dziesięć zpowrotem; wrócić kazano mi ze zwiadów przed wieczorem, a teraz już godzina 12-ta. I tak termin powrotu jest niewykonalny, cóż dopiero, kiedy trzy razy będziemy jeździć tędy-siędy...

— No, to bierz pan dwóch ludzi i nie zawracaj głowy!

— Których?

— Zahorskiego i Dąbka. Tylko, żeby mi eunuchów z was bolszewicy nie porobili! Pan wie: z nimi się wojuje na śmierć i życie. A wy pójdziecie we trójkę na pół dnia za dziesiątą górę. Przed nami są marynarze białomorskiej floty — najgorsze zbóje i draby pod słońcem. Więc odważnie, ale roztropnie!

— Rozkaz.

---

Za chwilę łódka, a właściwie czółenko, unosiła nas od wyspy, przy której stała flotylla, ku tajemniczemu szuwarom, ciągnącym się na przeciwległym brzegu rzeki. Dźwina była w tem miejscu tak szeroka, jak chyba żadna inna rzeka w Europie. Tak mniej więcej wyobrażałem sobie Amazonkę, czytając kiedyś powieść Mayne-Reida. Naokoło — niezmierzone bory i zarośla, a środkiem płynie szeroka głębina wód, podobna bardziej do wydłużonego w bezkres jeziora, niż do rzeki.

To też, w wietrzną pogodę, fale na Dźwinie Pół-

nocnej są mniej więcej takie, jak bywają na jeziorze Narocz na Litwie. A dziś dął wicher, który przewoźnicy nasi — bywalcy morza Białego — nazywali sztormem. Łupina nasza podskakiwała, opadała i znów podskakiwała, trzeszcząc i skarżąc się wszystkimi swojemi defektami na uchwyty bałwanów i ciosy piany, która rozpryskiwała się z szumem o dziób i pluła gniewnie w nasze ściągnięte rzemykami hełmów twarze.

Nie mieliśmy pewności, czy dojedziemy, zwłaszcza gdy się okazało, że łódka fatalnie przepuszcza wodę. Wygarnialiśmy ją wciąż jakimś szczerbatym kubkiem, a gdy to nie wystarczało — w sukurs poszły żołnierskie manierki. Skrócić podróży nie było można, bo gdybyśmy stanęli choć raz bokiem lub choćby skośnie do biegu fal — łódka natychmiast byłaby przewrócona lub zalana. Jadąc „pod włos“, zapewnialiśmy sobie bezpieczeństwo, ale przedłużyliśmy zato przeprawę w nieskończoność.

Przykre też było, że nie siedziało się w łódce w kostjumie kąpielowym, ale w mundurze i w pełnym rynsztunku. Nie miałem zaś złudzeń co do tego, abym pływał lepiej od owego Anglika, który wydostał się z dna rzeki na powierzchnię z plecakiem, chlebakiem i amunicją.

Po półtoragodzinnej walce z żywiołem, wyszliśmy nareszcie na ląd. Nie mogę powiedzieć, żebym stawił stopę na ziemi z uczuciem Wilhelma Zdobywcy. Flotylla nasza majaczyła po drugiej stronie rzeki, poza skuteczną strefą ognia karabinów maszyno-

wych; łączność z nią poprzez tę burzliwą Dźwinę była dzisiaj fikcją, a wojsko moje — dwóch legunów z pod Rarańczy — było waleczne, lecz djabło szczupłe. Ale trudno; — Ładuj broń! Na pas broń! — i maszerować!... Nie potrzebowałem przynajmniej wydzielać w marszu straży przedniej ani tylnej, i nie było mowy o szperaczach. Cała trójka stanowiła jedną grupkę szperaczy, wobec czego poszliśmy wszyscy razem.

Po przejściu kilkunastu kroków, zatrzymałem bractwo i zawróciłem do łódki, widząc, że przewodnicy zabierają się do powrotu.

— A wam co kazano robić dalej? — pytam.

— Wrócić na „Wiatkę“.

— Wrócić? Warjat! Masz zostać tu i czekać na nas!

— Ja nie czekam; mnie kazano...

— A ty taki synu! Zahorski! Zrobić z nim porządek!...

— Ja nie będę gadał wiele, ty cywilne ciele — pogwizdywał Zahorski, zbliżając się i gotując do wymiaru sprawiedliwości kolbę karabina.

Przewoźnik padł na kolana i był gotów spełnić wszelkie żądania. Ale wówczas przyszło mi do głowy, że podczas naszej nieobecności lada chłop ze wsi mógłby namówić tych ludzi do ucieczki lub przepłoszyć, a wówczas w jaki sposób powrócilibyśmy na „Wiatkę“? Bo przecie kapitan Sołdkowski będzie liczył na to, że łódka jest w naszym posiadaniu. Otóż lepiej niech na to nie liczy; niech łódka wraca, a wów-

czas nasi będą troszczyli się o posłanie jej po raz drugi.

Zmieniłem przeto decyzję i kazałem wracać, co załoga wykonała z wielką skwapliwością. My zaś przyglądaliśmy się, jak się łódka oddalała, raz po raz niknąc i ukazując się wśród wzburzonych fal. Była to jedyna nić, łącząca nas z flotyllą. Gdy łódka zniknęła z oczu, doznaliśmy uczucia, że nić — przecięta i że jesteśmy całkowicie i na zawsze pozostawieni sami sobie.

Było nas trzech. — Trzech muszkieterów — powiedziałem sobie, starając się wywołać beztroski wewnętrznie nastrój. Nie wypowiedziałem jednak tego głośno, żeby nie uderzyć w nutę fałszywą. Lepiej jest zaciąć zęby i robić swoje z poważnym marszem na czole, niż bawić się w fałszywą beztroskę.

Bo nikt tak nie wyczuwa fałszu, jak żołnierz.

W TŁUMIE CZUBARYKÓW



Dopóki niema wojsk rozwiniętych do bitwy, można je spotkać w marszu lub na kwaterach. Marsz odbywa się drogami, a postoje — we wsiach. Dlatego początkowo rozpoznanie polega jedynie na rozpoznaniu dróg i osiedli.

Idziemy tedy prędko ścieżką, wiodącą z nad brzegu ku wiosce. Gdy z za krzaków wyłoniły się pierwsze zabudowania — padnij! Tu parę minut — na obserwacji z ukrycia opłotków wioski.

Ponieważ nie było widać nic podejrzanego, więc „powstań!” — i wpadliśmy do pierwszej chałupy.

— Bolszewicy we wsi są?

— Bolszewiki? — *niczewo nie znaju...*

— Marynarze — *matrosy* — są?

— Ja nic nie słyszał, nic nie widział...

— Konia i dwukólkę masz?

— Ja nie mam — biedny ja...

— A sąsiad ma?

— I sąsiad niema.

— Więc kto?

— Wójt ma jednego konia; on bogaty, i brat wójta też. To są *kułaki*.

— Gdzie mieszkają?

— Za cerkwią.

— To niedobrze — myślę sobie. — Wprawdzie

we wsi prawdopodobnie bolszewików istotnie niema, ale właśnie dlatego trzeba udać się prędzej na zwia-  
dy do wsi następnej. Trzeba to zrobić końmi, bo pie-  
chotą nie zdąży się na czas. A tymczasem konie wójta  
są w środku wsi. Przebywanie zaś tak drobnego pa-  
trolu w środku ogromnej wioski jest wysoce nie-  
wskazane.

Ale niema rady; idziemy po konie. Wójta w domu  
nie było, a koń jego — gdzieś na pastwisku. — Wo-  
łać wójta! — mówię władczym tonem do jego baby.  
Baba gdzieś poczłapała, a tymczasem wkoło nas na  
ulicy, gdzieśmy stali, zaczął się zbierać tłum wiej-  
skich gapiów.

Były tam przeróżne typy z tego rybackiego i my-  
śliwskiego kraju, pełnego włóczęgów morskich i po-  
szukiwaczy zarobków na oceanie Lodowatym. Prócz  
gospodarzy i parobków, zdawna siejących i zbiera-  
jących swój nędzny owies — bo żadna ozimina pod  
tą szerokością geograficzną już nie rośnie — można  
było rozróżnić w tłumie zuchwałych obieżyświatów  
i niemniej zuchwałych zdemobilizowanych żołnierzy  
i marynarzy byłej armji i floty rosyjskiej, czyli tak  
zwanym *czubaryków*. Wszyscy oni przed powrotem  
do cichej wioski zaznali niewątpliwie haszyszu rewo-  
lucji na froncie i na tyłach; niejeden musiał już słu-  
żyć w czerwonej gwardji. Zresztą cała wiejska lud-  
ność ówczesnej Rosji była uzbrojona. Te kilka czy  
nawet kilkanaście miljonów karabinów, które pod-  
czas wojny światowej państwo włożyło w dłonie  
swych żołnierzy, powędrowało „pod strzechy“ z chwi-



lą, gdy armja, jako taka, przestała istnieć. To też każda większa wieś mogła w razie potrzeby wystawić kompanję lub pluton piechoty.

Zresztą w tej chwili nie potrzebaby na nas broni. Trzech żołnierzy, a nawet jeden żołnierz — to siła, dopóki między nim, a tłumem, jest dystans, niezbędny do użycia kuli lub bagnetu. Z chwilą, gdyśmy się znaleźli w tłumie, tłum mógł z nami zrobić, co chciał. Nie było wprawdzie narazie nic jawnie wrogiego, ale byliśmy już ściśnięci z zewsząd, jak w kościele. Miałem uczucie niemowlęcia, spowitego w pieluchy. Przypomniałem sobie, jak w tej samej sytuacji pod Bobrujskiem zginęło dwóch ułanów 1-go pułku, posłanych do wsi po furaz. Rozszarpano ich gołemi rękami, a później zakopano konających, ale jeszcze żywych. Dużo, zaiste, nieborakom pomogło, że później

zrobiliśmy karną ekspedycję, podczas której rozstrzelaliśmy prowodyrów...

Nie chcąc, żeby kapitan Sołdkowski zyskał powód do karnej ekspedycji, postanowiłem wydostać się z tłumu. Już lepiej było czekać na konie w chałupie i w razie potrzeby bronić się przez drzwi i okna. Ale jak schronić się do chałupy, nie stwarzając pozorów ucieczki?

— Jeść! — krzyknąłem. — *Razstupiś! Idiom ku-szać mołoko!*

Przedzieraliśmy się z trudem wśród wciąż rosnącego tłumu ciekawych, bo była właśnie niedziela, i z braku robót w polu wszyscy mieszkańcy wioski wylegli na drogę. Wszedłszy do najbliższej chałupy, wypędziłem z niej kilku drabów, którzy już tam się znaleźli, zamknąłem drzwi i usadowiłem się na ławie pod *ikonami* z Zahorskim i Dąbkiem, podczas gdy gospodyni krzątała się w izbie, szykując mleko. Gawieź pozostała pod oknami i żywo komentowała sensację, jaką dla wioski rosyjskiej było ukazanie się trzech żołnierzy angielskich, mówiących po rosyjsku. Ponieważ nasze angielskie hełmy były ozdobione białymi orzełkami, za oknem rozwinęła się hałaśliwa dyskusja, kim właściwie jesteśmy: *angliczanie* czy *bielopolaki*?

Najbardziej podejrzani osobnicy nie mówili jednak głośno nic, tylko złowrogo przypatrywali się nam z podpełba i coś szeptali między sobą.

Sytuacja nie była zbyt przyjemna, zwłaszcza, że lada chwila mogły wpaść do wsi regularne oddziały

bolszewickie. Nasze stanowisko w chałupie, wygodne wobec zagadkowej postawy tłumu, stałoby się dla nas pułapką w razie przybycia wojska.

Z ulgą odetchnąłem, gdy do chałupy wszedł długo oczekiwany wójt. Ukłonił się niby nisko i pokornie, ale mowa jego wcale pokorna nie była. Wykręty były przeróżne. Najpierw — niema koni...

— Łżesz, psie!

— Dziś święto; nie wolno nam zakładać...

— Ja ci pokażę święto, taki synu! — porwałem się do niego z ławy z karabinem.

— *Choroszo, barin*, ale musicie poczekać, nim konie sprowadzę z pastwiska — to cztery wiorsty stąd...

— Słuchaj, bałwanie. Ja nie chcę, żeby mój kapitan rozstrzelał mnie razem z tobą. Ja muszę wyjechać stąd za pięć minut. A kapitan wyjedzie stąd — tu spojrzalem na zegarek — za trzydzieści minut!

— Jaki kapitan?

— Kapitan, który tu przyjdzie z dwudziestu żołnierzami; może już wchodzi do wsi... Żeby za pięć minut były konie — marsz!

To poskutkowało. Za kilka minut z różnych końców wioski zaczęły się ściągać osobliwe archangielskie zaprzęgi. Każdy wózek był zaprzężony w jednego małego konika, prawie kuca, i składał się z dwóch dyszli i małej platformy, umocowanej na osi o dwóch kołach. Platformy nie były chyba większe nad jeden metr kwadratowy. Innych wozów wogóle niema w użyciu w tym bagnistym kraju. Na każdej

takiej dwukółce mogło się zmieścić z trudem tylko po dwóch ludzi, licząc w to woźnicę. Żeby więc ulokować mój mikroskopijny patrol, potrzebowałem aż trzech wózków. Chwyciwszy trzy pierwsze nadjeżdżające wózki, ulokowałem się na nich, a wójtowi kazałem z resztą zaprzęgów czekać na przybycie zapowiedzianego oddziału.

XIII

NADMIAR TEMPA



# P

osuwaliśmy się teraz po drodze, na spotkanie domniemanego nieprzyjaciela, który mógł się wyłonić lada chwila z za pierwszej lepszej grupy haszczy leśnych. Ja jechałem na pierwszym wózku, na następnym jechał Zahorski, na trzecim — Dąbek. Nie był to szyk bojowy, ani szyk zwiadowczy, zwłaszcza, że posuwaliśmy się nader szybko, ponieważ droga wyjątkowo była sucha. Co za wściekle tempo! — usłyszałem uwagę Zahorskiego, zwróconą do Dąbka. I rzeczywiście: lecieliśmy, jak warjaty. Liczyłem jednak na to, że bolszewicy, ujrzawszy zwykłe wózki chłopskie, nie będą się kryli w terenie, i w pierw zobaczymy my ich, niż oni nas. A wówczas zeskoczymy w biegu z wózków i przypadniemy w przydrożnym rowie, zanim dostaniemy ogień. Dalej — co Bóg da i sytuacja nakaże.

Wydawszy tego rodzaju instrukcję legunom jeszcze przed wyruszeniem ze wsi, kazałem się śpieszyć, aby przed wieczorem wykonać zadanie. Mimo niebezpieczeństwa, które zdawało się czyhać z za każdego przydrożnego krzaka, byłem teraz dobrej myśli. O ileż przyjemniej działać w polu z nieprzyjacielskim wojskiem, niż znaleźć się w tłumie niepewnych „czubaryków“! Rozumiem teraz Zagłobę, który też „nie lubił tłoku“.

Dalsze dzieje tego patrolu, wbrew oczekiwaniom, wypadły zupełnie nieciekawie. Droga leśna była monotonna, jak bicie naszych serc, a palec w czasie niej spoczywał niezmiennie na spuście karabina. Przechaliśmy tak dziesięć kilometrów pustkowia. Słońce chyliło się ku zachodowi, gdy skończył się „wołok“ — jak nazywają tutejsi chłopi odcinek drogi, idącej lasem. Na skraju lasu stanęliśmy. Zatrzymawszy chłopów na drodze, zeskoczyliśmy z dwukółek i podeszli do wsi od strony porosłego krzakami wąwozu. Stwierdziwszy w najbliższej chałupie, że wieś jest wolna od nieprzyjaciela, wróciliśmy coprędzej do wózków, ponieważ noc zapadała, a droga powrotna była daleka.

O północy, wyminąwszy wieś Gorki z jej podejrzaną ludnością, stanęliśmy znowu nad Dźwiną. Ale dostać się do flotylli nie było tak łatwo. Dźwina szumiała i pieniała się na wietrze po dawnemu; łódki nie było ani śladu, a o tem, żeby pociemku dostrzeżono nas w flotylli, która stała gdzieś w mrokach nocy po tamtej stronie — nie było mowy. Zbytecznem też byłoby strzelać, bo nawet odgłos strzałów nie dotarłby, wobec szumu fal i dwukilometrowej odległości.

Nie pozostawało nic innego, jak czekać na obiecaną łódkę.

Czekaliśmy tedy, bez emocji jednak, bo każdy z nas był zanadto głodny, zmęczony i zły, żeby móc obawiać się czegokolwiek na świecie. Nadomiar zaczął padać deszcz. Wreszcie po upływie trzech godzin, przechadzając się po ciemku wzdłuż brzegu tam i spo-

wrotem, znaleźliśmy w pewnej chwili łódź, która od dawna na nas czekała, tylko nieco w innem miejscu, niż przypuszczaliśmy. Noc była ciemna, choć oko wykol, i nietrudno było się pogubić.

Łódź, czyli w gwarze ludowej *k o r b a s*, była dwa razy większa, niż ta, na której przepłynęliśmy Dźwinę zrana, i przewoźnicy też już nie byli ci sami. Zresztą komendę nad nimi miał tym razem Baranowski. — *Z a ś a l e* myśleliśmy, że pan porucznik zginął z całym patrolem, i już chcieliśmy *rukować* w tym *korbasie* zpowrotem.

Za chwilę płynęliśmy wszyscy razem, gwarząc o przeżyciach pośród czubaryków. Byliśmy zadowoleni z wykonanego zadania i z tego, że się wszystko skończyło pomyślnie.

— Cóż z tego, kiedy jeść się chce, a teraz prowiantowy śpi, i już się nie zafasuje, aż jutro.

— No, ale przynajmniej wyśpimy się setnie — odrzekł Zahorski.

— Tak, tylko, co do mnie, muszę jeszcze pójść z meldunkiem do szefa sztabu.

Po przybyciu na „Wiatkę“ zwolniłem patrol. Ludzie moi zwalili się spać, ja zaś poszedłem na angielski statek. Z trudem odszukałem zaspanego podoficera służbowego.

— Dowódca patrolu polskiego do szefa sztabu z meldunkiem.

— Kapitan teraz śpi. Rozkazał zgłosić się o godzinie piątej rano.

— A żeby cię wszystkie kule!... — zakląłem już

po polsku i poszedłem zpowrotem. Do piątej zostało akurat półtorej godziny. Mało, że człowiek namęczył się i zmókł, jak nieboskie stworzenie, jeszcze nie można się rozebrać i położyć. A tu jeszcze głód dokucza, jak rzadko...

Wróciwszy na statek, szturchnąłem śpiącego Małaczewskiego.

— Nie masz tam czego do żarcia?

— Boćwino, hypokreno litewska! Odwal się, nie przeszkadzaj spać! — zamruczał gniewnie i przewrócił się na drugi bok.

Widząc, że go się nie dobudzę, zrewidowałem jego chlebak i zarekwirowałem wszystko, co się jeszcze z wieczora ostało przed jego legendarnym apetytem.

Otóż była tam puszka słodkiego, jak ulep, *jam'u*. Spałaszowałem w mgnieniu oka połowę, a resztę chciałem oddać towarzyszom dzisiejszej wyprawy. Okazało się jednak, że tamci już spali kamiennym snem, z czego się perfidnie ucieszyłem i zabrałem się ponownie do konfitur, które miały mi teraz starczyć za dzisiejsze śniadanie, obiad i kolację. Wykończywszy zawartość, poszedłem z meldunkiem do kapitana, który był bardzo zadowolony, że obie zbadane wsie wolne są od nieprzyjaciela.

Po powrocie na statek zatknąłem opróżnioną puszkę na bagnet Małaczewskiego, jako trofeum nocnego połowu, poczem zwałem się do snu.

Nazajutrz okazało się, że puszkę tę Małaczewski pobrał do podziału na całą sekcję. Obiecałem wobec tego, że na cały tydzień rezygnuję z przypadającej

mi dziennej porcji *jam'u*. Nikt nie wierzył, że dotrzymam układu, ponieważ znany byłem z łakomstwa i predylekcji do słodyczy. Natomiast koledzy nałożyli na mnie kontrybucję w postaci zrzeczenia się po wieczne czasy codziennej racji tytoniu. Jako niepalący, oddawałem wprawdzie ten tytoń i przedtem, ale nie bezinteresownie. Wymieniałem go mianowicie na cukier, którego było mi zawsze za mało. A że dawałem tytoń temu, kto mi więcej dawał cukru, dostałem od Małaczewskiego miano „tytoniowego paskarza“.

Tak to, dostawszy się do szeregu między awanturników idei i utracjuszy temperamentu, dorosły człowiek staje się znów wisusem i draniem, jakim był na ławie szkolnej, gdy się dawało sąsiadom tak zwanego sera, grało „w stalówki“ i czyniło przeróżne psikusy kolegom i profesorom.

WĘDRUJEMY BOREM, LASEM...

# T

akie i tym podobne zwiady mieliśmy teraz niemal codzień, to na prawym, to na lewym brzegu rzeki, przytem wrażenia folkloru miejscowego uzupełniał nam również nieprzyjaciel.

Flotylla, oddaliwszy się już o dwieście kilometrów od Archangielska, nie kwapiła się dalej ku południowi przed nadejściem posiłków. Bolszewicy ze swej strony, odparci pamiętnej nocy z dotkliwymi stratami, wycofali się odrazu o kilkanaście kilometrów dalej na południe i od tego czasu nie wracali ze swemi głównymi siłami. Ta właśnie kilkunastokilometrowa wolna przestrzeń była przedmiotem ustawicznego szperania patroli polskich i terenem drobnych utarczek.

Patrole nieprzyjacielskie wiały zwykle przy pierwszym spotkaniu z naszymi, a my znów cofaliśmy się przy pojawieniu nieprzyjacielskich plutonów i kompanij. Dzień w dzień człowiek zapuszczał się to z sekcją, to z pięcioma, sześcioma ludźmi, to samotrzeć nawet w grząskie bory i knieje, aby obejść nieprzyjacielskie czaty, zagradzające jedyną drogę, prowadzącą do głównych sił bolszewickich wzdłuż rzeki, i aby następnie zajrzeć od tyłu w ich ugrupowanie. Nigdy prawie nie udało się dotrzeć do tych tyłów, tak ciężkie było posuwanie się ludzi, zapadających po

pas w błota i trzęsawiska. Poza tem trzeba było uważać na jedyny możliwy szlak odwrotu, który mógł być w każdej chwili odcięty przez znaczniejszy wypad nieprzyjacielski.

Trzeba bowiem wiedzieć, że wzdłuż każdego brzegu Dźwiny szła jedna tylko droga w odległości pół do półtora kilometra wzdłuż rzeki. Parokilometry szlak terenu, najbliżej do rzeki położony, był suchy, pokryty osiedłami, polami i łąkami oraz mniej więcej suchym lasem. Natomiast teren w głębi łądu był niezwykle podmokły i nie nadawał się do żadnych działań wojennych, wyjąwszy przemykanie się pojedynczych ludzi i bardzo małych patroli. Zarówno nad rzeką, jak w głębi łądu, ciągnęły się bory; bliżej wody, na suchym gruncie, przeważała sosna; w głębi, na moczarach i trzęsawiskach, rosła tylko jodła lub karłowata olcha czy osika. Zdarzały się olbrzymie, niczem nie zarosłe lub pokryte tylko mchem i ocze-  
retem polany niezglębionych trzęsawisk. Nad nielicznymi jeziorkami i jeziorami przeglądała się w wodzie bielsza, niż gdzie indziej, bo odbijająca od pochmurnego zwykle nieba i posępnego krajobrazu, srebrnolista i zadumana brzoza.

Trudności działań wojennych zwiększały się wskutek katastrofального braku i niedokładności map, posiadanych przez angielskie dowództwo. Jest to bowiem kraj nietylko dziki, bezdrożny i bardzo nikle zaludniony, ale nawet jeszcze dokładnie nie zbadany. Istniejące mapy ilustrują jedynie to, co się znajduje bezpośrednio wzdłuż największych szlaków

wodnych, jak Dźwina Północna lub Onega. Obszary pomiędzy niemi nie są topograficznie wymierzone i choćby zgrubsza wyszczególnione. Najlepszym tego dowodem jest fakt, że ówczesny nasz *attaché* wojskowy w Archangielsku, pułkownik Stanisław Dwoyno-Sołłohub, przedzierając się w drodze na Murman przez puszcę, natrafił na wielką rzekę, nieoznaczoną zupełnie na żadnej mapie, i z jej prądem, zbudowawszy sobie tratwę i żywiąc się rybami, dopłynął po tygodniu podróży do czołowych posterunków angielskich.

Wśród takich borów wyrobiliśmy się czasem na istnych traperów z Arkansasu. Dość było spojrzeć na teren, żeby zgóry powiedzieć, że tędy bolszewik przejść nie mógł, a takie podejścia właśnie lubi, że te głównie zostawili po sobie na starem wypalenisku miejscowi pasterze, a tamte — nasi wrogowie marynarze. Trzeba było trochę zuchwałości, żeby leźć naprzód w tej lepkiej mazi, zostawiając za sobą o wiele kilometrów ztyłu Anglików, Wiatkę i polską kompanję, i trzeba było mieć nosa i wyczuć roztropnym węchem wyżła, kiedy już pora wiać z tej północnej dżungli, zanim nie będzie za późno i zanim z myśliwych nie staniemy się zwierzyną, zamkniętą w potrzasku bez wyjścia.

O ile rozpoznanie skrzydeł i tyłów bolszewickich było trudne ze względu na teren, o tyle front, naszpikowany gniazdami karabinów maszynowych, był ze względu na ogień nieprzyjacielski nie do ugryzienia dla drobnych patroli. Raz tylko wyłamano się z pod

tęgo dogmatu taktyki wszystkich krajów i zademonstrowano nieobliczalność polskiej brawury.

Na zwiady poszedł wówczas po jednym brzegu porucznik Burhardt ze swą sekcją, po drugim brzegu porucznik Hoffner.

Burhardt dawno już wzdychał do „porządnej wojny“, mając dość tej uciążliwej codziennej wędrówki, po której przychodziło się z cennymi dla dowództwa wiadomościami o nieprzyjacielu, ale z pustymi rękami. Burhardt zaś w tej kompanji oczajduszów odznaczał się niepohamowaną żądzą wielkich czynów i niecierpliwością.

W dodatku drażniły go docinki Małaczewskiego, który nazywał go dla młodego wieku „chłopaczkiem“.

— Gdzież krew na tomahawku? — to było jego stereotypowe pytanie po każdym powrocie Burhardta z patrolu.

— Przynieś choć jeden skalp nieprzyjacielski, a uwierzę, żeś lew, a nie chłopaczek.

I Burhardt przyniósł, ale nie skalp, lecz znacznie trudniejszy do zdobycia karabin maszynowy, ze wstęgą w zamku i dziesięciu skrzynkami naboji.

Ale i Burhardt, jak Baranowski i każdy prawy rycerzyk wszystkich czasów (ostrożnie, pamiętnikarze), nie umiał opisać swoich czynów.

— Wyszliśmy na skraj lasu. Patrząc: o pół kilometra na polanie dziesięciu-dwudziestu bolszewików z karabinem maszynowym. Ale karabin maszynowy nie był ustawiony, tylko właśnie mieli go ustawić.

Myślę sobie: a nuż nie zdążą otworzyć ognia? Odwracam się do moich chłopców: — Naprzód, kto w Boga wierzy! — i pędzę na nich bez wystrzału. A tymczasem tamci ustawili karabin maszynowy, założyli wstęgę, ale ognia, jak niema, tak niema; kropią tylko z karabinów. — Co jest? — myślę sobie i biegnę dalej. Trzysta, dwieście kroków zostało, i już bolszewicy wieją. Strzelają tylko gdzieś z prawa i lewa, ale to przez krzaki i zarośla — zgóry wiadomo, że nie trafią. A obsługa karabina maszynowego wciąż jeszcze tam coś przy nim poprawia. Maszynka zacięła się, jak się później okazało. My hura! — i na bagnety, a oni — w nogi. No, i karabin maszynowy jest.

— Toś bohater i będziesz w sławie, jako w słońcu, chodził — zdecydował Małaczewski.

— Ja — bohater? Dlaczego?

— Jakto? Zdobyłeś karabin maszynowy na czele sześciu ludzi i jeszcze pytasz?

— Toć mówię: karabin maszynowy zaciął się i nie strzelał!

— No, ale gdyś krzyczał: — Naprzód, kto w Boga wierzy! — czy wiedziałeś, że się zaciął?

— Nie.

— Więc jesteś bohater!

— Dlaczego?

— Oj, co ja z tobą będę gadał! Drugi Roch Kowalski! Daj mi lepiej papierosa.

Z O R Z A

Służba czat ciężka była i niebezpieczna w tych lasach, chociaż noce były jasne, tak jasne, żeśmy je nazywali białemi. Największą atrakcją były zorze polarne. Cóż, kiedy placówki i czujki zwracano zazwyczaj frontem ku południowi, tam bowiem czaił się wróg, którego należało wypatrywać! Tymczasem zorza polarna jarzyła się zawsze na północnej stronie widnokręgu. Trudno określić uczucie, jakie mnie ogarnęło, kiedy pierwszy raz ujrzał ją. Byłem z Małaczewskim.

— Napisz wiersz o zorzy polarnej!

— O tym cudzie? Nie potrafię! — odparł poeta.

— Jaki tam cud! Zwyczajny biały promień, albo raczej duży biały język, który nam pokazuje w nocy z poza horyzontu ktoś, kogo nie widzimy.

— Język? Nie! Miecz promienisty, którego klingę widzimy na niebie, podczas gdy garda i ręka, co ją dzierży, są niewidoczne. Miecz gniewu i przestrogi Bożej!

— To odpowiada wyobrażeniom semickim o groźnym Jehowie. Chrześcijański Bóg Ojciec — to raczej starzec z dobrotliwym uśmiechem na ustach, nie mówiąc już o słodczy Chrystusa...

— Wyjątkowo masz rację. Ale w każdym razie zjawisko to robi wrażenie cudu.

— Nie dzielam tego zdania. Zwykła zorza polarna, którą oto widzimy, jest przecie matowo-biała, niewielka i sztywna. Jeden tylko szeroki i długi promień, tryskający z poza horyzontu ku górze — i to wszystko... Nie widzę w tem ani potęgi, ani wspaniałości. Jestem nawet nieco zaskoczony i rozczarowany.

— Tak, ale dla mnie niezwykłość zjawiska polega na czemś wręcz innym — na ustawicznym ruchu tych światel. Patrz, oto promień, który przed chwilą wytrysnął ku górze ponad pewnym punktem horyzontu, już posuwa się stamtąd od lewa na prawo. W miarę posuwania się, promień maleje, blednie i wreszcie niknie zupełnie. Wszystko to dzieje się w ciągu kilkunastu sekund. Ale zanim ten promień zakończył swą wędrówkę i znikł, już na jego miejscu widzimy nowy, który wytryska, posuwa się i niknie tak, jak tamten. Wszelki ruch kosmiczny w przyrodzie oparty jest na elipsie. Można jeszcze wyobrazić sobie ruch kołowy. Ale to, co widzimy, tryska najpierw prawie prostopadle do horyzontu, a potem porusza się w kierunku poziomym, aż niknie. I znów ruch prostopadły, i znów poziomy, i tak bez końca... Czyż to nie jest zjawisko niezwykle?

— Może i masz rację. Tylko ja nie odczuwam tyłu wzruszeń mistycznych, co ty. Podziwiam całym ciałem coś innego. Zastanawia mnie kwestja, z czego się składa ten biały płomień północy i skąd bierze początek? Jeżeli z bieguna, to co za kontrast między lodową i martwą śnieżną pustynią, a tym strumie-

niem promienistej lawy, na którą to wygląda! Tylko, że my zaczynamy się przyzwyczajać do zorzy, tak, jakeśmy się już przyzwyczaili do wschodu i zachodu słońca, i nie widzimy w tem nic nadzwyczajnego — z wyjątkiem ciebie, oczywiście, bo od czegoż jesteś poetą?

— Cierpliwości! Zobacysz zorzę kolorową, to ci dopiero oko zbieleje!

— Czekaj tatka latka! Zorza kolorowa bywa tu mniej więcej raz na dwa lata.

— Dwa lata — to szmat czasu. Ho, ho, co może być za dwa lata? Może być Polska?...

— Za dwa lata? Za dwa miesiące chyba!

— Bodajbyś był dobrym prorokiem!



# W

iatka dostaje podobno załogę angielską. Dziś ostatecznie opuściliśmy jej pokład i z piechoty wodno-ładowej staliśmy się piechotą *pur sang* łądową. Przy tej sposobności musiałem zredukować swe rzeczy. Wziąłem do plecaka tylko to, co jest naprawdę niezbędne, a resztę — w wodę, i niech płynie Dźwiną Północną do morza na strawę dla jakiejś fokii, wieloryba, czy niedźwiedzia białego.

Przyznam, że operacja ta nie była zbyt przyjemna. Człowiek w głębi ducha zawsze tęskni do komfortu i kiedy tylko są warunki ku temu — w postaci przestronnej kajuty na „Wiatce“ — zaczyna porastać stopniowo w pierze. Niewiadomo, kiedy i jak kupuje się lub dostaje coraz więcej rzeczy i drobiazgów, które wkońcu wypełniają spory kuferek. Poprostu wrasta się korzeniami w swoją kwaterę, i później nie można bez niej się obejść.

Ale teraz znowu jestem lekki i wolny, jak ptak: *omnia mea mecum porto.*

Podobne uczucie miałem, wyjeżdżając z Homla, kiedy to zostawiłem u matki zawartość dwóch pięknych waliz i, wzięwszy do kieszeni szczotkę do zębów i mydło, powędrowałem na Murman. Wprawdzie miałem, prócz tego, jeszcze i worek, ale to już wyłącznie dla upozorowania handlu cukrem i solą. Jakże ina-



czej można było się przedostać przez granicę? Tylko z workiem. Do walizy trudno było kłaść cukier. Waliza jest równie źle widziana w państwie Sowieców, jak krawat i czysty kołnierzyk.

A wogóle człowiek jest okropny materialista i poprostu zwierzę mięso- i mlekożerne. Gdy się wyrusza w świat na wojnę, myśli się tylko o idei. Gdy się przybywa na wojnę, tęskni się do wygod i dobrobytu, nie zapomina się o kocach, bieliźnie, argentyńskim *corned-beaf*'ie, australijskim *jame*'ie, angielskiej *whisky* i wielu innych rzeczach. Dziś, zamiast chleba, wydali nam twarde, jak kamień, galety — co to był za lament! Jakgdyby to właśnie było celem życia tych wszystkich wypróbowanych żołnierzy i twardych fanatyków niepodległości. Ale człowiek jest człowiekiem. Tylko dyscyplina, regulamin i rygor wojskowy

może utrzymać wojsko w karbach wśród ciężkich trudów wojennych. Zaczynam rozumieć dawne szlacheckie pospolite ruszenie i wcale się nie dziwię, że szlachta nie lubiła maszerować „komunikiem“ bez taborów, a więc bez kobierczyka, bigosu i kusztyczka miodu.

Dziwię się natomiast, że nie wprowadzono kary śmierci za wypowiedanie posłuszeństwa królowi i hetmanom.

Co mnie jeszcze uderza na wojnie, to zaostrenie wszystkich zmysłów użycia, a zwłaszcza — smaku, i przytępienie tego, co nazywamy brzydzeniem się. Brzydziłem się przed wojną pić wodę z rzeki; dziś, gdy wypadnie, piję ją z kałuży. Brzydziłem się kiedyś — bez żadnego zresztą powodu — rąk pokojówki i wymagałem, aby mi wszystko podawała kucharka. Dziś jem niemytym widelcem mego kolegi.

A oto jeszcze jeden klasyczny przykład przytępienia zmysłu obrzydzenia.

Jesteśmy na zwiadach pod Ust-Waga. Docieramy do miejsca, opuszczonego przez aljantów przedwcześnie po potyczce z marynarzami. Przechodzimy obok trupa. Już go czuć. Zabity bolszewik ma na sobie jakiś worek. Może są tam jakieś dokumenty? Każę go obszukać. Jednak w tej samej chwili szperacze dają znać, że nieprzyjaciel zbliża się i w przeważających siłach wkracza do naszego lasu. Już padają pierwsze strzały. Nic tu po nas i po naszych sześciu bagnietach! Trzeba się wycofywać. Ale worek zabitego marynarza zabieramy ze sobą do obszukania. Teraz

wracamy z wywiadu. Obszukuję worek i nie znajduję w nim nic, prócz łyżki, noża, chleba, dwu granatów ręcznych i... puszki z cukrem i herbatą.

— Rzuć to świństwo! — mówi mi Sosnowski.

Rzucamy. Ale cukier przyda się i herbata też.

Zdaję sobie sprawę, że po wojnie powiedziałbym na to obrzydliwość!

A teraz furda! Pijemy herbatę z trupa — i smakuje!

T A M N A B Ł O N I U  
B Ł Y S Z C Z Y K W I E C I E



Miałem w 1-ym pułku ułanów kolegę,  
który stosował do siebie słowa:

„Byłbym ci ja księdzem,  
„Gdyby nie kobiety!...“

Traf chciał, że koń jego był też „siwy, jabłkowi-ty“, jak w owej znanej piosence. Koń ten był stale przedmiotem mojej zazdrości, podobnie, jak niektóre niezrównane podboje miłosne jego właściciela.

Ale to wszystko należy do przeszłości. Koń zginął pod Krechowcami, a jeździec? Bóg wie, gdzie go teraz fantazja kawalerska i nieśmiertelna polska *irredenta* nosi. W każdym razie gdzieś na Donie lub Kaukazie. Ale nie o to chodzi. Jużbym o nim zapomniał, gdyby nie dzisiejsza przygoda.

Czem zostałbym ja, gdyby nie kobiety — trudno- by mówić... Łatwiej wyliczyć, czem, dzięki nim, nie zostałem. Świeżo, pod wsią Pieniuga, dzięki kobiecie, nie zostałem trupem. A było to tak.

Zrana tego dnia przybyły do nas Dźwiną posiłki w postaci bataljonu „Royal Scot Regiment“, czyli królewskiego pułku Szkotów. Bataljon wylądował, a my ze zdumieniem przyglądaliśmy się cudownemu, ale i nieprawdopodobnie ciężkiemu wyekwipowaniu brytyjskich żołnierzy. Przybywszy z okopów Flan-

drji, wlekli ze sobą wszystko, co im w tych okopach kiedykolwiek wydano. Rezultat był taki, że, opuszczając statek, każdy Szkot, prócz karabina, hełmu, plecaka, chlebaka, półtorej setki naboji i dwóch granatów ręcznych, ciągnął z sobą jeszcze dwa duże wory. Co w tych worach było — nigdy się nie dowiedziałem, bo nagle wysłano mnie na szereg zwiadów, a w tym czasie, po dwóch dniach, Szkoci już powyrzucali wszystko, co im zawadzało w wojnie ruchowej.

Widok oddziału żołnierzy, z których każdy niósł na plecach jeden duży tłumok, niby worek z mąką, a drugi wór włókł drugą ręką obok siebie po ziemi, był rzeczywiście bardzo niezwykły i zabawny. Spowodowało to liczne żarty, komentarze i nawet nowe decyzje. A więc zdecydowałem jeszcze bardziej ulżyć sekcji polskiej, udającej się ze mną na zwiady, i kazałem zostawić w kompanji, wbrew regulaminowi, wszystkie hełmy, a wziąć zamiast nich czapki.

To wpłynęło na dobry humor moich wiarusów. Szliśmy na zwiady lekko i wesoło, jedynie z karabinem w dłoni i nabojami w ładownicach. Małaczewski po swojemu uprzyjemniał nam czas, dowcipkując na temat brytyjskiego ryszunka. Nastrój był taki, że brakło tylko — p r z y g o d y. A wiadomo, że nastrój robi wszystko i może wszystko.

Korzystając ze wskazówek przewodników, którzy dziś do nas zgłosili się na ochotnika w liczbie czterech (nazajutrz wszyscy wpadli w ręce bolszewików i zostali rozstrzelani), podszedłem bez wystrzału pod

samą wieś, w której świeżo stanął na wypoczynek większy oddział bolszewików. Odbywali właśnie tam swój dłuższy postój. Opłotki i krzaki zasłaniały wprawdzie wgląd do środka „dierewni“, ale placówki na skraju wsi, znajdujące się o paręset metrów od mojego punktu obserwacyjnego, były doskonale widoczne. Po sile i rozstawieniu placówek można było wywnioskować o sile oddziałów, znajdujących się we wsi. Rozpoznanie było zatem wykonane.

Posłałem wyczerpujący meldunek, lecz nie chciałem jeszcze wracać. Powiedziałem sam sobie, że poczekam jeszcze, aż bolszewickie siły główne zaczną wychodzić ze wsi. Ukrywszy się na skraju lasu, obserwowałem więc dalej wieś, bolszewickie placówki i drogę, prowadzącą od nich ku mnie. Patrol swój ukryłem o dwieście kroków z tyłu po za sobą, dlatego, aby ruch ludzi na skraju lasu nie zdradził naszej obecności. Początkowo byliśmy we dwójkę z jednym strzelcem, zaś po odesłaniu meldunku zostałem sam. Zrobiło mi się wówczas trochę samotnie i nieswojo, ale zarazem wesoło, i zadzierzyście.

To wszystko nie wykraczało zresztą poza przeżycia z codziennych zwiadów i potyczek. Atrakcją natomiast było, że nagle przede mną ukazała się dziewczyna niezwyklej urody. Początkowo myślałem, że to chłopka: taka sama zwykła czerwona chusta na głowie, takąż koszula i charakterystyczna spódnica. W rękę dzierżyła sierp, którym żęła poletko lichego owsa, ciągnące się wzdłuż lasu, w którym się kryłem.

Na tem jednak kończyły się w niej znamiona włościanki. Postawa, ruchy, wdzięk, wyraz twarzy i niewysłowny urok melancholijnych i jakby stale załęcznionych oczu znamionowały damę, a raczej pannę z towarzystwa. Narodowość? Nie wiem. Podobno piękno absolutne ma charakter międzynarodowy. Ale skąd to przebranie? Widocznie to jakaś „burżujka“ na wygnaniu, żona rozstrzelanego męża, córka powieszzonego ojca, lub jedno i drugie razem w jednej osobie. Podwójnie sympatyczna osóbką i potrójnie ładna bestyjka. Już czuję, że zrobię dla niej wszystko, z wyjątkiem jednego tylko: z wyjątkiem niewykonania zadania bojowego. Lecz — *sapristi!* Wykonać zadanie — to właśnie nie zdradzić położenia patrolu. A zatem ani kroku naprzód ku „sarence“, jak ją sobie odrazu nazwałem z powodu tych wilgotnych bezbronnych oczu...

Wszystko to przemknęło mi lotem błyskawicy przez mózg (no — i przez krew!). Zdławiwszy kwiat uczucia butem obowiązku, porwałem ze złością lornetę i zacząłem obserwować bolszewików.

Lecz któż, patrząc w teatrze na scenę, nie zerknie też i na sąsiadkę w łoży? Coraz częściej przeplatałem tedy w soczewce mej lornetki polowej brodate pyski marynarzy piękną twarzyczką nieznanąjomej.

A nieznanąjoma spostrzegła mnie w pewnej chwili także. Było to wówczas, kiedy, znąc niewprawną ręką owies, zbliżyła się o jakieś czterdzieści kroków do jedliny, za którą się kryłem. Początkowo zerwała się i chciała uciekać. — Stoj! — krzyknąłem po rosyjsku

i złożyłem się dla postrachu z karabina, nie mając oczywiście zamiaru strzelać. Usłyszała i, wypuściwszy sierp z drżącej ręki, stanęła, bezradnie wlepiając we mnie swe duże czarne oczy.

— Nie uciekaj, bo mnie zdradzisz! — krzyknąłem mimo wszystko bardzo ostro.

— *Niet, naoborot* — wyszeptała zbielełymi ustami i postąpiła ze dwa kroki ku mnie.

— Zostań, gdzie byłaś i żnij dalej, tak, jakgdyby nas tu w lesie wcale nie było!

Skomenderowałem to bardzo niechętnie, ale musiałem tak postąpić, bo dziwne zachowanie się nieznojomej i tak już mogło zwrócić uwagę bolszewików.

Panienska, ochłoniwszy nieco z przerażenia, zaczęła dalej żać, spoglądając ukradkiem raz ku mnie, raz ku marynarzom. Tak minęło kilka długich chwil. Czy to było pięć minut, czy pół godziny? Nie patrzyłem wówczas na zegarek, patrząc w głąb swej duszy i w głąb jej oczu, które się znajdowały już tylko o dwadzieścia kroków ode mnie.

Jeszcze chwila i każę jej podejść bliżej, każę jej... Zresztą, czy ja wiem, co ja jej każę? Wiem tylko, patrząc w te oczy, że ona wykona wszystko i wykona z rozkoszą. Dlaczego? Nie byłem nigdy zarozumiały ze swej powierzchowności. Ale dla niej widocznie byłem tak samo nieodparty, jak ona była nieodparta dla mnie. M ó j t y p! J e j t y p! Co za spotkanie!

A dalej? — Dalej powinien snuć się cały poemat, cały film. Czy film może się skończyć na pierwszym

akcie? Nigdy! Ale w życiu tak właśnie bywa, niestety.

W pewnej chwili usłyszałem rozpaczliwy szept — pierwsze i ostatnie zdanie, jakie do mnie kiedykolwiek wymówiła:

— *Ubiegajcie! Was okrużajut z dwóch stron! Czerez minutu budiet śliszkom pozdno!* (Uciekajcie! Otaczają was z obu stron! Za chwilę będzie za późno!)

Nie było rady. Posłałem pannie buziaka i, krzyknąwszy po polsku „Dziękuję!“, pobiegłem pędem do swoich, aby ich wyprowadzić z matni.

N A T Y Ł A C H





d Dźwiny do pagórka piaszczystego z trzema sosnami wszystko już było obsadzone przez nieprzyjaciela. Bolszewicy po dwudniowym odwrocie nie zdążyli się jeszcze okopać na nowej pozycji. Ale są w trakcie okopywania się. Wszystko wskazuje na to, że zamierzają tu zatrzymać się i stawić zacięty opór.

Patrole szybko stwierdziły front bolszewicki i ustaliły w przybliżeniu jego zarys. Naturalnie udało się rozpoznać — i to niezbyt dokładnie — jedynie przedni skraj pozycji. Ukryte i zamaskowane szczegóły oraz stanowiska odwodów pozostały, jak zwykle, wielką niewiadomą. Na to nie było innej rady, jak wydać bój głównymi siłami. Ale główne siły Anglików jeszcze nie nadciągnęły, a baterje podobno utknęły gdzieś w błocie.

Narazie chodziło majorowi Skillowi o rozpoznanie skrzydła. Dano mi dwóch ludzi i skierowano na obejście piaszczystego wzgórza z trzema sosnami, gdzie stwierdzono już przedtem dwa skrzydłowe bolszewickie karabiny maszynowe. Miałem stwierdzić, czy wzgórze jest istotnem skrzydłem, czy domniemanem. Inaczej mówiąc, czy bolszewicy nie przedłużyli skrzydła od wzgórza aż do bagien, które w tem miejscu zaczynają się dopiero o pięć kilometrów od rzeki.

Ze wszystkich szeregowych najbardziej lubiłem Martyna, Zahorskiego i Dąbka. Dziś poszli ze mną Martyn i Dąbek, wypróbowane wiarusy i zabijaki. Szliśmy z ochotą, jak na polowanie, a każdy z nas był wyżłem i myśliwym w jednej osobie.

Najpierw mieliśmy do przebycia kawał pola. Ominęliśmy je, idąc skrajem lasu, by obserwować pole, a jednocześnie nie dać się zauważyć. Później ciągnęły się krzaki i torfiaste polany, na których skakało się z kępki na kępkę. Przez krzaki przedzieramy się prze-myślnie i cicho. Tu widać tylko o parę kroków; trzeba więcej słuchać, niż patrzeć, a jednocześnie być w każdej chwili gotowym do spotkania. Ja mam bagnet na broni, koledzy — granaty w ręku.

Pastuchów, pasących krowy, omijamy zdaleka. Wierzyć im i tak nie można, a gdy się raz zdradzi swą obecność i ruch na skrzydło, taki łotr może naprowadzić bandę bolszewików.

Doszliśmy do pierwszej polany wśród haszczy. Ominęliśmy ją. Ominęliśmy potem i drugą. Trzeciej, długiej, jak cholera, i leżącej wpoprzek do naszego ruchu, nie warto omijać: przebędziemy ją biegiem. Martyn i Dąbek, schowawszy granaty w kieszenie i zdjawszy karabiny z pleców, biegli po trzęsawisku, jak łosie. Ja byłem mniej zręczny, jakkolwiek wychowałem się na wsi. W jednym z skoków omyliłem się o cal. Noga ześlizgnęła się z kępki — i z wielkim pluskiem wałę się do wody. A żeby cię!... Chwytam za samotny krzaczek. Wiklina wymyka mi się z ręki. Chwytam za najbliższą kępkę, jak za wysta-

jący pępek zbawienia. Po chwili znów skaczą z kępki na kępkę, niby z pępka na pępek. Ale plusk nie jest czemś, co można uchwycić ręką i przytrzymać. Poleciał w przestrzeń obwieścić wszystkim, że idziemy. A szkoda! Przykrywamy się ciszą, jak pokrywą, zaś wszelki hałas — to wróg i zdrajca. Takie jedno poślizgnięcie może poprostu kosztować gardło.

Ale nie kosztowało. Przeleżeliśmy na przeciwległym skraju polany torfowej kilka minut, pilnie nasłuchując i komentując szmery i odgłosy leśne, a gdy nic nie zdradzało reakcji ze strony nieprzyjaciela, ruszyliśmy dalej.

Po godzinie doszliśmy do skraju niewielkiego osiedla, składającego się z pięciu-sześciu zagród. Wzgórze z trzema sosnami zostało z prawej strony poza nami. Byliśmy na tyłach.

Może wrócić i zameldować, że skrzydło wolne i że można obejść nieprzyjaciela tą samą drogą, którą tu dotarliśmy? Ale major Skill gotów powiedzieć, że nieprzyjaciel prawdopodobnie obsadza nieznanne osiedle bez nazwy, leżące przed nami. A więc zbadamy osiedle.

Wyjrzeliliśmy z lasu z prawej strony — nic. Cofnęliśmy się i wyjrzeliliśmy z lewej strony — chłop rąbie pod chałupą drzewo. Zaszliśmy z trzeciej strony i spojrzeli z pagórka, porośłego krzakami — nic. Wówczas — *handgranaty do graby*, jakby powiedział Baranowski, i biegiem do wsi!

We wsi nie było jednak nikogo, prócz brudnych, brzuchatych bachorów oraz wystraszonych chłopów

i bab. Mogliśmy wracać, omijając wzgórze z trzema sosnami, tak, jak ominęliśmy je, przekradając się tutaj.

Ale ruch naprzód, ustawiczna gotowość do rzuca-  
nia się na nieprzyjaciela, gdyby się wyłonił *bec-à-bec*  
z za krzaków lub z za chałup, oraz te granaty któ-  
reśmy to brali do ręki, to chowali, rozgrzały nas. Po-  
stanowiliśmy skrócić stąd wprost ku wzgórzcu z trze-  
ma sosnami i spojrzeć nań zbliska, od tyłu.

Aby tylko nie zabłądzić w tych krzakach! Nie-  
znaczną zmianą kierunku zaprowadzi nas bądź w to-  
piel, bądź na jeszcze głębsze tyły nieprzyjacielskie,  
skąd trudno będzie powrócić, zwłaszcza, jeżeli chłopci  
z *dierewni* okażą się szpiegami.

Co tam! mniejsza!... Naprzód w drogę przez lasy  
i pola!

— — — — —  
Po pewnym czasie stanęliśmy na skraju ostatnie-  
go lasu. Przed nami — droga; za nią majaczy wdali  
rzeka. To Dźwina. A ta droga — to główna linja ko-  
munikacyjna bolszewików. A więc zmyliliśmy kierun-  
nek i jesteśmy na głębokich tyłach.

Skoro jednak już tak się stało, trzeba wykorzy-  
stać sytuację. Może przejdzie tędy jakiś goniec, na-  
winie się kilku taborytów lub mały patrol — to się  
ich przyłapie. Grunt — ukryć się i zaskoczyć nieprzy-  
jaciela, a przedewszystkiem — zobaczyć go wpierw,  
nim on nas zobaczy. W tym celu, zostawiwszy obu  
swych ludzi w lesie, wysunąłem się ku grupie drzew,  
rosnących o kilkanaście kroków przed lasem, rzuci-

łem karabin na ziemię i wlałem na drzewo. Przydała się łobuzerska praktyka lat dzieciennych, i nie poszły na marne wszystkie podarte wówczas spodnie. W parę minut znalazłem się w koronie i usadowiłem się tam, jak w fotelu.

Stąd widzę nietylko drogę, ale i wieś w centrum pozycji obrony bolszewickiej. Nie dbałem o to, co się działo na dole i w lesie, gdyż tam byli Dąbek i Martyn.

We wsi, ukrytej wśród drzew i krzewów, nie dostrzegłem nic. Na drodze — żadnego ruchu, przynajmniej narazie. Na Dźwinie — dymy eskadry nieprzyjacielskiej. Poza drogą, między rzeką a nami, o jakieś półtora kilometra od drzewa, na którym siedziałem, zarysowało się w terenie bardzo długie wgłębienie. Tam pewno stoi artylerja bolszewicka.

A może podejść jeszcze tych parę kilometrów i rozpoznać ją dokładnie? Straszno: za daleko do swoich...

Ciekawa jest psychologia pracy na tyłach. Jeszcześmy nie słyszeli ani jednej kuli, a już byliśmy napietrani, jak w największej bitwie. O ileż łatwiej narażać się w okopie, gdy w prawo i w lewo biją się sąsiednie oddziały własne, a z tyłu leżą własne oddziały odwodowe! Tam jest f r o n t, i człowiek czuje się integralną częścią frontu. Tu czuje się tylko człowiekiem z marnym karabinem w łapie. I wie, że w tej wsi, którą właśnie widać, oraz w prawo i w lewo od niej istnieje ściana frontu nieprzyjacielskiego, której się nie przebędzie, chyba okrążając ją od wscho-

du. Ale czy droga powrotna będzie wolna? Oto jest pytanie, wobec którego takie zagadnienia, jak nieśmiertelność duszy, zagadka bytu i inne, zupełnie nie istnieją.

A czy właściwie to drzewo jest bezpieczną kryjówką? I czy dobrze zrobiłem, zostawiając karabin na ziemi, aby się na nie wdrapać?

Nagle zdołu — zdyszany szept Martyna: — Bolszewicy! Bolszewicy w krzakach!...

Zlazłem z drzewa, jak szympanś — nie, jak wieiórka. Ale i to określenie nie jest dokładne. Stoczyłem się zeń, jak kula, i chwyciłem za karabin. Nieprzyjaciel za blisko, by uciekać — trzeba na niego runąć. Runąć natychmiast, w mgnieniu oka. Oszłomić zuchwalstwem i rozbić oddział nieprzyjacielski, a potem zwiać. Ale gdzie oni? Gdzież są ci bolszewicy?

Naokoło — krzaki. Straciłem z oczu nawet Martyna. Ale za najbliższym krzakiem w prawo mignęła obca czapka, a jednocześnie na lewo poza sobą usłyszałem tupot nóg. Rzuciłem się nie na tupot (kilkaście kroków ode mnie), ale na czapkę (o kilka kroków). Musiałem mieć oczy krwią nabiegłe, bo, gdy wyskoczyłem z za krzaka z pochylonym bagnetem, ani twarzy, ani munduru, ani uzbrojenia bolszewika nie dojrzałem. Zobaczyłem tylko jakiś niewyraźny cień. Wystarczy to jednak, żeby zgasić życie ludzkie, jak świecę: jeden tylko wściekły zamach i jedno uderzenie...

Sekunda — zamach już jest, ale uderzenie zatrzy-

małem w ostatniej chwili: człowiek, stojący przede mną, nie jest żołnierzem!

Padł na kolana i obłądnym głosem jął powtarzać, jak klasyczny jękała: — Ja... kro...kro... krowy... Boże!... krowy...

— To chłop! — mówią moi żołnierze — a trzech innych chłopów uciekło.

— Gdzież bolszewicy?

Chłop gotów był powiedzieć wszystko, ale nie potrafił wyjąkać nic. A przesłuchanie nie mogło trwać długo. Ktoś już zaalarmował wieś, i trzeba było natychmiast uciekać. Puściłem chłopą, i zaczęliśmy wyrywać okrężną drogą ku swoim.

Nie zdarzyło mi się nigdy w życiu spotkać bardziej przerażonego człowieka, niż ów wieśniak.

Pytanie, czy on miał kiedykolwiek przed sobą bardziej przerażonego żołnierza.

R E F L E K S J E

A teraz — parę refleksyj o sytuacji ogólnej w Europie w roku 1918.

Bolszewicy, zrzuciwszy u siebie w Rosji tak zwane „jarzmo burżuazji“ i utopiwszy je w morzu krwi rosyjskiej, marzyli o tem samym na całym świecie. Tak jednak byli nastawieni tylko ich wodzowie. Masy, zmęczone wojną światową, nie kwapiły się do szeregów czerwonej armji i wołały wyrzynać po wsiach, miastach i miasteczkach resztki bezbronnych „burżujów“. Niesienie żagwi rewolucji poza granice kraju było mniej popularne. To też naczelne, oficjalne hasło czerwonej armji, które brzmiało: „*My na gorie wsziem burżujem mirowoj pożar razdujem!*“ — pozostało narazie czczym frazesem i jedynie nakazem przyszłości.

Natomiast nakazem chwili była tak zwana „przedyszka“, czyli krótki odpoczynek po jednej wojnie światowej przed drugą wojną światową, którą miano podjąć dla zrewolucjonizowania kuli ziemskiej w nieokreślonej, choć niedalekiej, przyszłości.

Narazie zawarto dla nabrania tchu i ugruntowania nowego ustroju wewnątrz państwa haniebnny dla Rosji pokój brzeski z Niemcami i nie kwapiono się do walki z Ententą.

Co do Niemiec, dobywały one resztek sił, aby wy-

walczyć zwycięstwo na froncie zachodnim i w związku z tem ściągnęły na zachód z okupowanej Ukrainy i Białorusi wszystko, co mogły.

Ententa, szykując się ze swej strony do ostatecznej rozgrywki na froncie zachodnim, musiała za wszelką cenę dążyć na wschodzie bądź do odtworzenia rosyjskiego frontu przeciwniemieckiego, bądź do stworzenia tam bodaj jakiejś przeciwniemieckiej ruchawki, któraby odciążyla sytuację na zachodzie.

Dlatego przez czas dłuższy usiłowano nakłonić Sowiety do ponownej wojny z Niemcami, a gdy to nie poskutkowało — zdecydowano się na zbrojną interwencję w formie *dessantu* koalicyjnego w Archangielsku i *dessantu* japońskiego we Władywostoku.

Liczono na to, że z chwilą ukazania się w Rosji Europejskiej pierwszego żołnierza w uniformie angielskim lub francuskim, nastąpi w całym kraju ogólne przeciwbolszewickie powstanie, co spowodzi w dalszej konsekwencji ponowne przystąpienie Rosji do wojny z Niemcami. Wobec tego siły *dessantu* murmańskiego ograniczono do *minimum*.

Rachuby te nie zawiodły o tyle tylko, że powstania generała Denikina i admirała Kołczaka, wspomaganego przez legjony czeskie i polską dywizję pułkownika Czumy, istotnie wzmogły się na siłach i rozszerzyły swój stan posiadania. W sierpniu roku 1918 w rękach „białych“, prócz Archangielska i Murmańska, znajdowały się: cała Syberja, Turkiestan, Kaukaz, Don i dolny bieg rzeki Wołgi.

W rękę „czerwonych“ został natomiast obszar



Rosji Centralnej wraz z Moskwą i Petersburgiem. Był to obszar najludniejszy, najbardziej uprzemysłowiony i najbardziej zrewolucjonizowany. Przytem centralne położenie bolszewików w stosunku do poszczególnych frontów przeciwbolszewickich ułatwiło im manewrowanie po liniach wewnętrznych i kolejne koncentrowanie wojsk w najodpowiedniejszych punktach.

W tych warunkach wszystko zależało od organizacji, ideowości i bitności wojsk białych oraz odpowiedniego zorganizowania tyłów.

Czynniki te zawiodły na całej linii. Inteligencja rosyjska była zarażona tym samym nihilizmem — w znaczeniu braku jakichkolwiek pobudek naprawdę ideowych — co i nihilistyczne masy. Egoistycznemu materjalizmowi mas nie zdołano przeciwstawić żad-

nego innego ideału, jak tylko powrót „do dawnych, dobrych czasów“. Pod względem zaś energii i brutalności w dążeniu do urzeczywistnienia swych celów, bolszewicy przewyższali znacznie przeciwników. Bierność, fatalizm i apatja inteligencji rosyjskiej i rosyjskich oficerów przechodziły wszelkie pojęcie. Dołączyło się do tego wzrastające, w miarę utraty wiary w powodzenie, powszechne zdemoralizowanie wojska. Reszty dokonały wstrząsające wieści o straszliwym terrorze sowieckich władz i nieprawdopodobnych okrucieństwach c z e r w y c z a j k i, czerwonej armji i zwykłych bolszewickich band. Odplacano im wprawdzie na frontach (z wyjątkiem archangielskiego) pięknem za nadobne, ale były „białych“ żyły pod wrażeniem bolszewickich okrucieństw, były wskutek tego zawsze skłonne do paniki i do zdrady za łada niepowodzeniem oddziałów frontowych.

Wszystkie te przyczyny złożyły się na to, że w rosyjskiej wojnie domowej doszło na czas dłuższy do pewnej równowagi wrogich sobie sił i że żadna ze stron nie uzyskała przez czas dłuższy decydującej przewagi. Zapowiadana rychła likwidacja bolszewizmu przeciągała się w nieskończoność. Czerwoni nie tylko utrzymali się w centrum Rosji, ale powoli zaczęli brać górę — zresztą bynajmniej nie dzięki własnym walorom, lecz wskutek absurdalnego „bezhołowia“ i nieudolności białych. Rosja ówczesna była krajem, gdzie czas pracował na rzecz ustroju sowieckiego. Niechętnie zrazu bolszewikom masy bardziej nienawidziły obalony carat i jego metody, niż nowy

stan rzeczy. To też wskrzeszenie dawnego stanu rzeczy było straszakiem, którym perfidnie i skutecznie operowała agitacja bolszewicka, wyzyskując wszystkie błędy Kołczaka i Denikina.

Drugim straszakiem agitacyjnym było widmo nowej wojny Rosji z Niemcami, wojny, której masy rosyjskie, pomne hekatomb wojny światowej, miały już dosyć. Straszak ten był tem skuteczniejszy, że odpowiadał istotnym zamierzeniom Kołczaka i Denikina.

W tym stanie rzeczy likwidacja bolszewizmu i odtworzenie na Białej Rusi i Ukrainie nowego frontu rosyjsko-niemieckiego zależałoby od tego, czy koalicja wyśle dostateczną ilość dywizyj na Moskwę przez Archangielsk. Z chwilą, gdy Ententa ograniczyła się do wysłania zaledwie kilku bataljonów, sprawa została pogrzebana. Wraz z nią pogrzebana została nadzieja połączenia się oddziałów wojsk polskich, zorganizowanych na Murmanie, z dywizją syberyjską pułkownika Czumy i nadzieja wspólnego marszu ku Polsce.

Sytuacja w Rosji była więc niewesoła. Zato w jesieni poprawiło się położenie na froncie francuskim. W pewnej chwili dowiadujemy się, ku wielkiej naszej radości, że słynna „linja Hindenburga“ została przezwana. Niemcy są w odwrocie; koalicja zwycięża. Maluczko, a skruszą się kajdany okupacji niemieckiej nad Wisłą. Czy zdążymy na czas do Polski z bronią w ręku — my, murmańczycy?

Djabło mało nas i mało tych aljantów na dalekiej północy!

XX

NIEDYSPONOWANY

**I**u-u, iu-u, iu!!! — świsnęło mi trzy razy nad uchem. Padłem na ziemię odruchowo, jakgdyby mi te kule przeszły serce i mózg, jakgdyby mnie kto błyskawicznie porwał za kołnierz, obalił i wcisnął twarzą w piach.

— Boisz się! — stwierdziłem ze złością w duchu, a równocześnie przywarłem nosem do ziemi za snopkiem zboża.

Stamtąd skomenderowałem swej sekcji „Padnij!” — bo znów świsnęło trzy razy, a gwizdowi trzech kul zawtórował zaraz woddali odgłos trzech strzałów — coś, jakby trzy suche klaśniecia jakichś potężnych dłoni: taku — taku — taku. To odgłos austriackich Manlicherów. Wczoraj mieliśmy przed sobą oddział, uzbrojony w karabiny rosyjskie, a więc bolszewicy otrzymali jakieś nowe posiłki.

Zresztą — zaraz stwierdzimy. Po diabła wysłano mnie z sekcją w szpicie straży przedniej? A więc — do dzieła! Najpierw podniosę głowę i rozejrzę się dokładnie, skąd do nas strzelają.

Iuu — iuu — iuu! — zaśmigały znowu złowrogie jaskółki bitwy. Każdy gwizd — tak szybki, jak myśl, a tak krótki, jak uderzenie gromu. Nie uderzy w człeka kula, która już gwizdnęła i przeleciała. Ale uderzy weń mocniejszy od niej i od niego strach.

Sparaliżuje ręce i nogi, zamroczy umysł i nagnie podniesioną głowę ku zbawczej brózdzie.

Schowałem tedy błyskawicznie głowę zpowrotem i nie zobaczyłem nic, prócz małego obłoczka kurzu tuż przed nosem. A po lewej pięcie, od trzech lat zupełnie nieczulej wskutek dawnej rany, nagle, ni z tego, ni z owego, zaczynają biegać ciarki.

Psiakrew! co to ze mną dzisiaj? Nie nerwy, ale galareta!... Jestem coraz bardziej zły na siebie, a mimo to nie mogę uspokoić bicia serca i opanować drżących rąk. Bywają takie dni. Nie mogę nawet wysłać gońca z meldunkiem do tyłu, obawiając się, że koledzy posłyszają drżenie w głosie.

A przytem to idjotyczne, niczem nieuzasadnione przekonanie — gdyby przekonanie! — ale niezachwiana pewność, że następna kula trafi prosto w łeb! Na pewno mnie, na pewno w łeb i na pewno za sekundę... Już widzę siebie na marach, a i te obłoczki kurzu od kul wkoło mnie wyglądają, jak gromnice. Znowu próbuję podnieść głowę i znowu ją chowam, choć to jeszcze nie żadna bitwa, tylko tak zwana „pierwsza styczność“. Prawdopodobnie kilka, czy kilkanaście karabinów z jakiejś placówki, czy patrolu, czy też może szpicy nieprzyjacielskiej straży przedniej puka sobie do nas z odległości sześćset-siedmset metrów. Ładnie się ten dzień zaczyna! Minuty płyną, a ja nie jestem w możności zdecydować się na coś i cokolwiek przedsięwziąć dla wyjaśnienia sytuacji. Daremnie przywołuję na pomoc pamięć dni świetniejszych i wyblakły miraż sławy. A nadomiar

wszystkiego — to gładkie i równe ściernisko bez pokryć i fałd terenowych, bez żadnych „martwych pól“ i ukrytych podejść. Tu nie pomoże spryt, zręczność, doświadczenie, wyszkolenie. Tu, żeby coś istotnego zbadać, trzeba iść wprost na strzały. Jeśli ich mało — to zwieją. Jeśli dużo — to ogniem karabinów maszynowych zdradzą swe stanowiska w lesie i swoje siły.

Ale iść na strzały — nie łatwo. Zabrakło, jak to się mówi, p i e p r z u. Życ! Szaleńcze pragnienie życia potężnieje coraz bardziej i rośnie na wyścigi z poczuciem małości i nikczemności. Czuję się w tej brózdzie ziemi — ludzkim robakiem.

Tymczasem w sekcji, nienawykłej do bezczynności, ten i ów spogląda na mnie ze zdziwieniem.

— Może ja wylezę na tę górkę obok? stamtąd wszystko widać — zabrzmiał jakiś głos. To leżący obok mnie Ignacy Giedgowd, przemówił, przeciągając z litewską każdy wyraz, tym samym tonem, jakim przed godziną prosił mnie o moją rację tytoniu. To proste zdanie, wyrzeczone najzwyczajszym głosem, zaimponowało mi. Psiamać! Albośmy to jacy-tacy? Do chrzaniu z ludzkim robakiem! Zaimponować jemu, sekcji, wrogom, a przede wszystkim — sobie! Po polsku i po żołniersku! Ale to — potem. A narazie — obowiązek posłania meldunku.

— Na tę górkę? Nie, bracie! Tam pójdzie kto inny. A ty idź do dowódcy straży przedniej — o, tam, pod wieś — i zamelduj, że pierwsze strzały padły z lasu, jeden kilometr na południe od wsi Borki. Szpicca zaraz rozpozna lub spędzi nieprzyjaciela.

Giedgowd wstał i z litewską flegmą poszedł ku tyłowi. Wślad za nim posypały się strzały, a wokół jego nóg wykwitło i zginęło kilka małych obłoczków kurzu. To miejsca, gdzie padły kule. Czemu idzie tak wolno po tej równinie? Zbyteczna brawura. — Biegiem! Skokami! — krzyknąłem, ale nie dosłyszał, a ogień trwał. Niebawem znikł za najbliższą stertą, i znów zrobiło się cicho. Tak cicho, że słychać było bzykanie owadów i brzęk manierek maszerującej gdzieś daleko poza nami straży przedniej.

Straż przednia zbliża się jednak do pola bitwy; trzeba się śpieszyć. Trzeba wykonać zapowiedź, zawartą w meldunku, choć tak dobrze kryć się w tej kochanej brózdzie ziemi, za zbawczym snopkiem — ach, jak dobrze! Rzekłbyś, że brózda zazdrosna jest o mnie i tuli mnie do siebie, jak kochanka. Stanowczo nie jestem dziś dysponowany do narażania własnej skóry...

A więc muszę dać sobie bata!

Teraz ja pójdę tą górką ku nieprzyjacielowi, a sekcja pójdzie dołem... Albo nie — sekcja zostanie ztyłu...

Zaraz! Aby tylko zerwać się na równe nogi z tej przeklętej brózdki! Raz, dwa, trzy — hopla! Wstałem.

Iuu — iuu — iuu!... Znów to podłe uczucie przenikania przez wszystkie nerwy każdej kuli, która gwizdnięciem oznajmia, że przeleciała obok. Ale teraz strach nie porwał już mnie za kołnierz i nie cisnął o ziemię. Teraz ja sam jedną ręką prowadzę siebie, drugą — dławię za gardło miotające się przed oczami

przerażenie. Aż zdławiłem i idę — nie idę, lecz lecę na skrzydłach odwagi! Sekcja, stać! — a ja naprzód! Strzelają, a ja naprzód! Brawo! Już się nie wstydę. Przeciwnie; jestem dumny, a zarazem spokojny — tak spokojny, jak głąz, lecący naprzód bez nerwów. Zabijają? Mniejsza! Ranią? Wszystko jedno! A zresztą — kto powiedział, że mi się coś stanie? Furda wszystko, i naprzód! Jak lekko i radośnie biegnie się po tej ciężkiej grudzie! Jak ślicznie śpiewają jaśkółki! A pyłki i kurze pod nogami wyglądają wcale zabawnie. Ja lecę, a sekcja na mój rozkaz leży w rowie. Czy to nie głupio z mej strony? Trudno! Lepsze głupstwo, niż hańba. A coby było, gdyby spostrzegli po poprzednim drzeniu rąk, głosu — jeszcze tę trupa bladość na twarzy, którą dotąd, mimo wszystko, czuję? Niech widzą, że nie jestem tchórzem!

— A może posuwać się „skokami“? Paść, aby zerwać się i znów paść, i znów się zerwać? Lecz nie! Nie chcę, boję się tych ponętnych bród z przytulnie rozwartymi brzegami zagonów! Tyle ich tutaj na ściernisku, a każda tylko czeka, aby mnie przytulić do siebie i nie puścić więcej. Więc naprzód jeszcze o sto kroków! Ale co to? Nieprzyjaciel nie strzela? Aha! Chcą mnie wziąć żywcem do niewoli! Nic z tego!... Stałem i z górki skomenderowałem ku swoim:

— Sekcja w tyraljerę! Kierunek — najwyższa brzoza! Biegiem!

Jednocześnie zwróciłem się do nieprzyjaciela i po-

liczyłem na palcach, ilu marynarzy i w jakim kierunku zaczęło wycofywać się wstecz na widok naszej tyraljery.

Gdy sekcja dobiegła do mnie, już miałem gotowy meldunek.

— Aleś pokazał fason! — rzekł mi jeden z kolegów.

— Głupiś! To ze strachu!

Stary wyga frontowy popatrzył mi uważnie w oczy.

— To bywa. Klin — klinem, strach — strachem. Ale fason był. A teraz ci minęło?

— Minęło.

— Bo właściwą bitwę przepowiadam dopiero za tym laskiem.

— Furda! Gwizdać!...





# P

iękna noc, Chrząszcz!

— To się mówi u nas na Żmudzi: „jaka piękna noc g w i a z d a t a“.

— U was, w Psich kiszkach?

— Nie, w Teodorowie. Ale obok były Narkiszki, Plikiszki, Jużkiszki, a nieco dalej leżały, niemniej dźwięczne dla ucha: Mejszagoła, Bejsagoła i Betygoła. Przydałaby się teraz jakaś Betty — co? — zwłaszcza goła...

— Wiesz, ten twój ton mi się już naprzykrzył — mruknął niechętnie Małaczewski — porzuć tę pozę szorstkiego żołdaka i przemów raz, jak człowiek.

— Jak człowiek? A wiesz, co o tobie sądzę? Niełatwo z Małaczewskim rozmawiać po ludzku; albo żresz się i odcinasz, jak bestja, gdy sobie ostrzysz na kimś język, czy też żądło — kat cię wie, co tam nosisz w gębie — albo znów wpadasz w zwarjowaną melancholję, robisz anielską minę, i mów z nim wówczas po anielsku! A to znów żołnierzowi nie do twarzy.

— A przed kim, jak nie przed tobą, „głęb serca otworzę“? Dosyć mam otwierania tych angielskich konserw i australijskich *jame*’ów! Już mi się bagnet na tych puszkach wyszczerbił!

— I dlatego zatopiłeś go dziś w ludzkiej jusze?

Poeta zachnął się, jakgdyby go kto przypiekl gorącym żelazem.

— Dość! Nie mów mi o tem już teraz przynajmniej!

— A co? Zaraz zemdlejesz, jak pensjonarka? Weź się do jakiej baby, to ci ten smętek przejdzie.

— O, nie! *C'est chose bien commune.*

— Rozumiem. „*C'est chose bien commune de soupirer pour une blonde, chataîne ou brune maîtresse*“... Jesteś marzyciel i olimpijczyk. W dzień się trzymasz wcale nieźle wobec wroga, ale w nocy karabin ci się wymyka z delikatnych rąk, a serce ci taje na widok gwiazd, jak lód na wiosnę. Ja ci radzę, jako *antidotum* na te ckliwe rozważania i jako odtrutkę na tę filozofję, która gwałci się sama własną niemocą — zaśpiewaj sobie przynajmniej coś żołnierskiego.

Tu zabrzmiał znany czterowiesz o chłopie, babie, sienniku i podłodze.

Małaczewski zachnął się i przerwał:

— Posłuchaj lepiej tego, co napisałem jeszcze przed wyjazdem z Humania:

Dni wszystkie pędzę  
Straszliwie szaro,  
Z wieczną niewiarą  
W przepych mych snów.  
Nie w mocy marzeń  
Odwrócić nędzę  
Codziennych zdarzeń  
Od naszych głów...

— Ależ, człowieku, nie bądź mazgajem!

— Spójrz na tę mleczną drogę nad nami — ciągnął poeta. — Jakie to jednak nierozsądne uczucie człowieka czasem ogarnia: łudzić się choćby przez moment, że na świecie jest tylko ta droga mleczna i ja, a raczej odwrotnie: jestem ja, a nade mną mleczna droga...

— Istotnie, to niemądre. Tak samo wesz — miła nasza koleżanka wojenna — mogłaby też powiedzieć: istnieję tylko ja i glob ziemski, więcej — nikogo... Proporcje mniej więcej — te same.

— Gdy pomyślę, że... ale zresztą — szkoda mówić! Ty tego nie zrozumiesz, bo z ciebie szorstki żołdak...

— Już wiem, co chcesz powiedzieć. Pozwolisz, że cię wyręczę, a więc: „Oto droga mleczna, po której mogę płynąć w zaświaty — w nirwanę, w niebyt...” Albo, na przykład, tak: „Komu ja ja dę?! — Księżycowi!” A tymczasem karabin twój jest najgorzej utrzymany w całej sekcji, a źle wyczyszczony zamek zaciął się we wczorajszej bitwie po pierwszym strzale. Ech, wy poetniki, marzyciele! A tymczasem sam przecież napisałeś... zaraz przypomnę sobie, jakieś to napisał... Aha!

Bo Polska powstanie wtedy  
Ze swojej krzywdy i biedy...  
...Gdy każdy kiepski marzyciel  
Zostanie dobrym kapralem...

— Widzisz, to jest co innego. W czynie trzeba być żołnierzem i kapralem, nawet — dobrym kapralem.

Kapral Małaczewski — a nominalnie podporucznik Małaczewski — należy do sprawy polskiej, do dowódcy kompanji, wreszcie do ciebie, jako „sekcijnego“ i bezpośredniego szafarza moich zadań i trudów bojowych; natomiast mój świat wewnętrzny jest wyłącznie mój.

— Więc czemuż w takim razie chcesz się nim dzielić ze mną?

— Czy ci to przykre?

— Nie. Ale przeraża mnie, a może i osłabia, ta nieokiełznana wędrówka fantazji po mlecznej drodze, podczas gdy nasza droga tutaj jest krwawa. Wczoraj zginął Rybczyński, dziś poległ podporucznik Hoffner; jutro może spotkać to ciebie i mnie. Trzeba hartować ducha, a nie lży ronić nad znikomością wszechrzeczy i tajemnicą wszechświata.

— A odkąd to ducha hartuje „siennik na podłodze“?

— A ty, czy dawnoś taki święty? Kto to napisał:

Znajome oczu mych i rąk,  
Dalekie me znajome,  
Niepamięć, lgnącą w koło was,  
Odwijam, niby słomę  
Z przekwitłych krzewów białych róż  
I kraśnych róż na wiosnę...

— Tak, ale przypomnij sobie, jak ja ten wiersz zakończyłem:

Bo chcę się ocknąć z mego snu  
I już nie poznać świata...

— A ja odwrotnie lubię świat i chcę powiedzieć,

jak Boy-Żeleński: „W grzechów kałuży ogromnej nurzaliśmy się po pępek“. Zresztą nawet święty Augustyn musiał w pierw wyczerpać do dna krużę grzechu, aby się przekonać, że nic niema na jej dnie.

— Nie bluźnij i zostaw świętych pańskich w spokoju!

— Nie mam zamiaru bluźnić, bom zresztą wierzący w głębi ducha, jak ty i jak każdy żołnierz, który choć raz naprawdę zajrzał śmierci w oczy. Ale, widzisz, żołnierzowi obca jest hipokryzja i pruderja...

— A ta twoja rzekoma rubasznosc żołnierska i trywjalność, czyż to nie maska? *Pur-sang* maska, albo raczej narkotyk na nasze codzienne trudy i niebezpieczeństwa.

— Nie, to nie maska — to pancierz od poetyckich mdłości i mazgajstwa literackiego. W takim życiu, jak nasze, trzeba się otrząsnąć ze wszystkiego, co człeka zbyt rozkleja i osłabia. Żołnierz musi mieć szeroką naturę i wszystko, że tak powiem, wychylać do dna, zanim z niego samego nie wytoczą do dna wszystkiej krwi serdecznej...

— Ależ to niemoralne!

— Trudno; bigoterja — to nie dla nas.

— A wiesz, co ci powiem?

— Słucham...

Po naszym życiu, unurzaniem  
W bajorach błota, w rzekach krwi,  
Nadejdzie nowa wiosna łanem,  
Nadejdzie inny, lepszy czas,  
I z serca, co boleśnie drwi,  
Wykwitnie miłość — kwiat przed Panem...

— Nie poznaję cię... Kto zadzgał tego marynarza z napisem „Światogor“ na czapce?

— To za Rybczyńskiego! Nie mogłem wytrzymać, jak zobaczyłem na piasku jego bebechy. Zresztą, każdy człowiek jest chodzącą sprzecznością... Wolno i mnie!

— Wszystko jedno. Kto codzień farbę puszcza z ludzi, nie powinien robić z siebie synogarlicy!

— Widzisz, to jest okrutne, ale konieczne. „Co nam obca moc wydarła, mocą odbierzemy“... Trzeba być Chrystusem, żeby po uderzeniu nadstawić lewy policzek. Nie odpowiada mi także tołstojowska teoria bierności. Niemniej, wojna nie przestaje być rzeczą straszną i okrutną...

— Przypuśćmy. Niema o czym gadać i nad czym płakać. A potem — o jakim to lepszym czasie ci się marzy? jaki to czas ma nadejść? Możesz ty pacyfista? a może w tobie siedzi bolszewik?

— Bolszewikiem nazywałeś także Rybczyńskiego, z którego odbiliśmy wczoraj bolszewikom tylko parę zmasakrowanych kawałków bezkształtnej masy ludzkiego ciasta...

— Rybczyński sarkał, ale czynem „dał świadectwo prawdzie“.

— Na wojnie. A ja to zrobię po wojnie — piórem...

— Dobrze; opowiem to kiedyś potomności. A teraz bierz karabin! Pójdiesz zaraz zastąpić Giedgowda na posterunku za cerkiewką. O 2-ej w nocy

zastąpię cię tam przez Zahorskiego. Ten nie będzie poetyzował na warcie!

— Bądź spokojny! Wyteżę słuch — jak w „Weselu“...

— Jazda! A uprzedzam, że jeżeli coś przegapisz i wpadną tu do nas bolszewicy, to ja twojego plecaka, co mi go tu zostawiasz z wierszami i nowelami, bronić nie będę.

Tej nocy, mimo wielkiego zmęczenia, nie spałem. Nie chciałem przyznać się przed nim i przed samym sobą, jak dalece wpadłem pod jego wpływ. Ale gdy odszedł w noc Małaczewski-żołnierz, stanął przed oczyma Małaczewski-człowiek i poeta. I długo jeszcze prowadziłem z tym wielkim cieniem milczącą rozmowę.

Czy nie byłem za szorstki i za twardy?

Trudno. Chcę być właśnie jednym z tych, o których sam Gienek powiedział:

„Oni to, duchem twardzi i sercem, jak kłós prości,  
Bagnetem się upomną o prawo do wolności...”

Więc, jeśli kto nie ma ducha twardego, niech go ujmie w twarde kleszcze. Jeśli kto nie ma serca prostego, niech je wyprostuje.

Inaczej — za trudno wytrwać.



# W

odwodzie! Jesteśmy znowu w odwodzie. Co za rozkosz! Odwód jest synonimem odpoczynku, posiłku i snu. A rozkosz jedzenia i spania ten tylko odczuje i oceni, kto się zmęczył i wygłodniał, jak pies — no, i zmókł, jak pies, dziś w nocy na placówce.

Teraz, wszedłszy do kurnej chaty, rzuciłem w kąt karabin z ryszunkiem i padłem na twardą, chłopską ławę, która mi się wydała tak miła i wygodna, jak stylowy szezlong.

Koledzy z sekcji poszli za moim przykładem.

— *Ej, choziajka!* — krzyknąłem na babę, krzątającą się przy piecu. — *Krynku mołoka* (miskę mleka)!

Mleka jednak nie było. Nie było wogóle nic, gdyż bolszewicy zabrali kobiecie wszystko, i bieda pieszcząca przez gardziołka brudnych, obdartych dzieciaków. Mąż — marynarz — nieobecny. Oczywiście, znajduje się w szeregach naszych wrogów. Darujemy jej to, jeśli da nam obiad.

W braku laku — dobry i opłatek. Więc kazaliśmy babie usmażyć mięso z naszych konserw. Przejadło się nam ono w okropny sposób. Przez dwa miesiące dzień w dzień jeść ten sam ckliwo-thusty argentyński

*beaf*, i to wciąż na zimno... Ale dziś nam będzie smakował! Jeszcze jak! niechno się tylko usmaży!

Wyglądam tymczasem przez okno na drogę, po której snują się w komitywie nasi i Szkoci, rozprawiając o czymś ze sobą, jak zwykle, na migi.

„Polak, Anglik — dwa bratanki“ — i zaraz przypomniała mi się przez asocjację angielska *whisky*, jako że szklanki na stole stały, ale puste, i nie było czem tej polsko-szkockiej przyjaźni zapisać.

Nagle senną ciszę pochmurnego, jesiennego dnia rozdarł gdzieś od strony bolszewików wystrzał armatni, niby daleki, potężny gong, wzywający olbrzymów do walki. Przed sekundą doleciał do nas dźwięk wystrzału. A teraz leci pocisk. Nie widać go, a przecież możnaby nakreślić w powietrzu jego tor, tak wyraźnie oznajmia go charakterystyczny, przeciągły syk. Nasilenie i ton syku zmienia się w miarę tego, jak pocisk się zbliża. By ludzie zdążyli polecieć Bogu duszę! Jest to jakby dźwięk „sz“, który początkowo szeleści w tonie wysokim i cichym, potem, w miarę nadlatywania — w coraz niższym i silniejszym. Sza! — zdaje się wołać ten głos z nieba, i rzeczywiście, ktokolwiek co mówił, odruchowo przerywa i zaczyna nadśłuchiwać.

Sz-sz-sz-sz-pęąuh!... Łagodny, pieszczący ucho syk, czy szelest, przerywa nagle brutalny wybuch pocisku. Szrapnel! Poznać go po odgłosie: ni to huk, ni to trzask — coś, niby nagle rozdarcie gdzieś wgórze olbrzymiej sztuki płótna.

W miejscu wybuchu widzę teraz w powietrzu za-



stygły kawał waty. To kłak białego dymu, który będzie się trzymał czas jakiś nad głowami żołnierzy, jak groźne *memento*. Wybuchowi szrapnela towarzyszy skowyt jego kilkunastu odłamków i paruset kulek, wyjących na różne tony, zależnie od kształtu, wielkości i odległości od słuchacza.

A słuchacz myśli: już po mnie. Ale gdzie tam! Wybuch był za wysoki i za daleki — przeniosło. Chwała Bogu!

Lecz artylerja — nie frajer. Gdzieś, na odległym punkcie obserwacyjnym niewidzialnej, wrażej baterji, już pewno skorygowano błąd. Podano nową odle-

głoś. Padła inna cyfra dla „kwadrantu“ oraz „celownika“, i nowa komenda wykonana sprawnie przez bombardjerów i kanonierów. Bo oto znów daleki wystrzał, znów coraz bliższy syk i szelest, a potem — łoskot wybuchu i skowyt odłamków.

Tym razem pocisk za krótki — czyli odległość, wyliczona na punkcie obserwacyjnym — za mała. Ale już błąd mniejszy, niż za pierwszym razem.

Dostaliśmy się — mówiąc językiem artylerzystów — „w widły“. Znaczy to, że dwa pierwsze celowniki — za długi i za krótki — wzięły nas już w środek, niby w cęgi, które będą się coraz bardziej zwierzały i zbliżały do celu.

Trzeci pocisk był jeszcze lepszy, to znaczy: dla nas gorszy. Już nie szeleścił, lecz zahuczał odrazu, jak olbrzymi trzmiel, wypełniony ołowiem. Pękł z łoskotem piorunu i zawył setką odłamków. A wszystko stało się tym razem tak szybko, że nikt nie zdążył się przestraszyć.

Zresztą — znany to koncert, i nie każdy pocisk zabija. A poza tem narazie wciąż strzela tylko jedno działo. Nieprzyjaciel musi się najpierw „wstrzelać“ w cel, aby trafiać. Dopiero, gdy się wstrzela celnie jedno działo, wówczas zaczną walić swoim zwyczajem w wioskę całe baterje i dywizjony artylerji lekkiej i ciężkiej.

Oby to był ogień nękający tylko, a nie przygotowanie natarcia!

Lecz oto nowy odgłos... Gdzieś daleko, nagle zaczął padać deszcz; tłucze głośno i zaciekle o jakieś

szyby. Krople muszą być bardzo duże, a szyby — chyba z blachy. A może to grad bombarduje blaszane dachy?

Lecz nie. To poprostu na linii placówek rozpoczął się rżęsiasty ogień karabinowy i karabinów maszynowych. Teraz przybiera na sile. Zbliża się i jest coraz gęstszy. Widocznie nasze placówki już spędzono. Tak, to już się bronią nasze okopy pierwszej linii. A więc jednak — atak.

Teraz znów zatrzęsa się, niby wątły szalas, cała nasza chałupa, a z obu okien wyleciały szyby. Du-du-du-du! — zahuczały wybuchy serji pocisków. Aę-ę! — zaskowyczały odłamki. Cztery pociski — tym razem same granaty — ugodziły w ulicę, tuż obok naszej chaty, pozostawiając po sobie głębokie wyrwy, swąd prochu i spalenizny, nalot burego dymu i kurzu. Za tą serją przyszła druga, trzecia i dziesiąta. Artylerji wtórował pisk dzieci, płacz bab i ryk bydła. Chłopi zaczęli wyskakiwać z domów i uciekać wstecz, do pobliskiego lasu. Na drugim końcu wsi już się pali. Angielska baterja z szumem, brzękiem i szczękiem przeleciała w galopie przez ulicę, zmieniając stanowisko.

O, już niosą pierwszych rannych i zabitych, Szkotów i Francuzów! Francuzi siedzą na prawem skrzydle, a więc to tam niedobrze... Tam pewno pchną niebawem nas, Polaków...

— *Ej, choziajka, skoreje!*

— Prędej, bo obiad piorun trzaśnie!

Niestety, po ulicy już biegnie goniec z rozkazem od dowódcy kompanji. Alarm, zbiórka!

Chwytam karabin i zbieram rynsztunek. Jednocześnie zbieram do kupy wszystkie siły moralne, które mi się rozlazły po chałupie na *dolce far niente*.

Ciężkie pożegnanie z obiadem i twarde powitanie z bitwą.

XXIII

DEUS EX MACHINA



Sapiemy, idziemy i znów sapiemy; od czasu do czasu ktoś się poślizgnie, zaklnie i znów poczłapie naprzód powoli i pracowicie. Maszerująca rozmokłą od deszczu drożyną szpica rozciągnęła się w głąb niemal na sto kroków, nie licząc szperaczy, wysuniętych naprzód. Posuwamy się gęsiego bokiem dróżki, a każdy przemyślnie lawiruje pomiędzy szarozółtymi kałużami.

Nogi — mokre po kolana; zmęczenie po sześciogodzinnym marszu ogarnia piekielne, a na dobitkę jeść się chce, jak cholera.

Ktoś mi nadeptał na odparzoną w twardym bucie piętę. Odwróciłem się z gniewem. A, to Lisowski! — to co innego. Kroczył w szeregu ciężko, z twarzą starca między młodzieńcami twarzami innych żołnierzy. Lisowski dźwiga już bowiem szósty krzyżyk, a, mimo to, rzucił wszystko, aby pójść na ochotnika, przedarł się na Murman, a teraz przedziera się wraz z nami przez krzaki ku nieprzyjacielowi.

Jest on między nami jedynym przedstawicielem pokolenia pozytywistów, realistów i innych „grabarzy niepodległości“.

— No, cóż? ciężko? — zapytuje.

— Lekko, panie poruczniku! Całe życie robiło się

Polskę przy kawiarnianym stoliku, to teraz trza się przejść z karabinem w dłoń.

— Brawo, panie Lisowski, „przejąć się“, tylko rzuć już pan ten kawiarniany patos! Morus z pana, mimo wszystko!

Po wejściu do lasu zaczyna się deszcz. Porywisty wiatr jesienny potrząsa koroną każdego drzewa, jak kropidłem. Głodno, chłodno i do domu daleko.

A przytem — nudno i monotonnie. Nieprzyjaciel wycofał się gdzieś daleko, i nawet jego straż tylna odskoczyła tak, że niema nadziei nadybać jej przed południem, a teraz dopiero dziewiąta. Bo najgorsze chwile na wojnie są te, kiedy nic się nie dzieje. Nie można wtedy zapomnieć o żołądku i o strudzonych, natartych do krwi nogach.

Było tak, jakgdyby na arenę działań opadła kurtyna z deszczu i nudy.

Nagle z aktorów staliśmy się widzami, albowiem droga skręciła właśnie ku rzece, i stanęliśmy na wysokiej górze ponad Dźwiną, niby w ogromnym amfiteatrze.

Na dole sunęła pełną parą flotylla bolszewicka.

— A to ci heca! My na łądzie robimy ofensywę, a na wodzie nasza flota wieje, gdzie pieprz rośnie!

I rzeczywiście: kilka statków pod flagami angielską i francuską odjeżdżało w przeciwnym kierunku, a ze wszystkich kominów buchał gęsty czarny dym. Jest tam i stara nasza znajoma „Wiatka“, która wyrywa teraz, nie gorzej od innych.

Wszystko to działo się bardzo daleko od nas, na

środku rzeki, która miała tu około dwu kilometrów szerokości. Dolina rzeki, porośnięta krzakami i sitowiem, ciągnęła się na cztery do pięciu kilometrów wszcz, i to jeszcze bardziej zwiększało odległość, dzielącą nas od bitwy. Obie flotylle rzeczne wyglądały stąd, jak dziecinne zabawki.

A pamięć, zawsze czujna i wierna przyjaciółka, już bierze mnie w ramiona i maluje inny obraz, retuszując rzeczywistość.

Mój Boże! Oto jestem u nas, nad stawem. Leżę na brzegu, wpatrzony w maleńką „flotę“ mego ciotecznego brata, unoszoną przez wiatr na środek wody. Z portu, który nazwaliśmy hucznie Portem Artura, ponieważ właśnie toczyła się wówczas wojna rosyjsko-japońska, wypuszczam swoją eskadrę. Jest tam para pancerników, kilka krążowników i para torpedowców. Mały anachronizm, jak żagle na nowoczesnej eskadrze, nie mąci mi bynajmniej czarownej wizji wojny. Nieprzyjaciel, gnany wiatrem, ucieka do portu, znajdującego się po tamtej stronie stawu. Tymczasem zaczyna padać deszcz; zimno i mokro robi się na brzegu. Ale czy moja flota, o większych żaglach i większym „tonażu“, dopędzi nieprzyjaciela? Oto najważniejsze zagadnienie dnia, ba — życia! Nagle za plecami troskliwy głos matki:

— Zdzisiu, ależ dostaniesz zapalenia płuc! I obiad stygnie na stole!...

— ...Panie poruczniku, wylot lasu zbadany. Nieprzyjaciela niema — raportuje służbowo Małaczewski.

— Dobrze. A obiad jest?

Spojrzał na mnie, jak na warjata. — Obiad — daj Boże, abyśmy zjedli wieczorem.

— No, tak, tak... To był żart. Słuchaj, bracie: wracaj na skraj lasu i obserwuj dalej. Za chwilę ruszymy stąd ku nieprzyjacielowi.

— Rozkaz!

— Poczekaj! Powiedzno tylko, że my nigdy nie dostajemy zapalenia płuc, ani nawet kataru... Dlaczego?

— Człowiek jest twarde bydło. Ale ja — widzisz, Zdzichu — może nie jestem takie bydło, bo już czasem pluję krwią...

— Zdaje ci się! Głupstwo!

— Pewnie, że głupstwo — i Małaczewski, zarzucając za pas broń, pomaszzerował na swój skraj lasu.

My zaś, leżąc w dalszym ciągu na urwisku, porośniętem krzakami, przypatrujemy się temu, co się dzieje na dole.

A dzieje się niedobrze. Nie dlatego, żeby ogień obu stron miał być szczególnie groźny. Strzelano do siebie przeważnie z małych działek 37 mm, a ze strony bolszewickiej także ze zwykłych dział polowych. Działa te, ustawione prowizorycznie na prowizorycznych, przerobionych ze statków handlowych monitorach, nie zapewniały na wodzie żadnej precyzji strzału, chyba na bliskie odległości. Tymczasem flotylle, obawiając się nadbrzeżnych baterij przeciwnika, zwykle walczą ze sobą jedynie zdaleka. To też ma-

lutkie fontanny wody, wytryskujące to tu, to owdzie, robiły — zdaleka zwłaszcza — takie same operetkowe wrażenie, jak i obie „floty“.

Gorzej, że w dniu dzisiejszym bolszewicy liczyli widocznie na to, iż baterje angielskie jeszcze nie nadsięgnęły wzdłuż brzegu wraz z wojskiem, które dopiero rozpoczęło ofensywę. To ich rozzuchwaliło; przeszli na rzece do energicznego natarcia i ścigali tym razem nasze statki tak, jakgdyby chcieli je wziąć bodaj na „*abordage*“, jak się nazywało zwanie statków w taktyce ubiegłych stuleci.

Szybkość naszej eskadry była znacznie mniejsza, i odległość między walczącymi malała wprost w oczach. Co gorsza, uciekająca eskadra aljantów okrąża teraz dużą wyspę, która leży na środku rzeki, objeżdżając ją od strony zachodniej, a tymczasem jeden ze statków bolszewickich, właśnie największy i prawdopodobnie najlepiej uzbrojony, wziął kurs pomiędzy wyspą a brzegiem wschodnim, czyli bliżej do nas. Płyń on, jakgdyby po cięciwie łuku rzeki, z oczywistym zamiarem wyjścia na tyły flotylli angielskiej.

— Oo, niedobrze! „Flota“ angielska gotowa po raz pierwszy w historii przegrać bitwę!...

— Idjoto! Patrz co się dzieje poza nami — rzekł Sosnowski i wskazał załom rzeki, który pozostał wtyle.

— Aaaa!... To dopiero sukurs!

I rzeczywiście: z tyłu nadpływał nowy monitor posiłkowy pod flagą angielską. I to nie jakiś surogat

statku bojowego, ale prawdziwy morski okręt linjowy, jedyny zresztą, który z całej eskadry morskiej, zdołał dzięki płytkiemu zanurzeniu, dotrzeć po rzece z archangielskiego portu aż tutaj.

— A to ci niespodzianka!

— Ale czekaj, czekaj! Co też zrobią teraz bolszewicy?

Bolszewicy walili sobie dalej naprzód, jakgdyby nigdy nic.

— Czy go nie widzą, czy z byka spadli, czy może upili się i nabrali zuchwałości?

— Kto to wie?

— Ja myślę, że poprostu jeszcze go nie dostrzegli poza załomem rzeki.

— Ooo! Zobaczyli, zawracają!... Już wieją!

I oto cała flota bolszewicka z wyjątkiem jednego statku zawróciła, biorąc kurs na południe. Po obu bokach każdego statku szybko obracające się koła tłukły rozpaczliwie wodę ze zdwojoną energią. Przypominało to spłoszone stadko ptaków, płynących wodą i pomagających sobie łopotaniem skrzydeł. Zmykają teraz, niczem kaczęta przed kaczorem. Jedyne ten statek, który szedł po cięciwie łuku, wali dalej naprzód, nie przeczuwając niebezpieczeństwa.

A kanonierka angielska sunie cicho, groźnie i milcząco, posuwając się przy samym brzegu wschodnim. Największe jej działo zaczęło zwolna i majestatycznie zmieniać kierunek lufy. A to dopiero *deus ex machina!*

W sekcji naszej posypały się zakłady.

— Zwieje bolszewik, czy go zatopią?

— Zatopią na pewno, ale chodzi o to, ilu strzałami!

— Ja mówię, że setką!

— A ja twierdzę, że dziesięcioma i wygram zakład!

Tymczasem — nie wygrał nikt. Precyzja morskiej artylerji jest na tak bliski dystans, jak trzy kilometry odległości, miazdząca. Rozległ się ogłuszający wystrzał, potem drugi — i na tem skończyła się cała kanonada. Na statku bolszewickim powstał dziki wrzask. Ludzie powskakiwali do wody i płyną do brzegu. Inni płyną ku wyspie. Za drugim strzałem pocisk trafił w statek, a ogień i dym zasłonił na chwilę wszystko. Gdy za kilka sekund dym się rozwiął, zobaczyliśmy, jak statek szybko tonął. Pocisk dosłownie rozłupał go na dwoje. Obie połówki poszły na dno, jak liście, płynące wodą, gdy je trafi kamień łobuza. Za chwilę nie zostało nic, prócz nachylonego zlekką szczytu komina i wiru, który wokół niego tworzył prąd wody. Jedynie poniżej prąd ten unosił na powierzchni mnóstwo czarnych punktów. Niektóre się ruszały; większość płynęła nieruchomo. To pewno trupy, a także ci, co jeszcze walczyli z prądem i płynęli.

Dopiero teraz rozdarł powietrze triumfujący krzyk syreny morskiego okrętu.

A na wyspie zaroilo się niebawem od ludzi, bowiem marynarze rosyjscy dobrze pływają, a nie wszyscy zginęli na statku. Wielu z nich dopłynęło i zaczęło

biegać po wyspie tam i zpowrotem, dostawszy się widocznie pod ogień reszty statków angielskich, a bieganina ta zdaleka przypominała zburzone kopnięciem nogi mrowisko. Mrówkojad zaś z opancerzonym działem na nosie zbliżył się do wyspy. Widocznie zaraz nastąpi *dessant* załogi angielskiej, celem wyłapania jeńców.

Wszystko to dokonało się w ciągu jakiego kwadransa.

W sekcji posypały się komentarze. Mimo wszystko, nie czekaliśmy zbyt wielkiej pomocy od monitora w stosunku do akcji oddziałów na lądzie. Monitor miał niekompletne opancerzenie i był zbyt wrażliwy na ogień ciężkiej artylerji z brzegu, aby móc zapuszczać się rzeką zbyt daleko. Z drugiej strony — wzgórze, doliny rzeki oraz obfite pokrycia brzegów, a zwłaszcza lasy, ogromnie utrudniały obserwację i redukowały współdziałanie flotyli z wojskiem lądowym.

Mieliśmy już ruszać dalej, gdy wtem szperacze nasi przyprowadzili od przodu chłopą.

Dziad zdjął czapkę i nieufnie spogląda na mnie podołba. — Daleko bolszewiki? — pytam.

— *Tutko za goroj.*

— *Mnogo?*

— *Mnogo, barin, widimo, niewidimo.*

— *Wriosz, taki synu! Pójdziesz z nami — pokażesz! Sekcja wstać! Maszerować!*

Okazało się, że chłop nałgał. Mimo to, darowałem mu życie.

XXIV

# SŁOŃCE ZACHODZI



**Z**aczęło się groźnie, tak groźnie, że wszystkie twarze w okopie zasepiły się i przybrały charakterystyczny wyraz zaciętości i skupienia. Nasze gorące od ognia karabiny już paliły dłonie. Lada chwila zabraknie amunicji. Ale „trzymaj się, jeden z drugim!“ — powtarzali Sołodkowski i Wileczyński w przerwach ognia, przechodząc wzdłuż okopu i chyłąc głowy.

Więc wiara się trzymała.

Niemniej jednak z każdej bolszewickiej papachy lub marynarskiej czapki, które gęsto migwały w kartoflisku, szczyrzyła do nas zęby śmierć. A czapek było mrowie, i wszystko lazło i czołgało się naprzód, nie bacząc na straty. Przewaga sił po tamtej stronie — niewspółmierna.

Ale ogień na ogień, strach na strach, upór na upór, waleczność na waleczność! Kto zwycięży? Nie wiadomo. Wiadomo tylko, że się nikt stąd nie cofnie. Szkot-kapral, wysłany dla łączności z odwodowej kompanji angielskiej, daremnie czekał na prośbę o pomoc. Polacy sami dadzą sobie radę — niech odwód odpoczywa.

Obejrzałem się na krótką chwilę wstecz. Słońce zachodziło właśnie za nami, poza polem bitwy. Czy przez kontrast wrażeń, czy przez zaostrenie zmy-



słów i wszystkich władz umysłowych i fizycznych — lecz nigdy nie widziałem takiego przepychu barw i cieni, jak teraz właśnie. Zachód kusił i wabił mnie ku sobie wszystkim, co w nim drgało, żyło i promieniało. Daleko, daleko do tego świata piękna, szczęścia i spokoju... A jakże blisko do tej fikcyjnej ściany, której nie wolno przekroczyć za żadną cenę, która nas przykuwa do okopu, jak Prometeuszy, która nas wszystkich trzyma w miejscu pod kulami i pod grozą szturmów...

Lecz do szturmów nie doszło — przynajmniej na razie. Czołowe tyraljery nieprzyjacielskie dotarły tylko do miedzy pomiędzy zagonem ziemniaków, a otwartym ugiem, aby tu doreszty załamać się w ogniu i utknąć. Czyj to ogień sprawił: nasz, czy

Szkotów, siedzących obok, broni maszynowej, czy artylerji — niewiadomo. Mało się widzi z przyziemnego stanowiska na nowoczesnych pustych polach bitew i mało się rozumie z tego, co się widzi. Zanadto wszystko rozprasza się w terenie wszerek i w głąb i za dobrze wszystko kryje się w ziemi, w zbożu i zarosłach. Za to djabło dużo słyhać. Gwizd pojedynczej kuli dochodzi nawet wtedy, gdy przelatuje ona o kilkadziesiąt metrów. A im bliższa — tem głośniejsza. Można sobie wyobrazić koncert kul, gdy ich nad okopem przelatują całe roje. Cóż mówić o trzasku wystrzałów, o zadyszonym trajkotaniu karabinów maszynowych, o ryku grubych i smukłych „Bert“ i tak zwanej broni towarzyszącej? A jednak groza efektów słuchowych nie odpowiada grozie strat. Duch ludzki, bezwzględny, okrutny i postokroć wielki, panuje nad polem bitwy, jak nigdzie indziej. Natomiast strasznie mało miejsca zajmują ludzkie ciała w porównaniu z obszarem pola, na które pada tyle pocisków. Wierzyć się nie chce, że tylko co setna lub co tysięczna kula — zabija.

Zresztą, czyja ręka nie zadrży i nie spudłuje w tych warunkach?

Z drugiej strony, gdyby tak nie było, czteroletnia wojna światowa nie mogłaby trwać dłużej nad cztery tygodnie.

Stary żołnierz wie, że „wiele hałasu o nic“ i na serjo traktuje tylko zwanie lub groźbę zwania na bagnety, albo ogień z bardzo bliskich odległości. To też napięcie, wzrastające dotychczas w miarę po-

suwania się ku nam piechoty nieprzyjacielskiej, uległo nagle odprężeniu i znikło, z chwilą, gdy nacierającym bolszewikom zabrakło tchu. Twarze się rozjaśniły. Ktoś ruszył ciężkim, żołnierskim dowcipem. Ten i ów proponował wypad na bagnety, lecz na to nie było rozkazu. Słowem — było dobrze...

— *Very well!* — mrugnąłem na łącznikowego Szkota.

— *All right!* — odrzekł, uśmiechając się dobrodusznie szeroką gębą.

Zato coraz gorzej było na lewem skrzydle.





**B**olszewicy, odparci przez Sołdkowskiego, skierowali odwody na oskrzydlenie od prawego, czyli od naszego lewego.

Tam, za kilometrową przerwą frontu, opionowaną zresztą bocznym ogniem naszych karabinów maszynowych, siedziała, oparta o błota, jedna jedyna sekcja porucznika Rafalskiego z podporządkowanym mu szkockim karabinem maszynowym.

Na tę garstkę waliła teraz ćma — może bataljon, może więcej. Szczęściem, wielce podmokły teren tworzył ciasninę, na której przeciwnik nie mógł rozwinąć naraz w luźnych szykach więcej, niż najwyżej jeden pluton piechoty. Tylko, że tych plutonów, nacierających falami jeden za drugim, było stanowczo za wiele.

Stojący za mną w okopie Szkot z niepokojem kręcił głową.

Pozycję Rafalskiego flankował i wspierał dalekim, lecz celnym, ogniem okopany w rejonie mojej sekcji karabin maszynowy Wróblewskiego i Alingera. Alinger strzelał, a Wróblewski obserwował i komenderował, wychylając się raz po raz z gniazda z lornetką w rękę.

— Po diabła tak się wychylasz? — krzyknąłem mu do ucha, gdyż zgiełk ognia zagłuszał każde słowo.

Spojrzał na mnie ze zdziwieniem.

— Gdybym miał obie ręce, nie szukałbym oparcia dla lornetki.

Przyznaję, że, mimo podniecenia bitewnego, zrobiło mi się jakoś nieswojo. Uczułem nagle wielkie zażenowanie wobec jego pustego rękawa, który właśnie zatrzepotał na wicherze. Takie zażenowanie, jak gdybym to ja był winien, że Wróblewski jest bez ręki... To zażenowanie odzywało się u nas wszystkich przy obcowaniu z nim nader często. Z jednej strony wstyd nam było zawsze, żeśmy się godzili, aby taki inwalida walczył i narażał się nadal narówni z nami. Z drugiej strony, w całym oddziale starannie unikano rozmowy o tem kalectwie, jakgdyby go nikt nigdy nie zauważył.

Tymczasem nawała nieprzyjacielska parła na Rafalskiego niepowstrzymanie. Pokryty teren zmusił chwilowo nasze flankujące karabiny maszynowe do zaprzestania ognia.

— Niech wyjdą na otwarty teren, pod sam okop Rafalskiego — tłumaczyli się karabiniarze.

— Niech wyjdą — rzekłem — ale czy Rafalski wysiedzi, mając taką przewagę wroga pod nosem?

Wróblewski, który był jego najbliższym przyjacielem, nic nie odpowiedział, ale spojrzał na mnie z urazą.

Teraz ja podniosłem lornetkę i zacząłem obserwować naszą „straconą placówkę“. Okopana, zamaskowana i niewidzialna od przodu, od nas czyli z boku, była widoczna, jak na dłoni. W prawo i w lewo —

trzęsawiska, ztyłu zaś, nie dalej, jak o dwadzieścia metrów — jakiś chlew, czy też ńędzna chata z chlewem, jakich sporo widuje się w tutejszych osiedlach. Przed okopem — opłotki obejścia, z krzakami, które kryją, a raczej maskują, świeżo wyrzuconą ziemię przedpiersia. Dla karabina maszynowego — dwa zapasowe stanowiska. Dzięki nim, można przenosić jedyny karabin maszynowy głębokim rowem łącznikowym z miejsca na miejsce, wedle tego, na którym gnieździe jest najmniejsze skupienie ognia.

— Morowo! — krzyknąłem do Wróblewskiego, nie odejmując lornetki od oczu i usiłując go trzepnąć z radości po ramieniu. Przez nieuwagę uderzyłem go jednak w kikut amputowanej ręki, i znów zrobiło mi się nieprzyjemnie...

Wróblewski syknął, ale w tejże chwili rzucił się „do roboty“, bo atak sunął na Rafalskiego coraz dalej, i bolszewicy dostali się właśnie w sferę ognia flankujących karabinów maszynowych.

— Siedzi czy nie siedzi? — zapytałem siebie po raz dziesiąty i znów przyłożyłem lornetkę do oczu. Nie zobaczyłem jednak nic, bo zagroda, wraz z chatką, płotem, krzakami i okopem Rafalskiego, zniknęła w wieńcu wybuchów artyleryjskich. Widocznie marynarze, zatrzymani celnym ogniem, zażądali wsparcia swojej artylerji.

W jeden mały punkt oporu prała teraz artylerja lekka i ciężka, to też w zagrodzie i wkoło zagrody zrobiło się piekło. W pewnej chwili jeden z ciężkich pocisków trafił w chatę. Strzelisty słup ognia

wgórę — i wnet belki, deski, krokwie i jakieś przedmioty wyleciały w powietrze i posypały się na obrońców. W pierwszej sekundzie słup ognia od wybuchu pocisku wystrzelił ponad dym; potem ogień zniknął, a w tem samym miejscu pionowy słup dymu i piachu wzniósł się jeszcze wyżej. Gdy dym wybuchu zniknął, ukazał się płonący, jak świeca, dom. Wówczas wykwitł nowy dym, ale już nie od wybuchu, lecz od pożaru. Już nie chwilowy, lecz ciągły, i nie prostopadły, lecz długi i miotany ustawicznie przez wiatr, jak jakiś olbrzymi warkocz płomiennej brunety.

A oto teraz powiewają już dwa warkocze, bo obok zapaliła się wielka sterta słomy.

Ponieważ wiatr dał ku nieprzyjacielowi, dym zasnuł doszczętnie obrońców i atakujących, i znowu niewiadomo nic, co się tam dzieje.

— Jeżeli nie zwieli, jeżeli ich nie wytłukli, to wykurzy ich teraz ze stanowisk ten przeklęty pożar — ponuro mruknął Wróblewski.

A jednak nie! Bo w miejscu, gdzie poza dymem powinien był być okop Rafalskiego, migotały wciąż jakieś światełka — pewno błyski strzałów.

— A zatem siedzą.

— Twardo siedzą — potwierdził Alinger, podniósłszy głowę od spracowanej maszynki.

— *Polish soldiers dobra!* — krzyknął ni z tego ni z owego stojący za mną Szkot.

A w nocy żywym winszowano sukcesu, oplakiwano zaś poległych Szkotów od maszynki. Sam Rafalski, chociaż kontuzjowany, obsypany ziemią i ran-

ny, nie chciał opuścić swej sekcji, dopóki była „na straconej placówce“. Dopiero, gdy zluzowała go w nocy, wobec wielkiej wagi tego punktu, cała kompanja, poszedł do ambulansu, aby powrócić znów po jakimś czasie i „tkwić w okopie“ tak, jak tylko on „tkwić“ umiał.

Polacy, jak zwykle, mieli wisielcze szczęście. Z sekcji Rafalskiego nie zginął nikt. Zato nie poszczęściło się Szkotom.



**K**tóregoś dnia oderwaliśmy się od własnych przepotężnych wrażeń w ciasnym okopie strzeleckim pod zatraconą wsią Puczuga i wypłynęliśmy na szerokie wody dyskusji o kwestji socjalnej na świecie.

Asumpt zresztą dało zapytanie jednego z ochotników: Czy to dobrze, że pomagamy koalicji do interwencji w Rosji?

— Nam przecież nie o to chodzi — odparłem — my dążymy do niepodległości Polski, a więc musimy tworzyć wojsko polskie.

— Nietylko tworzymy, ale bijemy się.

— Podczas wojny wojsko musi się bić. Tak czy inaczej, tworząc wojsko, musieliśmy stanąć po czyjejś stronie.

— Ale dlaczego koniecznie przeciw bolszewikom? Oni twierdzą, że dążą do zrealizowania sprawiedliwości społecznej.

— Twierdzą jedno, a robią drugie. Jeżeli jakie piekło jest wybrukowane dobrymi chęciami, to właśnie piekło bolszewickie. A co najważniejsza — to nie było i niema takiej Rosji, któraby uznała niepodległość Polski mocarstwowej, Polski z kresami wschodnimi, Litwą, Białorusią i Ukrainą. Polska zaś może istnieć tylko, jako wielkie mocarstwo; ina-

czej nie utrzyma się wcale pomiędzy dwiema wrogimi potęgami, jakimi były i będą: Niemcy — z jednej strony, a Rosja — z drugiej.

— Tak, ale bolszewicy chcą wyrównać krzywdę społeczną.

— Słuchając hadko, rzekłby Podbiپیęta. Krzywda społeczna jest rzeczą straszną, ale nie można jej wyrównywać po warjacku i bestjalsku, tworząc w miejsce krzywdy dawnej — krzywdę nową i ohydną. Nie można w imię dobra jednych mordować drugich i dopuszczać się gwałtów, wołających o pomstę do nieba.

— A może taki jest tylko okres wstępny, przejściowy?

— Sądzę, że nie. Ale przypuśćmy, że jest to rzeczywiście okres przejściowy, po którym nastąpi zapowiadany raj. Wówczas my, cały świat, a w pierwszym rzędzie — najbardziej cywilizowane kraje, będą miały czas poddać rewizji swój pogląd na ten mongolsko-rosyjski eksperyment, którego jesteśmy świadkami. Narazie to, co dzieje się w Rosji, jest wstrętne i zaprzecza kulturze, cywilizacji, religji, poczuciu ludzkości i poczuciu patryjotyzmu.

— Tak, ale w przyszłości?

— Nie wiem. Nie mogę rozwiązać nierozwiązalnej kwestji socjalnej. Nie jestem ani ekonomistą-socjologiem, ani filozofem, ani działaczem społecznym. Nie mogę nim być, ponieważ muszę być oficerem. Jest wojna, i dla Polski, po stu trzydziestu latach niewoli żołnierka jest najważniejsza.



— Bolszewicy nazywają to szowinizmem.

— A ty wydajesz mi się utopistą.

— Nie, ale bezczynne zarabianie zapomocą lokaty kapitału chciałbym zastąpić powszechnym przymusem pracy.

— Przymusem? A czyż dotychczas nie było przymusu? Przymus jest znakiem czasu, jest piętnem całej dotychczasowej cywilizacji, jej siłą i jej przekleństwem zarazem. Otóż wręcz odwrotnie: przymus pracy trzeba zastąpić kultem pracy — i to będzie epoka przyszła, lepsza, lecz odległa, bo wymaga specjalnego wychowania całych pokoleń i przełamania natury ludzkiej. Jeszcze doskonalszym i jeszcze bar-

dziej odległym od nas etapem będzie bohaterstwo pracy, to znaczy dobrowolne poświęcanie jej dla bliźnich tak, jak teraz poświęcamy na froncie dobrowolnie i z zapalem życie dla bliźnich.

Ale w naszej epoce hasła poświęcenia pracy nie mają jeszcze w sobie ani drobnego ułamka tej dynamicznej potęgi, co hasła patryjotyczno-militarne. Pod piramidami Napoleon był jeszcze w gruncie rzeczy komunistą, dowodzącym armją komunistów. A jednak czem ją zagrzewał do walki? Czy kwestją socjalną? Nie! Urokiem bohaterstwa żołnierskiego. Stąd jego wspaniałe rozkazy dzienny, zaczynający się od słów: „Żołnierze! Z wysokości tych piramid czterdzieści wieków na was patrzy!“ — i ani słowa o hasłach rewolucji, z której powstał i której jeszcze formalnie służył. I nie dlatego Napoleon coraz częściej uciekał się do haseł patryjotyczno-militarnych, że nie czytał Marxa, lecz dlatego, że lepiej czytał w duszach ludu, niż to czynią marksiści.

Ludzkość dorosła do bohaterstwa śmierci, ale wieki dzielą ją jeszcze od bohaterstwa pracy, i dlatego wszelki ustrój będzie połączony z przymusem, a często — z pewnem pokrzywdzeniem jednych na rzecz drugich.

— Ale kolektywizm?...

— Kolektywizm, komuna, zniwelowanie wartości — to są rzeczy bardzo piękne w teorii. W praktyce zwycięża indywidualizm, zróżniczkowanie wartości moralnych i materialnych, prywatna inicjatywa, prywatna ambicja i prywatna oszczędność, a na-

dewszystko — indywidualny wysiłek człowieka, dokonywany na jego osobistą korzyść i koordynowany jedynie z wysiłkiem i korzyścią innych. Spójrz na tę sekcję, która kopie w tej chwili rów łącznikowy między naszymi okopami. Oto kolektywny wysiłek dla kolektywnych celów. Jest to grupa żołnierzy, która musi to kopać dla nas wszystkich. Więc kopie, ale jak? Jestem pewien, że, orząc zagon w swojej zagrodzie na swój własny rachunek, każdy z nich wkłada w swoją pracę dziesięć razy więcej energii, wysiłku i pomysłowości, niż tutaj. Tam każdy robi dla siebie, tu każdy robi dla wszystkich, czyli dla swego rodzaju komuny. Ustrój komunistyczny może się ostać tylko przy bardzo wysokiej kulturze i niesłuchanie wysokim poziomie moralnym mas, posuniętym do dobrowolnego, entuzjastycznego i ofiarnego bohaterstwa pracy. A i wtedy niewiadomo jeszcze, jaki będzie ogólny bilans pracy społeczeństwa komunistycznego. Przy tak beznadziejnie niskim poziomie kulturalnym, a zwłaszcza moralnym, jak poziom dzisiejszej Rosji, a nawet poziom innych, bardziej cywilizowanych krajów, ustrój ten jest gorszy od wszelkiego innego, co zresztą widzimy na własne oczy.

— Przypuśćmy, że masz rację. Ale racja ta jest negatywna tylko, dotyczy bowiem jedynie potępienia *régime'u* sowieckiego. Jakie jest twoje pozytywne *credo* społeczne?

— Już mówiłem, że go nie mam. Krzywda społeczna jest kwadraturą koła lub, jeśli kto woli, za-

gadnieniem *perpetuum mobile*. Szaleńcem jest bezdomny, który dnie i noce nad tem medytuje, miast brać się do budowy dachu nad głową. Tym dachem dla Polaków będzie Polska, a budowniczymi — żołnierze, nie marksiści.

— Ja też czułem to samo instynktownie i dlatego właśnie, jako Polak, uciekłem do was z czerwonej gwardji.

— I żałujesz tego?

— Tego nie, ale myślę nieraz o sprawiedliwszym, zupełnie równym podziale dóbr, jako o niedościgłym ideale, i tęsknię doń.

— Nie tęsknij. Nie od tego zależy wewnętrzne szczęście każdego człowieka. A z drugiej strony, jakie to miałyby skutki dla postępu? Przypuśćmy, że doszłoby do sprawiedliwego podziału dóbr materialnych i nastąpiło zniwelowanie stanu posiadania poszczególnych ludzi do jednakiego poziomu. Poziom ten z natury rzeczy będzie bardzo niski.

Czy to jest w interesie kultury i cywilizacji, a tem samem w interesie ludzkości i poszczególnych narodów? Od Platona, Eurypidesa i Fidjasza, ba! — od zdobywcy wiedzy tajemnej w Egipcie, postęp zależał od elity, a elita musiała mieć inne, lepsze warunki egzystencji, niż masy. Jednostki wybitniejsze przechodzą nieustannie z masy do elity — to prawo wszystkich społeczeństw. Musiała też być zawsze emulacja, która nie da się abstrahować od pojęcia własności. Dlatego wydaje mi się słuszniejsze raczej naprawić ustrój kapitalistyczny, niż go burzyć.

— Naprawić, ale jak?

— Nie wiem. Lecz wolno mi tego nie wiedzieć. Gorzej byłoby, gdybym nie wiedział jak naprawić twój karabin.

— A walka klas? A walka pracy z kapitałem?

— Jest absurdem. To rąbanie łodzi, na której się płynie. Raczej chodzi o skierowanie łodzi kapitalizmu na wody interesu pracy.

— Teraz ja powiem, że to utopja.

— O, nie! Kapitał i praca, pomimo pozornych sprzeczności i przejściowych, jakkolwiek potwornych w swych przejawach, antagonizmów, są najbardziej sprzęgniętymi ze sobą, wzajemnie zależnymi od siebie i niezbędnymi dla siebie czynnikami, jakie tylko można sobie wyobrazić. To bracia syjamscy, których, mimo, że się często kłócą i biją, nie da się rozdzielić żadną operacją, gdyż operacja taka byłaby śmiertelna. Bracia fizyczni, że się tak wyrażę, niechże będą braćmi w duchu, solidarnymi w działaniu. Ma się rozumieć, że to ideał odległy — dla naszych prawnuków...

— Bracia w Chrystusie może? Ha, ha, ha! Nie wierzę, nie wierzę, nie wierzę!

— Dlaczego? Niema takich czynników twórczych, którychby myśl ludzka i wola ludzka nie sprzęgła celowo i nie mogła im kazać konstruktywnie współpracować. Może być mowa o tarcjach, o przewlekłej reorganizacji, o przedłużeniu obecnego chorobliwego stanu na dziesięć, pięćdziesiąt, sto lat.

A, mimo wszystko, destrukcja i zwalczanie się — to absurd.

— Sielankowy pogląd!

— Przypuśćmy. Zresztą — mniejsza! Mówmy o czymś innym. Ot, zanieś lepiej karabin do rusznikarza, aby ci zalutował pęknięty bączek! A napędź też po drodze tych nygusów w rowie łącznikowym, żeby go prędzej kopali!...

O P Ó Ł N O C Y



**N**oc. Ciemno. Brniemy po piachu i zwierze w czarną otchłań, którą cofa się przed nami za każdym krokiem tylko o jeden krok. O krok w prawo — niezmierna głębia wód Dźwiny Północnej. O krok w lewo wznosi się niedostępne nadbrzeżne urwisko. Pomiedzy wodą a wysokim brzegiem ciągnie się wąska na metr i nieskończenie długa nadbrzeżna ławica, po której właśnie idziemy. Miejmy nadzieję, że ławica nie skończy się zbyt prędko, bo niema mowy o wdrapaniu się na urwisko, a na prawo — rzeka.

— *Naser mater!* Znowu wlażłem do wody!

— Weź nieco w lewo.

— Kiedy w lewo — za stromo.

— No, to środkiem.

— Środkiem, ale gdzie środek, do cholery jasnej?

Trudno go teraz szukać pod tą opończą z chmur i mgieł!

Brniemy dalej, a ten i ów zaklnie od czasu do czasu siarczyście, a na różny sposób — z krakowska, z warszawska, lub zgoła, jak na Zamarstynowie.

Tak idzie poomacku w zagadkę nocy nasza straż boczna, a właściwie — patrol boczny w składzie jednej sekcji pod mojem dowództwem. Straż przednia i kolumna główna mają maszerować równolegle do

nas, po drodze, która prowadzi górą, gdzieś wśród borów. Gdzie jest flotylla nasza, a gdzie bolszewicka — nie wiemy.

Nagle — słyszymy syk od przodu. To znak umówiony, że szperacze usłyszeli czy zobaczyli coś podejrzanego. Zatrzymuję sekcję i idę naprzód, aby się spytać, co takiego. Przede mną wyrasta jakiś cień.

— Stój, kto idzie? — krzyknęliśmy półgłosem jednocześnie, ja i idący ku mnie szperacz, był to bowiem we własnej osobie sierżant Baranowski.

— Bywaj, panie sierżancie! — Opuuszczamy karabiny i podchodzimy do siebie.

— Panie poruczniku! Statki! — mówi szeptem poznańczyk.

— Do diabła! — Pan to ma zawsze szczęście do bolszewickich statków! A skąd pan wie, że to bolszewicy?

— Słyszałem, jak klną od matki i od sukinsynów.

— Aha, to co innego!

— Z a ś a l e oni nas nie widzą. Światła pogaszone na statkach, a my — na ciemnym brzegu.

Wlepiliśmy obaj wzrok przed siebie i struchleliśmy. Z ciemnej sylwetki najbliższego statku wystrzelił nagle jasny snop światła i począł lubieżnie obmacywać nadbrzeżne zarośla.

Reflektory!

— Panie poruczniku, wiać! Oni tam mają najmniej kopę karabinów maszynowych, a my — ani jednego.

— Wiać? Dokąd? Paść tam, gdzie jesteśmy, na piach — i ani mru-mru!

Szperacze padli na ziemię, ale ja musiałem wracać do sekcji, aby jej wydać rozkazy. Krzyczeć do niej stąd — niepodobna. Cisza nocna wisiała nad nami, jak jakaś wielka, czarna antena. Nie można było chrząknąć głośno, aby echo nie pochwyciło tego i nie poniosło na wszystkie strony — lądem, wodą i powietrzem.

Idę tedy niemal na palcach, ale idę szybko, bo nuż mnie dopędzi i wykryje ten błędny promień światła, zawsze głodny krwi szpieg i zdrajca, rajfur armat i dostawca celów dla ognia!

Jak na złość, potykam się raz i drugi o jakieś kamienie i korzenie, ale za chwilę już komenderuję najbliższemu w sekcji żołnierzowi:

— Przed nami statki nieprzyjacielskie. Cisza! Padnij! Podaj dalej!

Sekcja wykonała rozkaz, i cisza nocna powiększyła się o zaparty oddech ośmiu ludzkich istnień.

A statki, przeniósłszy chwilowo smugi reflektorów na przeciwległy brzeg rzeki, wciąż zbliżały się ku nam i były już o jakieś czterysta metrów od miejsca, gdzieśmy leżeli na piachu, jak myszy pod miotłą.

Aby lepiej dostosować się do terenu, przesunąłem się o pół kroku w bok za leżący nad wodą kłoc drzewa. Z po za niego uderzył we mnie *knock-outem* straszliwy odór. — Padlina, psiakrew! — pomyślałem sobie, ale leżałem dalej bez ruchu.

Tymczasem reflektory skierowały swe potworne

żrenice wprost ku nam. Tym razem — to już naprawdę koniec. Zaraz zacznie się ogień z odległości paruset metrów.

Nagle promień padł na mnie i na leżący przedemną kloc. A to kawał! Okazuje się, że to nie kloc, ale trup! Trup bolszewika. No, cóż? A za chwilę — i ja... Więc to tu, przy tym głazie, kres wędrówki dla nas obu? Obmierzły sąsiad i towarzysz, niema co mówić! Ale co to? Statki nie chcą strzelać? To dziwne!

— *Polish! Polish soldiers!* — słyszę głosy. Jeszcze nic nie rozumiem, tak doszczętnie znikła wszelka nadzieja ze zdrętwiałej świadomości.

— Ależ to nie statki bolszewickie! To nasza własna eskadra! — krzyknął mi nad uchem Sosnowski.

Wtedy dopiero zrozumiałem pomyłkę i, wstając na równe nogi, nie bez wstydu, zwróciłem się do sekcji:

— Sekcja wstać! Maszerować!

Przyjazna smuga światła z „Wiatki“ trzymała nas dalej w swych objęciach i oświecała drogę.

— A ten marynarz skąd się tu wziął?

— Bardzo proste. Przecież przedwczoraj była tu bitwa...

W oślepiających blaskach światła zabity marynarz robił wrażenie opuchniętego topielca, który ożył nagle, a teraz wyszczerza ku nam z ziemi zęby i wyraca niedomknięte białka oczu. Leżał nawznak z karabinem w zeszywniałej dłoni i, uśmiechając się pokolei do każdego, kto go mijał, zdawał się mówić:

— Idźże, idź *wpierod*, Lachu *proklaty!* Dziś mnie koniec, jutro — tobie!

A my mijaliśmy go już bez gniewu. Powaga śmierci godzi wszystkich i każe zapominać o zbrodniach.

...Ale skąd Anglicy doszli do wymyślania sobie od matki i sukinsynów?

Otóż dowiedziałem się, że na statku angielskim było sporo jeńców bolszewickich. Swoim zwyczajem, klęli swój kraj, swoje porządki i swego Lenina, przed którym korzyli się jeszcze z pewnością dwa dni temu.

XXVIII

N A B O R S U K A

**B**olszewicy, pobici pod wsią Kurgomeń, cofnęli się w kierunku wsi Gorki i dalej ku wsi Plos, która leżała, podobnie, jak Kurgomeń, nad samym brzegiem wschodnim Dźwiny Północnej, o kilkanaście kilometrów na południe. Polskie patrole, jak zwykle, szybko nadybały i rozpoznały na połowie drogi między obu wsiami nową linię okopów, tym razem — nie dłuższą nad kilometr. Na prawo była Dźwina i obie wzajemnie trzymające się w szachu flotylle rzeczne — aljancka i bolszewicka, na lewo — topiel i trzęsawiska.

Na lewym brzegu rzeki działały oddziały rosyjskie i francuskie, które zostały powstrzymane przez bolszewików na wysokości wsi Kurgomeń.

W małej leśniczówce, znajdującej się pod nosem nowej linii oporu nieprzyjacielskiego, kazałem wynaleźć przewodnika. Za chwilę stanął przede mną rośły, brodaty chłop, o ślepiach żbika.

— Widzisz tę brzozę? Tam się kończy pozycja bolszewików.

— *Wiżu, baryn...*

— Przeprowadź nas przez bagno w lewo od brzozy!

— *Nielzia!*

— Dlaczego: *nie! zia!*? My musimy tamtędy przejść na tyły bolszewików.

— Wilk przejdzie; człowiek nie przejdzie: utonie!

— Zatracony kraj! — rzekłem, zwracając się do Sosnowskiego — i poco to istnieje? Już to ten twór Panu Bogu się nie udał!

— Trudno — mruknął Sosnowski — świat też musi mieć swój *waterklozet!*

— No, dobrze — rzekłem, zwracając się do muzyka — a jeżeli obchodzić nie blisko, ale daleko, tak zupełnie naokoło, jeżeli iść bagnami pół dnia — to może wtedy jakaś ścieżka wyprowadzi na tyły bolszewików?

— Nie, barin, niema takich ścieżek. Wszędzie topiel, że ani sosna nie rośnie, ani żadne porządne drzewo. Znał ja jedną dróżkę, ale to trzeba wrócić do Kurgomenia i stamtąd dwa — trzy dni iść naokoło, to się wyjdzie na Plos...

— Znasz taką drogę? I dobra jest?

— Nie droga to! Ścieżka, zarosła na bagnie, tak, że jej nie zobaczy nikt, kto od dziecka, jak ja, w tych borach nie poluje. Koń nie przejdzie, ale ludzi można tamtędy przeprowadzić jednego za drugim, jak suche lato...

— Ależ teraz jest mokra jesień!... — wtrącili *unisono* obecni przy tem Małaczewski i Martyn.

— Jesienią to bywa rozmaicie, ale popróbować można. Tylko — daleko! Dwa-trzy dni trzeba brnąć po błocie naokoło... Ciężka, bardzo ciężka ścieżka!...

Niebawem zaprowadziłem chłopca do majora Skil-



la, który dowodził bataljonem Szkotów, i zameldowałem mu zarys zbadanej pozycji. Zainteresował się bardzo zeznaniami chłopca. Musiałem długo klarować, jak i któredyż możnaby bolszewików osaczyć, tak, aby „zwiastun klęski nie uszedł“. Osobiście ogromnie zapaliłem się do tego planu i parłem ku jego urzeczywistnieniu, mimo, że nie mieliśmy żadnych konkretnych danych o możliwości przejścia po ścieżce całym bataljonem. Patrolu zaś Anglik nie chciał puszcząć na tak wielką odległość; zresztą byłoby to zdekonspirowało zamiar uderzenia na tyły.

Nazajutrz akcja była w toku. Przed okopami bolszewickimi pozostał, z rozkazu majora Skilla, zastępca chorego kapitana Sołdkowskiego — porucznik Wilczyński z dwiema sekcjami Polaków, kompa-

nją Anglików i baterją artylerji. Miał on demonstrować natarcie czołowe. Natomiast główne siły bataljonu pod dowództwem majora Skilla, wzmocnione dwiema mojemu polskimi sekcjami, cichaczem wyszły przed świtem z Kurgomenia i udały się na daleki manewr osaczający.

Zaraz za Kurgomeniem weszliśmy w strefę nieprzerwanych trzęsawisk i maszerowaliśmy długą kolumną po jednym. Byłem bardzo dumny, że dowódca Szkotów powierzył mi prowadzenie straży przedniej, składającej się z dwu sekcji Polaków i jednego plutonu szkockiej piechoty. Sekcję Polaków pod dowództwem podchorążego Martyna użyłem w szpicie; Anglikom z resztą polskiego oddziałku kazałem maszerować na pewnej odległości z tyłu. Bataljon maszerował dalej, w odległości kilometra za strażą przednią, a kolumna jego rozciągnęła się długim sznurem jeszcze na cały kilometr.

O patrolach bocznych mowy nie było ze względów terenowych. Wszystko, co się znajdowało na prawo i lewo od naszej ścieżki, niedostępne było dla stopy ludzkiej. Natomiast wzrok swobodnie błędził po grząskich ostępach i oparach, a myśl śmiało zapuszczała się w topiel i starała wysondować dno.

— Tu musi być co najmniej kilka metrów głębokości — rzekłem, wskazując ręką o krok w prawo.

— Kilka? Kilkanaście! — odrzekł człapiący za mną Małaczewski.

— Zgaduj, zgadula! I tak nie zmierzmy: niema pogo i niema czem. Chyba, że cię wpuszczę na dno

i spróbuję stanąć na łbie — ale kto wówczas skończy tę twoją „Wigilję“?

— „Wigilję“ już skończyłem, a teraz zacząłem „Pod lazurową strzechą“.

— Hm, ładny tytuł! Ale skąd tu lazur? Czy to wiecznie umorusane niebo północy tak cię nastraja? Bujna fantazja poetycka! Ale teraz chodzi raczej o tak zwaną „fantazję kawalerską“. Trzeba, żeby był z ciebie „wielki kawaler i rezolut“.

— Fantazja — fantazją, ale, mówiąc między nami, nie wróżę powodzenia tej hazardowej wyprawie...

— Czemuż to?

— Wiesz? Takie polowanie na bolszewików przypomina mi polowanie na borsuka...

— Dlaczego?

— Myśliwy, wytropiwszy zwierza w głębokiej, a niezmiernie długiej norze, włazi głową nadół do nory i podkrada się ku borsukowi, a zwierz, odcięty, nie ucieka, lecz kąsa. Nie ucieka dlatego, że niema dokąd uciec: jest to odwaga rozpaczy.

— A w nas jest odwaga łowcy. Odwaga zaczepna. To zawsze przeważa.

— Ale wiesz, jak się czasem kończy takie polowanie? Ziemia ztyłu za myśliwym się zawala; odwrót i dostęp powietrza jest odcięty, i myśliwy ginie śmiercią głodową, jeśli go ktoś z zewnątrz nie wyzwoli...

— Dobrze, że cię nikt więcej nie słyszy, inaczej zabroniłbym ci tak krakać!

— *Englishmeni* nas nie rozumieją. Otóż my, zagłębiając się na tyły bolszewickie jedną jedyną wąską ścieżką, jesteśmy w położeniu myśliwego, który włązi za borsukiem do nory. Wystarczy zakorkować paru dobrze okopanemi karabinami maszynowemi wyloty ścieżki lub zrobić gdzieś po drodze porządną zasadzkę, żeby żywa noga stąd nie uszła!

— Puszczyku!

— Przecie nikt nas nie słucha i nikt nie rozumie?

— No, tak, ale to nadmiar pesymizmu...

— A potem — aż dwa dni tego brnięcia po mokradle...

— A kto ci powiedział, że dwa dni?

— Przecie mówiłeś, że to coś blisko czterdzieści kilometrów?

— Tak, ale my musimy przemaszerować to w jeden dzień!

— Rany boskie! Moje płuca! — krzyknął Małaczewski.

— Sam mówiłeś, że borsuka trzeba zaskoczyć niespodzianie w jamie, inaczej — „Chwycił Kozak Tatarzyna, a Tatarzyn za łeb trzyma“. Musimy się śpieszyć!

— Czterdzieści kilometrów w jeden dzień po takim błocie? Jestem gruźlik!

— Gruźlik? Gdzie drwa rąbią, tam wióry lecą! Dla wojny zaś — to wszystko wióry: i ja, i ty, i twoje płuca...

— Wytłumaczże majorowi, że padniemy wszyscy

trupem ze zmęczenia, zanim spotkamy się z nieprzyjacielem!

— Jeżeli się spóźnimy, padniemy trupem przy spotkaniu. Właśnie klarowałem to usilnie radzie wojennej.

— Więc to ty jesteś projektodawcą? Czy nie mówiłem, że z ciebie zawsze wyłazi kawalerzysta, któremu się z przyzwyczajenia wydaje, że maszeruje siedzeniem, utkwionem w siodle, a nie nogami? Ale my to musimy przemierzyć własnymi nogami z tym całym cholernym rynsztunkiem na plecach...

— Widzisz, teraz powiem ci prawdę... Nasza sytuacja taktyczna na tej wąziutkiej ścieżce w rzeczy samej jest nader podła. Musimy się z niej jak najprędzej wydostać i rozwinąć z kolumny do ataku, zanim bolszewicy coś spostrzegą.

— Już po mnie! Czuję, jak mnie w lewym płucu kole!

— Czekaj! Siadaj, nim nas kolumna główna nie dopędzi. Pokaż, co masz w chlebaku! Konserwy? W błoto z tem!

— Ależ będę głodny!

— Dam ci swoje. A tutaj co? Nóż, łyżka, widelec — za burtę! Będiesz jadł palcami, aby tylko było co! Dwie koszule? Jedna wystarczy, druga precz!

— Ależ niewolno! Co będzie, gdy tego zabraknie na najbliższym apelu mundurowym i przeglądzie?

— Moja w tem głowa! A tu co masz? Chleb? Wyrzucić!

— Będę głodny, jak pies! Już wolę się męczyć!

— Dam ci swego. Granaty ręczne? Po diabła będziesz to dźwigał! Niech ci wystarczy karabin i bagnet. No, widzisz, już ci trochę ulżyło. Ten ciężki hełm daj mi na ramiona, a furazerkę włóż na głowę. Gotowe?

— Gotowe.

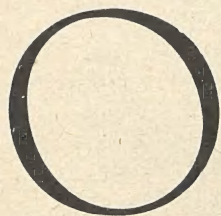
— Jazda naprzód!

Małaczewski poczłapał raźniej, ale po paru godzinach znów zaczął skarżyć się na zmęczenie, mimo, że była dopiero godzina dwunasta i mieliśmy przed sobą około dwudziestu godzin marszu. Korzystając z prerogatyw dowódcy straży przedniej, wybrałem stosunkowo najsuchszy kawałek ścieżki i zatrzymałem całą kolumnę na długi odpoczynek, który przeciągnął się, na rozkaz majora Skilla, do całych dwóch godzin.

Każdy siadł tam, gdzie stał, to znaczy — w błocie. Wzdłuż kolumny zaczęło się zajadanie angielskich konserw i galet. Zgłodniali ludzie szybko ruszali szczękami i chrupali twarde suchary, jak łapczywe wiewiórki.

B A L L A D A





hańbo, o, wstydzie! Katastrofa! Odwrót!

Na postoju dostałem od Małaczewskiego wiersz. Ale jakże złośliwy! Zatytułowany był ni mniej, ni więcej, tak: „O Skillu — lwiem sercu, Chrząstosławie — błędnym rycerzu, i ich wyprawie na niezdo-  
byty Plos — ballada szkocka“.

— Czy pan porucznik pozwoli przeczytać to w od-  
dziale bez uchybienia dyscyplinie?

Cóż robić? Wstydzić się — to jeszcze gorzej. Trzeba było nadrabiać miną i udawać, że mi się strasznie podoba... Trzeba było śmiać się z siebie, razem ze wszystkimi i głośniej od innych...

— Czytaj, bracie!...

Małaczewski uśmiechnął się i spojrział na mnie, podobnie, jak karykaturzysta spogląda na przedmiot karykatury. Poczem chrząknął znacząco, po-  
wiódł okiem po zebranych i po krótkiej pauzie począł czytać:

1.

Daleko stąd, daleko stąd,  
o całe sześć tysięcy mil,  
przez roztargnienie się urodził  
krwiożerczy okularnik Skill.

Jak każdy Szkot, jak każdy Szkot,  
w dzieciństwie chadzał on do szkół,  
a że zrozumieć nie mógł nic,  
więc wszystko kuł, napamięć kuł.

Prześlipił wkońcu wszystek wzrok  
i długi nos osiodłał szkłem,  
i przez cywilne życie szedł  
z ponuro nastawionym łbem.

Na profesorskie krzesło wlaźł  
i mądrość pchał do szkockich łbów...  
Ot, takim ci matołkiem był  
przed wojną srogi rycerz ów!

Aż wielkiej wojny przyszedł czas.  
krzyknęły wszystkie Szkoty: — Halt!  
i rozpoczęły na swe łby  
żelazne garnki pchać nagwałt.

Wyruszył też profesor Skill,  
wziął ciepłych gaci z dziesięć par,  
toż okularów różnych dość —  
i poprzód innych naprzód parł.

A że kondycji znacznej był  
przed wojskowością, jako cywil,  
więc go zrobiono kapitanem,  
i nikt z tej racji się nie dziwił.

Wśród Szkotów było dużo m...,  
ale największa z wszystkich — Skill,  
więc awansował raz po raz  
na „Nord Dvina“, co kilka mil.

## 2.

Był taki rycerz, nawpół błędny,  
nazywał się Chrząstosław  
(O, harfo moja srebrnostrunna!  
bacz: pięknie jego osław!)

Otóż więc — był on nawpół błędny,  
a stał się błędny całkiem,  
gdy ruszył pieczętą na Archangielsk,  
miast lancy, z grubym pałkiem.

Tragiczny był to strasznie rycerz;  
wciąż gnębił go nieznośny pech:  
i narzeczona go zdradziła,  
i nawet wierny koń mu zdechł.

Do Dźwińskiej wstąpił on czterdziestki,  
pomiędzy zwykle strzelce;  
swych towarzyszy bawił mocno,  
a giermków trapił wielce.

Jak wyścigowy koń, na zwiadach  
gnał archangielskiem błotem,  
a że podbijał się zbyt łatwo,  
więc w trenie jeździł potem.

### 3.

I stał się taki dzień feralny,  
gdy Skill się spotkał z nim,  
i uradzili z bolszewika  
wypuścić wszystek dym.

Obejść go mieli jak najchytrzej  
drzemiącym borem, lasem,  
i wleźć mu wtył, nieledwo — w tyłek,  
aby im nie zwiął czasem.

Szlachetny giermek de Martin,  
widząc, jak radzą oba,  
siarczyście zaklął, splunął też:  
— Niechajże was — choroba!

Chrzęstosław znowu projekt ma;  
wy, wiara, kłopot macie...  
Już zaprowadzi on ci nas!  
wyczuwam to — przez gacie!...

Tuż stały Szkoty długim rzędem,  
drużyna wielce chobra:  
„Bolshevik finish!“ — słychać było  
i „English soldier *dobra!*“

4.

Hej! Ciągną, ciągną *Royal-Scotty*,  
jak pracowite mrówki,  
wcinają *raszys*<sup>1</sup> z galetami  
i rwą z pod nóg borówki.

Pytają: — „Dobra?“ czy „Niedobra?“ —  
o grzyby, które zerwą...

A Polak na to: — To purchawka!

Rzuć, mówię, głupie ścierwo!...

Na czele, jako zawsze bywa,  
Polacy idą w szpicy;  
przez krzaki sprytnie drą się naprzód,  
jak Indyjanie dzicy.

Szlachetny de Martin ich wie dzie  
i zgóry wie o wszystkim:  
co się za każdym krzakiem rusza,  
co chowa się pod listkiem.

Czasami stanie na chwil kilka  
i wacha wpierw powietrze.  
To widząc — Skill wstrzymuje pochód  
i czeka w wielkim pietrze.

Aż de Martin znów naprzód ruszy  
a za nim cała chobra  
drużyna szkocka rznie po błocie  
i mówi: — Polish *dobra!*

---

<sup>1</sup> *Raszys* w potocznej gwarze żołnierzy polskich oznaczało angielskie *ration* czyli żołnierską rację żywności.

## 5.

I tak ci idą straszną siłą  
 przez bagna, przez poręby.  
*Pejzany* (które nie uciekły)  
 porozdziawiały gęby.

Chrząstosław idzie obok Skilli,  
 i prawi mu, i radzi,  
 czasem na odcisk mu nastąpi,  
 łokciem o szkła zawadzi.

Tak cały atak ogadali,  
 w całości i na raty:  
 kto ma brać jeńców, kto obozy,  
 kto kuchnie, kto armaty...

Jak „à la bayonette“ prowadzić,  
 aby bój wygrać rychły  
 (co słysząc — szkockie *lewtenant'y*  
 westchnęły i — przycichły...)

## 6.

Jest w onych krajach rzeka Nondrus,  
 pokrętna, jak Meander;  
*moroszka* nad nią z *klukwą* rośnie,  
 nie żaden oleander.

Ogromnie bystra, czarne wiry  
 raz koło razu wzdyma  
 i jest, jak wąż, co pełza kołem,  
 a ogon w zębach trzyma.

Owóz, przez rzekę tę — drużyna  
 Skilli ma się przepawić,  
 jak przez Rubikon, aby wrogom  
 rzeź herodową sprawić.

Że nigdzie mostków przez nurt niema,  
 Wciąż idą brzegiem, brzegiem,  
 kręcącym się, jak s litera,  
 ni rzędem, ni szeregiem.

I szliby pewnie tak bez końca,  
jak wieczny duch po błocie —  
gdyby Chrzęstosław nie wpadł w wodę  
na jednym nagłym zwrocie!

Nasz błędny rycerz, wpadłszy w Nondrus,  
parsknął, jak hipopotam,  
aż na przeciwny brzeg się dostał  
na podziw wszystkim Szkotom,  
które tuż za nim poszły śladem,  
bo zwykły za Polakiem  
iść ślepo wplaw i w bród, gdy trzeba,  
i w błocie pełzać rakiem.

Przeprawa poszła dość szczęśliwie,  
jeśli nie liczyć tylko,  
że wartki nurt za sobą porwał  
sierżantów szkockich kilku.

## 7.

Noc. Las dokoła. Przerąb wąski,  
jak sięgnie naprzód oko —  
ścieżka... Kto żywy po niej idzie —  
zapada się głęboko.

Drużyna Skilla idzie po niej  
i robi duże pluski.

Przez każdy pniak na pysk wdół lecą  
Szkocięta, jakby kluski.

Niektóry się podniesie, pójdzie,  
by z pluskiem padać dalej  
na tych, co przed nim wpadli w błoto  
i z głową tam zostali.

Lecz Skill nastawił łeb i idzie  
za błędnym Chrzęstosławem,  
by na armaty sięść okrakiem  
i jeść, jak *raszys* — sławę.

Szerokim krokiem brną ci obaj  
w stękaniu, w pocie czoła...  
A gdzieś za nimi Scott zgubiony  
„Holt!” — dzikim głosem woła.

8.

Aż patrzą: wody coraz więcej;  
las rzednie, woda rośnie...  
Coraz powolniej pełzną Szkoty  
a krzyczą — coraz głośniej.  
Wtem de Martin powąchał wiatery,  
i, jak pień, stanął nagle  
i mówi: — Trzeba tu „korbasu“;  
nie obejść się bez żagli!  
Patrz, co się robi, Chrzęstosławie!  
zabraknie nam rycerzy!  
Wkrótce ostatni Szkot z pod błota  
swą duszę wypęcherzy!...  
I zawrócili, aby obejść  
jakowąś inną drogą.  
Cóż, gdy na jednym deptą miejscu,  
wyjść, ani rusz, nie mogą!  
Nareszcie jakoś się udało  
i pełzną ci zpowrotem:  
Polak po Szkocie, jak po osle,  
a za nim — Szkot za Szkotem.  
Chrzęstosław Skilla ma pod pachą  
i wielkim krokiem dybie;  
na drodze wszędy leżą Szkoty,  
podobne zdechłej rybie.

9.

Pod łeb zagnały białka oczu,  
pootwierały paszcze...

(Polacy sprytnie z nich ściągają  
chlebaki, także płaszcze...)

Aż Skill się naraz, jak pchła, wypsnął  
z pod pachy Chrzęstosława  
i przez tłumacza każe rzec mu:

To na zły żart zakrawa!

Mam dosyć bajek twych, o stawie;  
chcę chaty suchej, ciepłej!

Patrz, co się robi: Szkoty w błoto,  
jak muchy w plaster, wlepiły.

Spokojnie robiłbym karierę,  
niecnoto ty, niecnoto,  
co obiecujesz wieść nas w sławę,  
a zaprowadzasz — w błoto!...

## 10.

Usiadły Szkoty z wielkim gwałtem  
i rozпалиły chrósty;  
borówki z liściem całą garścią  
pchają w żołądek pusty.

Straszliwie wielkie zmitręzenie  
między Skillowym pułkiem;  
obsiadły mokre *Royal-Scotty*  
ogniska ciasnym kółkiem.

Z każdego brudna woda leci,  
jak z wydry, albo z bobra;  
kiwają głową, marna mina,  
klną: „*Foken!*“ i „*nedobra!*“.

Buzuje ogień z chwoi sosen;  
rozpuszcza dym jałowiec...  
Skill z Chrzęstosławem razem siedzą  
i sierżant — prowiantowiec.

Skill patrzy, jak *jam* wcina sierżant;  
sam, głodny, dłubie w nosie.

Chrzęstosław, z twarzą w dłoniach, marzy  
o niezdoitym Plosie.

#### EPILOG.

Skill *kolonelem*, szelma, został,  
dowodzi całą Dźwiną.

Polacy klną, a Szkoci marnie  
po wszystkich błotach giną...

Żądło satyry odniosło skutek wręcz odwrotny. Po wysłuchaniu jej, poszedłem jeszcze raz do dowódcy bataljonu. W wyniku naszej narady jeszcze raz ruszyliśmy naprzód, inną ścieżką.

Po kilku godzinach wpadliśmy nareszcie do „niezdobytego Plosu“. Niestety, nie tu był koniec naszych zawodów! Wbrew oczekiwaniom, Plos zastaliśmy zupełnie pusty: bolszewicy, uprzedzeni przez swoje zwiady, zwieli na południe, zanim odcięliśmy im drogę odwrotu. Nie zwiiała tylko ich eskadra rzeczna, która dopiero teraz zaczęła się wycofywać powoli wgóre Dźwiny, defilując przed naszymi oczyma i ostrzeliwując nas gęsto z armat i karabinów maszynowych, gdyśmy się ukazali na brzegu. Uporczywy pech chciał, że nie mieliśmy czem udaremnić jej odwrotu, bo nietylko nie wzięliśmy ze sobą ani jednej armaty, ale potopiliśmy w trzęsawiskach część karabinów maszynowych wraz z amunicją.

Zaledwie zapadła noc, kiedy nadciągnął od północy w szyku bojowym oddział Wilczyńskiego, który narazie nie spostrzegł w ciemnościach odwrotu bolszewików i teraz dopiero posuwał się wzdłuż Dźwiny

do Plosu, zajętego już przez nas. Myśląc, że w wiosce siedzą jeszcze bolszewicy, Wilczyński rzucił się bez rozpoznania na bagnety, a my też wypadliśmy na niego z dzikim wrzaskiem: „Hura!“, w przekonaniu, że to jakaś straż tylna bolszewików, która nie zdążyła się dotychczas wycofać i dołączyć do swoich. W mrokach nocy omal nie doszło do krwawego starcia między mną a Sosnowskim, bośmy obaj byli krótkowidzami i zatrzymali nasze bagnety nie dalej, jak na dłoń, od brzucha.

Na szczęście, Małaczewski nie był świadkiem tej nowej farsy wojennej, i jego „Ballada szkocka“ nie doczekała się już drugiej części.

Tak się skończyła pechowa wyprawa na Plos, po której ja, mimo końskiego zdrowia, zachorowałem na rozciągnięcie żył w nogach a słabowity Małaczewski zaczął coraz bardziej kaszleć. Dopiero wtedy uwierzyłem, że jest naprawdę podejrzany o gruźlicę.

Nadomiar złego, bolszewicy doczekali się poważnych posiłków i przeszli sami do ofensywy. Teraz my broniliśmy Plosu a oni nacierali. Było zawsze kwestją otwartą, czy nie spróbują nas obejść od tyłu błotami, wzdłuż rzeczki Nondrus, i czy to im się lepiej nie uda, niż nam.

XXX

# RZECZYWISTOŚĆ WOJENNA NA FRONCIE ARCHANGIELSKIM



Szkoci, należący do „Royal-Scott-Regiment“, byli umundurowani, uzbrojeni i zaopatrzeni bez zarzutu. Dyscyplina była dobra. Wyszukolenie, zarówno oficerów, jak szeregowych, a zwłaszcza tych ostatnich — słabe. Oficerowie zbyt szybko awansowali w stworzonej naprędce podczas wojny światowej — miljonowej armji brytyjskiej. Szeregowi byli niemal rekrutami, nieświadomymi zarówno elementarnych zasad taktyki, jak warunków terenu. Poza tem obecnie, dla niewiadomych już przyczyn „Royal-Scott-Regiment“ rekrutuje się nie z rodowitych Szkotów, ale przeważnie z Anglików. Element nieszczęśliwy, jak twierdzą oficerowie szkoccy, ponieważ jest to głównie proletarjat londyński.

Zresztą to, czego ich uczono przed wysłaniem na front archangielski, nadawało się jedynie do walki pozycyjnej, w której żołnierz miesiącami tkwi w okopach w jednym i tem samym miejscu. W polu, w walce manewrowej, w tak trudnym terenie, jak archangielski, oficerowie i żołnierze musieli sami uczyć się wszystkiego od początku i płacić za naukę krwią. Jedni i drudzy byli częstokroć bardzo waleczni, zwłaszcza w obronie, ale waleczność, nie poparta sztuką przystosowania się do terenu, do wciąż zmieniających się okoliczności i perypetyj każdego boju,

przyprawiała ich o ciężkie, przeważnie nieprodukcyjne straty. Krótko mówiąc, Szkoci dzielnie trzymali się w ogniu, lecz niesprawnie manewrowali.

Inaczej — kompanja polska. Bezkonkurencyjnej zimnej krwi zawsze zrównoważonych *Englishmen'ów* przeciwstawiali Polacy zapal i zawziętość Bartkazywycięzcy. Dowodzenie było wprost wytrawne, a każdy żołnierz, bez względu na młody przeważnie wiek, był starym wygą frontowym. Zalety te występowały w pełni właśnie w takim terenie, jak archangielski, to znaczy w lasach, krzakach, błotach i szuwarach, a także w działaniach nocnych. Tam, gdzie Anglicy tłoczyli się pod ogniem karabinów maszynowych i ginęli masami, Polacy podkradali się niepostrzeżenie pod same stanowiska wraże i, wynurzywszy się nagle z zarośli z okrzykiem: „Hura!“ odrazu zdobywali je bez strat i niemal bez wystrzału.

Bo przeciwnik nie był znakomity i nigdy nie wytrzymał polskiego uderzenia; do starcia na broń białą niemal nigdy nie dochodziło. Zresztą, kto był na wojnie, wie, że ten objaw cechował prawie wszystkie armje i fronty, z wyjątkiem odcinków, na których z obu stron spotykały się oddziały wyborowe.

Tymczasem tutaj narazie walczyły przeciw nam zwykle bolszewickie bandy; dopiero później przerzucano posiłki z innych frontów, i te już były bitniejsze. Co do marynarzy bolszewickich, słynących z odwagi indywidualnej, nie było ich zbyt wielu. Zresztą oddziały marynarzy odznaczały się, jak i reszta oddziałów bolszewickich, słabem dowodzeniem, mar-

nem zgraniem w większych zespołach, oraz kiepskim strzelaniem. Jeżeli w spotkaniach indywidualnych był to przeciwnik prawie równorzędny, to w spotkaniu oddziału z oddziałem bolszewicki marynarze bili się licho.

Wszystkie te przyczyny złożyły się na to, żeśmy gromadzili w ustawicznych utarczkach wielki kapitał zasług bojowych, za cenę niewielkiej w stosunku do nich daniny krwi.

Jeżeliby spytano mnie, czegośmy wykazali najwięcej — odpowiedziałbym, że wytrzymałości nerwów. Polak i brak nerwów? — to nie do wiary. Inteligent polski — a takich była prawie połowa w kompanji dźwińskiej — jest przecie naogół przewrażliwionym kłębkim nerwów. A jednak!...

Jednak właśnie na Murmanie kompanja Sołdowskiego dała dowód niebywałej wytrzymałości nerwów i fizycznej wytrzymałości również. Nawet taki słabeusz, jak Małaczewski, wytrwał pięć miesięcy wśród niebywałych codziennych wysiłków, w niebywale trudnych warunkach terenowych i klimatycznych. A przecież trudno było o duszę, bardziej wrażliwą i subtelną, i o kompleksję fizyczną — bardziej nerwową. I trudno było o bardziej denerwujący stosunek sił do przestrzeni, niż na Murmanie. Kompanja polska, jak również te dwa czy trzy bataljony aljantów, było to źdźbło w porównaniu z olbrzymią przestrzenią archangielskiego frontu, a cóż mówić o każdym patrolu, zapuszczającym się zuchwale

w niezmiarzone bory, aby przedostać się na bolszewickie tyły.

Jeszcze jeden dowód, że na wojnie duch żołnierski mierzy siły na zamiary i że siły dorastają w razie potrzeby do poziomu zadań i do wielkości idei.

Powodzenie szczupłego *dessantu* aljantów było obliczone na żywiołowe powstanie antybolszewickie ludności miejscowej. Gdy ono zawiodło, wyparcie *dessantu* lub zniszczenie go przez przeważające siły bolszewików stawało się tylko kwestją czasu, albo kwestją, czy Sowiecom opłaci się przerzucić przeciw nam z innych frontów potrzebną ilość dywizyj.<sup>1</sup> Na szczęście, Sowiecom widocznie się to nie kalkulowało, i posiłki, nadsyłane przez Lenina, wystarczały jedynie do powstrzymania naporu i zmuszania aljantów do odwrotu. Zkolei aljanci otrzymywali posiłkowe kompanje z Archangielska i wznawiali ofensywę, aby po pewnym czasie przejść znowu do odwrotu — i tak dalej.

Celem operacyjnym tej wciąż płynnej i nigdy nie zakończonej akcji było miasto Kotłas. To też nasz nadworny humorysta Małaczewski nie wytrzymał i w pewnej chwili napisał satyrę o Kotłasie.

Bardzo wiele czasu  
Szliśmy do Kotłasu,  
Lecz on wciąż uciekał chytrze gdzieś.  
Gdyśmy byli blisko,

---

<sup>1</sup> Przewidywania te sprawdziły się i w rok potem bolszewicy zlikwidowali doszczętnie cały front archangielski, przyczem przyparte do morza oddziały „białej gwardji“ zostały prawie w pień wycięte.

Zmieniał stanowisko  
I znów, bracie, w drugą stronę leż!

Więc z takiego to powodu,  
To do tyłu, to do przodu,  
Wiodą Szkoci ofensywę,  
Że aż ha-ha!  
Wiodą ofensywę, że aż ha!  
Czary jakieś w tem być muszą,  
Żeśmy z tego wyszli z duszą;  
Znać już legun szczęście ma!

---

Wielkie szkockie wodze,  
Brwi zmarszczywszy srodze,  
Uchwały bolszewika zgnieść,  
Lecz pomniejsze Szkoty  
Mają mniej ochoty  
Na okopy bolszewickie leżć.

Więc z takiego to powodu,  
To do tyłu, to do przodu,  
Wiodą, Szkoty ofensywę,  
Że aż ha-ha!  
Wiodą ofensywę, że aż ha!  
Czary jakieś w tem być muszą,  
Żeśmy z tego wyszli z duszą;  
Znać już legun szczęście ma!

---

Dla aljantów niemożność dotarcia do Kotłasu pociągała za sobą niemożność połączenia się z syberyjską armją przeciwbolszewicką Kołczaka i udaremniała wspólny dalszy marsz na Moskwę.

Polakom chodziło w gruncie rzeczy nie o jaką-

kolwiek ingerencję w sprawy wewnętrzne Rosji, lecz całkiem o coś innego. Polacy walczyli tu po to, aby na północy stworzyć większą siłę zbrojną polską, która potem mogłaby zaważyć na terenie walk w Polsce, lub też wpłynąć na rokowania światowej konferencji pokojowej w Wersalu. Tak też miał przedstawić sprawę generałowi Hallerowi wysłannik P. O. W. i polskich partyj niepodległościowych w kraju, mąż zaufania Józefa Piłsudskiego, porucznik Wieniawa-Długoszowski, aresztowany podczas tej misji w Moskwie w czerwcu roku 1918.

Tak też rozumiał sprawę generał Józef Haller, udając się do Francji i stamtąd kierując organizacją wojsk polskich na Murmanie za pośrednictwem pułkowników Skokowskiego i Dowoyno-Sołłohuba.

Nie dopisała jednak liczba wojsk.

Mnóstwo Murmańczyków aresztowano w drodze podczas zakonspirowanej podróży przez Rosję bolszewicką. Podejrzanych o należenie do organizacji, jak na przykład moich kolegów pułkowych z 1-go pułku ułanów, poruczników Lipskiego i Płużańskiego, trzymano bez końca w lochach *czerezwycajki*. Zdeklarowanych i niewątpliwych „polskich *legjonierów*“ bolszewicy po zaaresztowaniu natychmiast rozstrzeliwali bez sądu. Tak zginęli między innymi, jak się o tem później dowiedziałem, dwaj moi koledzy pułkowi, rotmistrze Bronisław Romer i Maciej Starzeński. Tak zginęli wszyscy ułani tej partji, którą prowadzili oni, i taki los, zdaje się, spotkał czterech ułanów z partji, którą prowadziłem ja.

A iluż było takich, którzy, jak podporucznik Minkiewicz i jego siedmiu towarzyszków podróży, skonali w rękach marynarzy wśród najstraszliwszych tortur!

W tych warunkach kontynuowanie masowej podróży na północ za fałszywymi paszportami stało się niemożliwością, zwłaszcza w strefie, pozbawionej obfitszych komunikacyj. To też, pomimo, że na Murman skierowało się około ośmiu tysięcy żołnierza z 2-ej brygady legjonów i z korpusów wschodnich, dotarło tam zaledwie kilkuset; reszta utknęła na południe od linii Wołogda—Kotłas i ukryła się tam, oczekując na nasze przybycie, bądź udała się do syberyjskiej dywizji polskiej pułkownika Czumy, formującej się w armji admirała Kołczaka.

W związku z tem, zdobycie Kotłasu i Wołogdy byłoby umożliwiło połączenie szczupłych naszych kadr wojska polskiego, stworzonych na północy, z masą żołnierzy polskich, którzy się tam dotychczas ukrywali, oraz połączenie się z dywizją pułkownika Czumy.

Natomiast odwrót od Kotłasu przekreślał te możliwości i pozbawiał wielką ideę murmańską realnych podstaw rozwoju, a nawet istnienia. Pozostawała tylko romantyka tła i bohaterstwo jednostek dla dobrej sławy żołnierza polskiego za granicą. Pozostawała też perspektywa wstąpienia do armji generała Hallera, formującej się we Francji.

---

Wśród takiej wojny, a raczej wojenki — powo-

dziło mi się niezgorzej. Niemniej nigdy nie zdołałem dokonać czegoś niezwykłego, i pod tym względem zostałem daleko wtyle za kolegami. Poprostu — brak szczęścia. A może niższość, do której człowiek za żadną cenę nigdy nie chce się przyznać?

Zresztą konkurencja była naprawdę silna. I tak: Burhardt zdobył samotrzcęć armatę, Hoffner — nim go zabito — zdobył armatę towarzyszącą 37 mm. Wilczyński, zmyliwszy i wyminąwszy nieprzyjacielską straż przednią, uderzył na czele dwudziestu ludzi z nienacka z boku na cały bataljon i rozproszył go, zadając ciężkie straty. Głośno było o czynach porucznika Rafalskiego i jego ranie. A szeregowi? Cudów waleczności dokonywali Martyn, były ułan 1 pułku, legjoniści Zahorski i Dąbek, zanim go raniono. Prawdopodobnie jednak wyliże się ze swych ran w szpitalu. Kaprale Rybczyński — później zabity — i Dzi-dycz, odcięci i otoczeni zewszech stron pod Puczugą, przebili się samotrzcęć bagnetem i granatami, ukryli w puszczy, a następnie przez dwa dni przedzierali przez teren, nasycony oddziałami bolszewickimi, aż wreszcie dotarli do oddziału cali i zdrowi. Czynów w tym rodzaju było niemało. Ja jeden nie zdołałem zadziwić niczem cudzoziemców. Poprostu wszystko, co robiłem, była to zwykła sobie rzetelna żołnierka. Ale na chęciach i impecie mi nie zbywało.

— Laury Burhardta nie dają mu spać — mawiał nie bez ironji Małaczewski, a gdy mi znowu zdobycz wojenna spletała figła, lub jeńcy wymknęli się z rąk — docinał pechem.

XXXI

NOC PODBIEGUNOWA



**S**taliśmy wówczas we wsi Znamienskaja, w odwodzie kolumny rzecznej. Był wieczór; czyściliśmy właśnie broń przy nikłym blasku łojówek, narzekając srodze na brak światła, gdy któryś z kolegów wpadł, jak bomba, do chałupy i krzyknął wielkim głosem: — zorza, zorza, zorza!... Porwaliśmy się z miejsc i wszyscy naraz rzucili ku drzwiom, by jak najprędzej wypaść na dziedziniec. Pęd, łomot, tupot, tłok, wrzaskliwe przepychanie się w wąskich drzwiach... Rzekłbyś, że chodzi co najmniej o trzęsienie ziemi lub inny kataklizm.

Zaledwie wydostaliśmy się nazewnątrz, każdy z nas stanął w miejscu, jak wryty, a gwar i zgiełk ustąpiły miejsca martwej ciszy. Ktokolwiek krzyczał przed sekundą, urwał nagle w półsłowie. Wszyscy znieruchomieli i zamarli w kontemplacji oraz zachwycie.

— Koniec świata! — szepnął Małaczewski.

Zjawisko rzeczywiście robiło wrażenie końca świata i niewiadomo, czego tu było więcej: niesamowitej mistycznej grozy, czy też przepychu barw i wspaniałości linii.

To już nie był jeden promień, czy jeden snop promieni na północy, jak w zorzy codziennej, lecz tysiące snopów, pokrywających całe niebo. Snopy te krzyżo-

wwały się z sobą i przebiegały niebo tam i zpowrotem, niby olśniewające kolorowe błyskawice i gigantyczne różnobarwne, bengalskie ognie.

Całe niebo było barwne, całe wzorzyste i całe w ruchu — symfonia barw na klawjaturze mlecznej drogi. Pożar wszechświata! Przeważał fiolet i amarant, ale wogóle nie było ani jednego koloru, któryby na nas nie spływał ze sklepienia tysiącem przeróżnych odcieni. Ani jednego czarnego punktu — wszystko kolorowe. Ani jednego atomu nieruchomego — wszystko drżało, drgało i wirowało, jak w jakimś szalonym *delirium* płomienistych barw, tonów i odcieni.

Taniec gwiazd i *dancing* obłoków — a jakiś niewidzialny reżyser rzucał na to tysiące tęczowych światel z tysiąca niewidzialnych reflektorów!...

I pomyśleć, że niema malarza, któryby potrafił oddać koloryt, grozę i wspaniałość zorzy polarnej! Szkoda — bo temat wart kaplicy Sykstyńskiej. A jednak niegdyś mistrz taki żył i tworzył. Ten, co oddał grozę i majestat Sądu Ostatecznego: Michał-Anioł Buonarotti.

XXXII

A R C H A N G I E L S K



# P

o dwóch miesiącach trudów, znojów i pełni życia, charakteryzującej front, odjeżdżam oto zpowrotem do Archangielska.

W chwili, gdy statek mój odbija od brzegu, rozpoczyna się wściekła strzelanina na froncie. Czy to bolszewicy atakują? Z całą pewnością. Ciekawe, co też robi w tej chwili nasza kompanja?

Już wiem zgóry, co mnie czeka na tyłach. Zwiększenie możliwości bytowania, szczególnie pod względem wygod i tak zwanych przyjemności życiowych, a jednocześnie — katastrofalne zmniejszenie skali przeżyć w porównaniu z tem, co się przeżywa na froncie. Krótko mówiąc: szarzyzna. Jeszcze bardziej szare i bezbarwne będzie życie w szpitalu, dokąd mnie właśnie skierowano, aby wyleczyć rozszerzenie żył.

Kładę się przeto spać i zasypiam.

Po przebudzeniu, obracam się na drugi bok i zasypiam na nowo.

Tak doczekałem się wieczora. Jest godzina dwudziesta, więc nie warto wstawać. Trzeba odleżeć i odespać wszystkie trudy za wszystkie czasy, dopóki rany na nogach nie dokuczają zanadto.

Jutro będę w archangielskim szpitalu i dowiem się dokładnie, co mi jest. Narazie ogarnia mnie uczucie wstrętu na widok własnych nóg. Do rozszerzenia

żył dołączyła się ohydna plaga zawszenia — nie do uniknięcia zresztą w warunkach frontowych.

...Wojenko, wojenko, cóżeś ty za pani...

W szpitalu nikt się mną nie zdziwił i nikt nie zgorzszyl. Te insekty? To takie powszechne na froncie. Zresztą wkrótce zrobiono z tem koniec.

Gorzej było z rozszerzeniem żył. Codzienne forsowne marsze w ciężkiej, mokrej mazi, po których częstokroć nie można było zdjąć owijaczy z powodu ostrego pogotowia po nocach, dały mi się we znaki, co się zowie. Kuracja zapowiadała się na trzy tygodnie. A ja myślałem, że wrócę nad Dźwinę za tydzień...

Co tam też porabiają: Małaczewski, Rafalski, Sosnowski? Jestem o nich niespokojny, jak nigdy przedtem. Przedtem dzieliłem z nimi niebezpieczeństwa — i to podświadomie zwalniało mnie od troski o ich życie.

Troska o życie własne w znacznym stopniu zagłusza inne instynkty. Niebezpieczeństwo wspólne wyłącza wzajemne roztkliwianie się, a dominujący cel wysiłku wojennego nie pozwala na liczenie się ze stratami bojowymi, ani pod względem taktycznym, ani uczuciowym. Dopiero, gdy człowiek sam znajdzie się na zapiecku, traci z oczu konieczności wojenne i w żołnierzu widzi tylko człowieka; z aktora, porwanego grą, staje się widzem, świadomym tragedji.

Co do mnie, mimo, że wysłano mnie niemal przymocą do szpitala, miałem przykre uczucie, jakgdy-

bym przez swą nieobecność zwiększał niejako szanse śmierci mych kolegów. Graliśmy na tej wielkiej loterii wspólnie. Teraz ja odjechałem i wycofałem swą stawkę, a tamci „grają“ dalej... Im mniej ich, tem gorzej dla nich. Każdy nowy dzień — to nowy dzień ciągnięcia. Szczęście w jednym dniu nie przesądza o dniu następnym...

Dziś dowiedziałem się, że wczoraj wyciągnięto, czy raczej rozciągnięto, Rafalskiego. Ale jeszcze żyje, i niebawem go tu przywiozą, ciężko rannego.

Poza tem jest tu kilku rannych z oddziału polskiego nad Onegą i z baterji polskiej, walczącej na odcinku kolei Archangielsk-Wołogda.

XXXIII

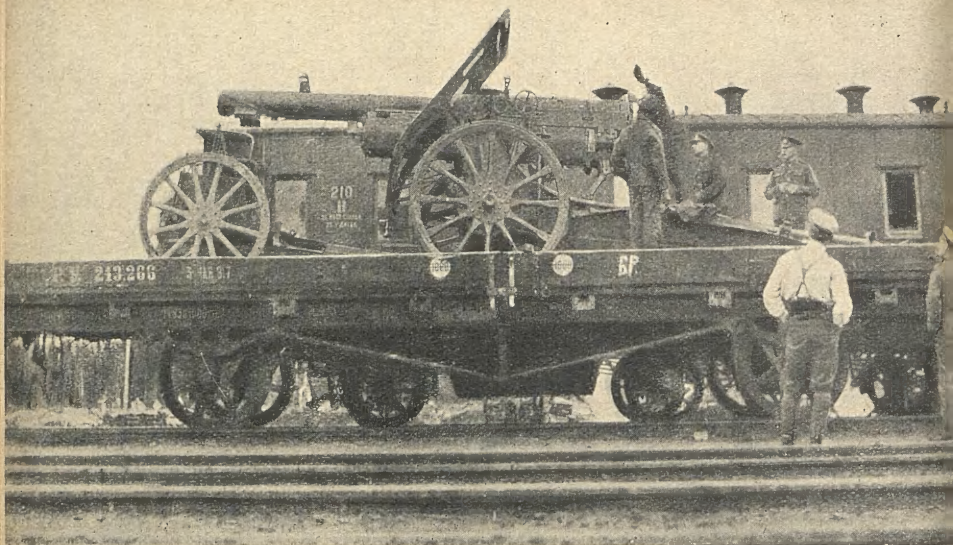
WITAJ, JUTRZENKO SWOBODY

Szpital, w którym leżałem, już spał, gdy sanitariusz przyniósł mi gazety. Wiedziałem już, że zawierały one depesze o tem, co się działo w Warszawie, o tem, jak rozbrajano Niemców i jak witano wielkiego więźnia z Magdeburga.

Oto sanitariusz wchodzi do pustej sali. Wyciągnąłem rękę po gazety, jak umierający z pragnienia podróżnik na Saharze wyciąga rękę po ożywczy łyk wody...

Nie pamiętam, ile razy przeczytałem suche, lakoniczne depesze, zredagowane telegraficznym stylem w obcym języku. A więc ziścił się sen o Polsce, trwający dla mnie od chłopięcego wieku, a dla narodu — trwający od stu trzydziestu lat! Odwróciła się karta historii! Sto trzydzieści lat! Bezszelestnej ciszy szpitalnej towarzyszy ledwo słyszalne t i k - t a k mego zegarka, leżącego na stoliku nocnym.

To pochód czasu. Przekroczył próg wolności i idzie dalej, tak samo, jak szedł przedtem, i tak samo, jak pójdzie jutro i pojutrze. Pozornie nic nowego wokół się nie dzieje. A jednak dzieje się, staje się coś, co jest i będzie wiekopomne. Tam, nad Wisłą, staje się rzecz wielka — R z e c z p o s p o l i t a. Ale to daleko, daleko stąd — i to dlatego ta sala szpitalna, i ten gmach, całe otoczenie, i całe to miasto podbiegunowe jest



takie senne, obojętne i nijakie... Pocóż tu jestem? Dlaczego niema mnie tam — w Warszawie, pod Wilnem, czy pod Lwowem? Odbieżał syn tej ziemi daleko, daleko i nie słyszy nawet oddechu jej wolności. Nie bierze udziału w jej śmiertelnych zapasach, nie wyczuł chwili decydującej, która się zbliżała. Nie słyszał Złotego Rogu...

A teraz — cóż robić dalej? Jestem żołnierzem, związanym nierozzerwalnie z losami mego oddziału. Co zrobi oddział — czy zatęskni za krajem? Niewątpliwie. Czy będzie mógł tam podążyć? Na pewno nie. Najpierw, nie puszczą nas stąd Anglicy, którym jesteśmy tak potrzebni, po wtóre — trzebaby przecie objechać morzami wokoło porządny szmat globu ziemskiego, żeby powrócić do kraju.

A tymczasem już nietylko noc 11-go listopada od-

była się bez mnie. Minie listopad, grudzień i styczeń, miną pierwsze, najpromienniejsze dni wolności i najkrytyczniejsze dni zapasów wojennych...

Tak! Był to wielki błąd, cały ten Murman. Może piękny czyn i rycerski, ale chybiony. Cóż teraz nam pozostaje czynić między obcymi, gdy losy naszej ojczyzny decydują się nad Wisłą? Chyba wskazanie księcia Józefa, rzucone w przededniu bitwy pod Lipskiem: „Odwagi — i starajcie się, aby imię polskie dobrze dźwięczało!“

XXXIV

I M I Ę P O L S K I E

Dziś odwiedziłem naszych rannych. Mam takie uczucie, jakgdybym nastąpił nogą na pisklęta z obciętemi skrzydłami i powykręcane nogami. Żadna bitwa nie podkreśla tak ohydy przeoranego kulami i granatami, żywego, ludzkiego ciała, jak to czyni szpital. Tu wszystko jest w koszulach, w szlafrokach lub obnażone na stole opatrunkowym. Tam, jeśli kto padnie trupem na polu bitwy — pada w mundurze. Czasami zarumieni się rubinem krwi nasze ochronne *khaki*, lub francuskie *bleu-horizon* — ale w dziewięciu wypadkach na dziesięć nie widać samej rany i kontrastowej bieli ciała, naokoło wyrwy ziejącej juchą. Na wojnie najstraszniejsze są: wrażenia słuchowe, widok nieprzyjaciela, zwłaszcza w natarciu, i wieczna niepewność sytuacji. Dlatego rany tam nie robią takiego wrażenia, jak w szpitalu. Zresztą człowiek, chce czy nie chce, mówi tam sobie w głębi ducha: — bo-dajbym tylko nie został zabity; o resztę — mniejsza.

Na tyłach już się nie odczuwa, że rana, zwłaszcza lekka, jest dobrodziejstwem w porównaniu ze zgonem. Stąd — roztkliwianie się nad rannymi.

Włazę do sali, w której jakiś Francuz, strzelec kolonialny płacze i krzyczy, jak dziecko, podczas opatrunku. Odszukuję Polaków. Daję im papierosy i cu-

kier — zupełnie nie jak „tytoniowy paskarz“ oddziału dźwińskiego.

Rozpytuje o rany. Nie chcą opisywać swych ran. Opisują bitwy.

A więc następuje korowód wsi i miasteczek, pod którymi stoczono zacięte boje, lub też „podchodzono“ marynarzy, podobnie jak Kmicic Chowańskiego „podchodził“.

Rejestr zdobytych przez Polaków karabinów maszynowych, armat i innych trofeów...

Jeńcy bolszewicy, rozbite lub wykolejone pociągi pancerne i zwykle...

Uratowanie sytuacji na froncie aljantów raz, drugi i trzeci...

Pochwały angielskie, francuskie, amerykańskie...

I ordery, ordery, ordery!...

„Starajcie się, aby imię polskie dobrze dźwięczało“ — przemknęło mi przez myśl, gdym czytał odpis zroszonego krwią polską rozkazu generała Ironside'a, zakończonego słowami:

„Jest to najlepszy żołnierz, jakiego kiedykolwiek miałem pod swemi rozkazami“.

A oto drugi rozkaz angielski nazywający Polaków „lwami północy“. Choć wiedziałem, że ten rozkaz dotyczy ściśle kompanji dźwińskiej kapitana Sołodkowskiego, nie uważam, żeby inne oddziały polskie nad Onegą i na kolei wołogodzkiej działały mniej; raczej — przeciwnie. Przytem poniosły one znacznie większe, niż my, straty w zabitych i rannych, bo z górą czterdzieści procent swego stanu liczebnego.

Cześć i chwała ich dowódcom: kapitanowi Świąteckiemu, rotmistrzowi Hrakale-Horawskiemu i porucznikowi Glińskiemu, który właśnie wylizał się z ran i opuszcza dzisiaj mury szpitala!

Niebawem miał się posypać jeszcze deszcz pochwał.

XXXV

KAPITAN SZUL-SKJÖLDKRONA

# P

anie kapitanie, porucznik Chrzastowski melduje się posłusznie z powodu opuszczenia szpitala.

Wyrecytowawszy formułę meldunku, przyglądałem się stojącemu przede mną szefowi sztabu wojsk polskich na północy.

— To szef sztabu? Ależ to chłopię! — przemknęło mi przez mózg. I rzeczywiście, smukły, piękny, o świeżej, jak panienka, cerze oficer, stojący przede mną, wyglądał zaledwie na lat dwadzieścia. Ale to chłopię miało już strzaskaną w boju szczękę, o czym świadczyła podłużna blizna, biegnąca przez policzek i podbródek, z pod śmiało zakreślonych brwi oczy harde, nieustępliwe, prometejskie przeszywają przybysza nawylot. Oczy te zdają się pytać: — Ktoś jest? — i mówić: — Jeśliś Polak szczerzy i żołnierz, toś mi bratem; jeśliś łazik lub spolszczony moskwicin — biada ci!

Zarówno wzrok, jak wyraz twarzy i cała postać rzekomego chłopięcia tchnęła niezwykłą siłą wewnętrzną i wzbudzała szacunek.

— Cześć! — spoglądam teraz na rękę, która się ku mnie wyciąga.

— Czołem, panie kapitanie! — Uścisk dwu dłoni, i oto patrzę znowu na rękę, którą przed chwilą trzymałem w swojej. Czy to działanie sugestji? Bo już

mi się zdaje, że i ta ręka jest — jakby powiedział Małaczewski — „skrzydlata czynem“, że to czoło jest „wieńczone chwałą“. Patrzę teraz z kolei na wąską pierś, opiętą w obcy mundur angielski, i mimowoli widzę posąg z brązu. Bohater.

— Cóż mi pan powie?

— Proszę o zezwolenie powrotu na front.

Patrzę w oczy: ani pochwały, ani uznania, ani zdziwienia. Oczy zdają się mówić: — Na front? prośba całkiem naturalna. Chce się panu? To obojętne dla mnie i obojętne dla *sprawy naszej*...

— Nie. Zostanie pan tutaj.

— Panie kapitanie...

— Zostanie pan tutaj — a wzrok dodaje: — Dyskusja zamknięta.

— Tak jest — odpowiadam, obiecując sobie w chwili odpowiedniej powrócić raz jeszcze do tego tematu.

— Niech pan siada i opowie mi, jak tam było — nie w szpitalu oczywiście, ale nad Dźwiną Północną. Znam to z raportów pisemnych, ale chcę mieć żywe słowo.

Wyliczyłem kilka ważniejszych akcyj bojowych w tej ruchawce i scharakteryzowałem w paru słowach położenie oraz rolę oddziału dźwińskiego. Kończąc, zaznaczyłem, że koledzy moi mogą o mnie źle pomyśleć, gdy nie wrócę do nich do oddziału polskiego, z którego wyjechałem.

— Czyż tu, w Archangielsku, nie jest pan wcielony do oddziału polskiego? Zresztą oddział



dźwiński, podobnie, jak oneski, oraz baterja polska, walcząca na odcinku Wołogydy, będzie również ściągnięty do Archangielska, i to już za parę tygodni. Tutaj złączymy te wszystkie rozproszone oddziały w jedno i zrobimy jeden bataljon.

— Ale ja chciałbym...

— To nam wszystko jedno. Dostał pan już rozkaz.

— Tak jest; rozkaz, panie kapitanie — rzekłem, zrozumiawszy, że ten fluid wzroku jest przeszkodą nieprzewycięzoną i że nigdy już nie powrócę do Małaczewskiego, Sosnowskiego i innych kamratów, chyba, że oni wrócą tutaj z frontu do Archangielska.

Po chwili jednak zaryzykowałem jeszcze ostatnią stawkę:

— Zachorowałem i odjechałem z frontu do szpitala w przededniu przedstawienia do *Military Cross*. Jeśli nie wrócę, może mnie ten krzyż ominąć.

Dwa znicze pod gęstą brwią zapaliły się i przebiły mnie pogardą, jak sztyletem:

— Krzyż a n g i e l s k i? Więc poto się pan zaciągnął do wojska p o l s k i e g o? Nam nie potrzeba kondotjerów. Poza tem proszę się nauczyć dyscypliny. Żegnam.

Nie było rady, tylko wykonać wtył zwrot, wyjść z gabinetu i zostać w Archangielsku. Byłem stropiony, ale nie czułem się ani obrażony, ani oburzony, ani podminowany chęcią wykręcenia się z pod obucha nieprzyjemnego rozkazu. Wręcz przeciwnie: wyszedłem oczarowany. Czułem, że „skoro kapitan tak

rozstrzygnął, to tak być musi“. I nie bardzo nawet zastanawiałem się, dlaczego tak być musi. Daleko więcej obchodziło mnie w tej chwili pytanie, skąd ja kapitana Szula znam. Aha! Już wiem! Jest uderzająco podobny do nieboszczyka pułkownika Bolesława Mościckiego, mego dowódcy z pod Krechowic.

To nic, że pułkownik był niższy i raczej krępy, a kapitan — szczupły, wysoki; że pułkownik miał lat trzydzieści sześć, kiedy zginął, a ten ma lat dwadzieścia, że wreszcie rysy twarzy obu nie mają ze sobą nic wspólnego. Mniejsza o to. Wzrok, ton, gest, coś nieuchwytnego w wyrazie twarzy decyduje o pokrewieństwie duszy. A zwłaszcza oczy. Przez spojrzenie wyziera gorejące serce, kipiący czynem temperament i zimna, twarda, jak stal, wola. Ten i tamten — to żołnierze z krwi i kości, to dowódcy, z którymi żyć i umierać.

XXXVI

PANNY I DZIEWCZYNKI

**N**azywałem ją panną Łuną, bo się co pięć minut rumieniła.

— Foremna bestyjka! — rzekłem sobie w myśli, biorąc w rękę (również, naturalnie w myśli) zgrabną i jędrną łydkę w opiętej pończoszcze. Siedzieliśmy w saloniku na przyzwoity dystans i prowadziliśmy tak zwaną przyzwoitą rozmowę. Czyniłem to mechanicznie i odruchowo, w rzeczywistości rozmawiając sam z sobą i tocząc z sobą ciężką walkę na temat: „Bierz za głowę!“ i „Nie wolno!“. Ten dwugłos utrzymywał mnie jako-tako na miejscu, podczas gdy wzrok ciekawie i podstępnie ślizgał się wdół i wgórę po smakowitej nóżce.

— Podobał się panu Archangielsk? Czemu pan nie odpowiada?

— Aha — Archangielsk... Tak, tak: ogromnie mi się podobał. To jest, właściwie, nic tu ciekawego, oprócz portów, niema... Panno Łunko, niech pani lepiej opowie, w jaki sposób pani tu przyjechała.

— Przybyłam z siostrami w roku 1915, jak wszyscy „bieżeńcy“, i początkowo...

Panna zaczęła szczegółowo opowiadać coś, czego zupełnie nie słyszałem. Słyszałem natomiast pulsowanie krwi i czułem, jak za mojem krzesłem stanęła żądza. Nachyliła się nade mną, ogarniając mnie

swym gorącym oddechem i oplotła mnie całego swymi lubieżnymi ramionami. A teraz oto siadła mi na kolanach i przybrała postać Bogu ducha winnej dziewczyny, która tymczasem siedziała sobie skromniutko naprzeciw. Cóż, kiedy rozpasana wizja była tylko cieniem, a rozkoszna Łunka — dziewczyną z krwi i kości, ze wszystkim, co potrzeba i jak potrzeba.

W pewnej chwili przerwałem panience opowiadanie i powiedziałem jej o tem prosto z mostu. Oblała się purpurą krwi. Miała lat siedmnaście i była Polką, a te przeważnie nie są w tym wieku zepsute w takim stopniu, jak Rosjanki i inne cudzoziemki.

A jednak nie uciekła. Siedziała, jak urzeczona. Tylko oczy, szeroko rozwarte, zdawały się ze strachem oczekiwać skoku rysia.

— Jest Polką, jest przyzwoitą dziewczyną. Ani mi się waź! — szeptałem sam do siebie ostatnim wysiłkiem woli. Siedząc pozornie nieruchomo, w rzeczywistości szamotałem się z własną żądzą, jakbym toczył jakiś bój na śmierć i życie. Bój o cześć tej miłej, przyzwoitej dziewczyny, tak naiwnej i bezbronnej.

— Gdzie jest pani starsza siostra?

— Poszła na spacer z porucznikiem Sosnowskim.

— Z takim lowelasem? Jak można?

— To pan tak wygaduje na własnego kolegę?

— Wcale nie wygaduję. U nas to należy do dobrego tonu być lowelasem.

— O, Boże! Ale pan jest inny? Niech pan powie, że pan jest inny!

— Jestem inny. Postaram się!

— Pan nigdy nie chce opowiadać o waszych bojach...

— W tej chwili toczę największy i najtrudniejszy do wygrania bój...

Dziewczyna nie rozumiała.

— Jaki bój? co pan plecie?

— Bój o to, żeby się wyrzec zwycięstwa. Zdaje się, że wygram, to znaczy, że przegram...

— Nic z tego nie rozumiem!

— Całe szczęście!

— A może pan napije się herbaty?

— Dziękuję; już mi przeszło.

— Co przeszło? — i panna, zakładając nóżkę na nóżkę, nie chcący błysnęła bielą majteczek i różem podwiązek.

— Nic. To znaczy, że wyszła i przyszła zpowrotem.

— Ale kto?

— Żądza.

Dziewczyna znów opadła na poduszki fotela, poruszyła się całym ciałem niespokojnie i zatrzepotała firankami czarnych rzęs, jak łapany na szpilkę motyl. Znowu fala krwi na świeżej twarzyczce pod kaskadą czarnych włosów, znowu to zalęknione, a rzewne spojrzenie, które zdawało się mówić: „Boję się ciebie! Ale wiem, że mnie nie skrzywdzisz. Nie krzywdź mnie, ale mów do mnie! Całe moje rozpa-

lone ciało drży, jak membrana, łowiąca dźwięk tej władczej, męskiej, zaborczej mowy...

Ja zaś mówiłem do siebie jednocześnie: — Idjoto, nie mów o tem więcej ani słowa, bo, jak od łyżeczki — do rzemyczki, tak od słoweczek — do majteczek...

— Mówmy o rzeczach obojętnych — rzekłem.

— A czy tamto nie jest dla pana obojętne? — rzekła filuternie dziewczyna.

— A to skrzat! — pomyślałem sobie — ona mnie naprawdę sprowokuje na *coup d'état*, a raczej na *coup d'innocence*.

— Widzi pani, pani jest młodziutka i nie zna mężczyzn...

— Jakto nie znam? Właśnie znam!

Uśmiechnąłem się żartobliwie:

— Pani jest rozbrajająca. Otóż pani nie zna mężczyzn. Kobieta może rozmawiać o wszystkim, a jednocześnie poprzestać na niczem. Mężczyzna naodwrot, rozmawiając o niczem, może chcieć wszystkiego, a cóż dopiero, gdy się rozmawia o wszystkim. Wogóle rozmowa może stać się iskrą na proch.

— Czy pan jest beczką prochu? Wcale pan do beczki niepodobny — perlisty śmiech i czar zalotnego spojrzenia — jest pan nawet cokolwiek przystojniejszy!

— Dziękuję, ale niech pani teraz o tem nie mówi.

— I o tem nie można?

— Widzi pani, mężczyzna jest, jak tygrys w klatce...

— Ale co za tygrys! — cha, cha, cha! — z temi pocziwemi litewskimi oczyma?

— Niepodobny? — zapytałem, rozbawiony — więc do kogo podobny?

— Cha, cha, cha! Pan? Do kogo pan podobny? Raczej do niedźwiedzia! Do takiego niby groźnego, a w gruncie pocziwego Misia, którego ma się ochotę pogłaskać.

Za sekundę siedziałem obok na kanapie i pochyliłem się nad przepaścistemi źrenicami dziewczyny.

— Och, boję się ciebie! — mówiły te oczy — błagam, odsuń się ode mnie i nie zrób mi żadnej krzywdy! Bo zemdleję i będę nieszczęśliwa!

Usłuchałem.

Nastąpiło milczenie.

Dziewczyna powróciła do równowagi pierwsza.

— Zaczął pan o tygrysie; niech pan mówi, ale z tamtego krzesła naprzeciwko. Już nie będę panu przerywała.

— Ale ja wolę nie zaczynać. Pani jest za młoda, za ładna, za inteligentna i zanadto „panna“.

— Już wiem, że pan przez chwilę naprawdę był podobny do tygrysa.

— Ale w klatce.

— W klatce? Nie widzę prętów.

— To są pręty honoru, a w pojęciu potocznem — pręty tak zwanej moralności. Moralność — to jednak straszne słowo, wielkie i odpychające zarazem. Coś, jak zimny tusz wśród wesołej towarzyskiej rozmowy...

— Czy to są grube pręty?

— Dosyć grube, ale każda klatka ma swą furtkę. Tę furtkę, o której mowa, otwiera zwykle sama kobieta.

— Nie rozumiem.

— Widzi pani, na nasze szczęście kobiety same nie uznają honoru w erotyce, i to rozgrzesza...

— O! jabym tego nie powiedziała!

— Bo, na moje nieszczęście, pani nie jest kobietą...

— Tylko czem?

— Pani jest projektem na kobietę; pani jest panną...

Rozległ się śmiech perlisty, żywiołowy, uroczy śmiech; wstrząsnął mną całym i znowu wzbudził pożądanie.

— Ja jestem projektem na kobietę? Takim szkicem? Może jest to „szkic węglem“?

— No cóż, ja wolę szkice od obrazów. Zresztą pani jest szkicem pastelowym. Narazie nadaje się pani dla Axentowicza. Jak pani przestanie być projektem na kobietę, będzie z pani bachantka Żmurki.

— Skoro ja nie jestem kobietą, niech pan co powie o prawdziwych, skończonych kobietach.

— Dobrze; więc pani naprzykład ucieka od pocałunku... Mógłbym, coprawda, zmusić, ale nie chcę— narazie... za pięć minut mogę zechcieć — uwaga...

— Ładny projekt. Ale nie mówmy o projektach na projekt, bo przecież ja jestem projekt. Mówmy o kobiecie.

— O kobiecie... Ach, kiedy tak, trudno mówić o kimś, siedząc obok pani! Ale postaram się. Otóż pani uciekła od pocałunku. A kobieta powiedziała by na pani miejscu — słowem, czy wzrokiem, to wszystko jedno: — Odsuń pan ten swój honor od siebie, a przysuń się do mnie... Czy pani wie, jaki dostałem list od mężatki, której nie uwiodłem z pewnych przyczyn, mimo, że miałem do tego okazję?

— To ciekawe.

— List mniej więcej taki: „Jestem na pana obrażona i nigdy już pana nie chcę widzieć. Tylko niech pan się nie tłumaczy i nie zasłania czasem swoim honorem. Jak pan przyjdzie do mnie we wtorek (do szóstej jestem w domu), powiem panu, że pan nie jest człowiekiem honoru, tylko zwyczajnym fajtlapą“.

— A czy pan poszedł?

— Pani jest ciekawa, jak Ewa.

— Ja chcę wiedzieć...

Nie było rady. Musiałem tedy opowiedzieć, opuszczając nazwiska, wymieniając fantastyczne daty i miejscowości zdarzenia, to i owo przepuszczając, a to i owo dodając, bo któż jest wolny od przyjemności *bujania*?

Dziewczyna była rozbawiona i znowu zapomniała, czy też nie chciała pamiętać, o grożącym jej niebezpieczeństwie. Zaczęła się znów dwuznaczna rozmowa, naszpikowana dyskretnym erotyzmem, ale punkt ciężkości coraz bardziej przechodził ze słów na kontakt z suknią, bluzką, włosami. Wreszcie—z ustami...

Na szczęście w tejże chwili rozległ się dzwonek. Odskoczyliśmy od siebie, a do pokoju wszedł Sosnowski z jej starszą siostrą.

Porwałem się z miejsca. Pożegnałem się, mimo protestów, wyszedłem i wyciągnąłem wraz ze sobą kolegę.

— No cóż? Już po wszystkim? — zapytał Sosnowski.

— Nie. Po niczem.

— Aha! Więc to już nie była dziewczica?

— Skądże! Ale nie chciałem...

— Toś fajtłapa!

— Może. A ty zaprowadziłeś swoją do gabinetu?

— Nie.

— Nie chciała?

— Nawet nie proponowałem. Wiesz. Polka, opiekunka dwóch sióstr... W Polsce Polki można nie uszanować, ale tutaj — to co innego. Są na obczyźnie, a my — żołnierze polscy, niby najbliżsi... byłoby nie po rycersku.

— Więc czemu mi przyganiaasz?

— Bo uważam, że i ja jestem fajtłapą. Zresztą — jeszcze nie wieczór.

— Zajdziemy do nich jutro.

— Otóż właśnie, że nie zajdziemy. Jeżeli tam będziemy chodzili codzień — rezultat zgóry do przewidywania. Przyrzeknij, że tam więcej nie pójdiesz!

— Dobrze, ale i ty też. Co to? mało bab w Archan-gielsku?

— Czekaj, jest tu jeden lokal — pierwsza klasa.  
Jedziesz ze mną?

— Na dziewczynki? Jazda!

— Ej, *izwoszczyk!* — kiwnął ręką na brodatego  
dorożkarza. — *Bielomorskij pierewok 6!*

„NASZE” CZY „WASZE”  
W O J S K O?

**Z**nowu opowiadano mi wiele o bojach rotmistrza Hrakaly-Horawskiego i jego oddziału.

Oddział ten powstał w mieście Onedze, przy ujściu rzeki tejże nazwy do morza Białego. W dniu zdobycia miasta przez Anglików oswobodzono z więzień *czerezwyczałki* oneskiej kilkunastu Polaków, uwięzionych w drodze na Murman i skazanych na rozstrzelanie. W parę dni dołączyło się jeszcze kilkunastu z partji kapitana Michalca i podporucznika Minkiewicza, którego bolszewicy zdążyli przed przybyciem aljantów rozstrzelać, wykłuwszy mu wpierw oczy i obciąwszy uszy. Oswobodzeni przez Anglików więźniowie chwycili za broń, wykroili z puszek od konserw orły polskie, przypięli je sobie na czapkach i poszli razem z Anglikami bić wroga na odcinku oneskim, a następnie — sieleckim.

W bitwie pod Czudnowem Polacy rozstrzygają o zwycięstwie na odcinku Onegi, zdobywając karabiny maszynowe i zachodząc nieprzyjaciela od tyłu. Dla zamanifestowania czci dla bohaterów, na pogrzebie trzech poległych Polaków asystuje *in corpore* cały oddział oneski pułkownika Tornchila, składający się ze Szkotów, Anglików i Rosjan.

Po bitwie następuje rewja generała Poola, gratulacje i dekoracje.

W parę tygodni później, pod Sieleckiem, na kierunku Sijsk—Obieziarska, zagradzają aljantom drogę dwa bataljony marynarzy z kompanją karabinów maszynowych, dwoma działami i samochodem pancernym. Horawski wspólnie z porucznikiem Pierre'em, dowódcą kompanji francuskiej, wsparci plutonem angielskich karabinów maszynowych, pod ogólnem dowództwem angielskiego majora Haselltena, rozbijają ten oddział i odrzucają go na południe. Ginie przytem porucznik Władysław Wojciechowski, padają ranni: podporucznik Sielski, szeregowiec Sarnat i Zabielski, ale Polacy rozbijają granatami ręcznymi samochód pancerny i zdobywają go.

Ciężko ranny kapitan angielski Hussting, szef sztabu wyprawy, kona na rękach porucznika Glińskiego, który go wynosi ze strefy ognia. Hussting do ostatka nie traci przytomności oraz zimnej krwi i na chwilę przed śmiercią jeszcze zdobywa się na słowo najwyższego uznania dla żołnierza polskiego. Następuje zbratanie Polaków z Anglikami i Francuzami.

Odnaczają się w tej bitwie, jak i poprzednich bitwach i zwiadach wszyscy. Najwięcej zaś — rotmistrz Horawski, porucznik Gliński, dwaj bracia Wojciechowscy i Zaremba.

W kilka dni później porucznik Gliński otrzymuje w zastępstwie Horawskiego dowództwo nad Polakami i francuską sekcją; wkrótce oddano mu również pod komendę bataljon legjonu *slavo-british*, złożony z ochotników rosyjskich, pozostających na angielskim żołdzie.

Również i rotmistrz Hrakalo-Horawski, choć Polak, dostaje z ramienia Anglików dowództwo nad powstańcami rosyjskimi w powiecie.

Dalsza akcja nie udaje się, gdyż powstańcy rosyjscy w pierwszej bitwie pierzchają, a porucznik Gliński zostaje ciężko ranny. Bolszewicy, otrzymawszy bardzo poważne posiłki, otaczają oddział majora Hasselltena, który się jednak przebija. Oddział polski pod dowództwem porucznika Michałowskiego osłania odwrót.

Tymczasem Horawski, odcięty przez bolszewików i opuszczony przez powstańców, przez dziesięć dni operuje z pięcioma polskimi podoficerami na tyłach bolszewickich, a wkońcu przebija się lasami zpowrotem do swoich.

Odznaczają się w akcji: rotmistrz Horawski, porucznik Gliński, porucznik Michałowski i wielu, wielu innych.

Taka jest historia p r z e w a g bojowych Horawskiego i jego oddziału na froncie murmańskim, nie więc dziwnego, że pragnąłem go poznać osobiście.

Znałem go zresztą ze słyszenia oddawna, od r. 1916.

— Wiesz, wchodzę, sala dymi — opowiadano mi wtedy — siadam do baka, a tam ponuro, groźnie, zasiada on. Skąd ja go znam? Djabli wiedzą! Ale jest częstką mego wyobrażenia o Polsce szlacheckiej, chociaż nosi mundur rosyjskiego oficera huzarów. Zresztą nosi również złoty oręż świętego Jerzego i wszystkie ordery, jakie istnieją w armji rosyjskiej dla jego stopnia. Na twarzy coś, jakby lekka pogarda

dla otoczenia i dla wszystkiego na świecie, aż do własnych orderów włącznie. Postawa karmazyna; wąsy, niczem wyloty kontusza. Mówi mało, krótko, ale co-  
kolwiek powie, wszyscy wokół słuchają z respektem,  
ubiegając się o zaszczyt zostania jego kompanem.  
Od czasu do czasu toczy wzrokiem wokoło, jakgdyby  
szukał godnego siebie pojedyńkowicza. Nie znajduje,  
więc pije dalej i przegrywa...

---

Drugi raz opowiadano mi o nim w roku 1917.  
Było to wtedy, gdy za jakiś drobiazg sprzął po fizjo-  
gnomji rosyjskiego pułkownika i zrzucił ze schodów  
trzech jego podkomendnych, a następnie odbił mu  
jeszcze kochankę. Stało się to bezpośrednio po tem,  
gdy gazety rosyjskie opisywały jego czyny walecz-  
ności na froncie.

---

Kiedy generał Dowbor likwidował I Korpus, rot-  
mistrz Hrakalo-Horawski uderzył pięścią w sza-  
blę i huknął, jak na sejmiku: „Nie pozwalam!“. Pod  
Urzeczem zaatakował i rozbroił placówkę niemiecką.  
Przegłosowany przez kolegów w swym pułku i skar-  
cony przez generała Dowbora, który kazał wypuścić  
jeńców niemieckich, urznął się z żalu, a nazajutrz wy-  
jechał na Murman.

---

W drodze pił dalej, a ponieważ mu się znudziło  
na statku na Wołdze, więc uwiódł *krasawicę*, żonę  
jednego z najwyższych komisarzy bolszewickich,  
członków rządu z Petersburga. Gdy nazajutrz na

statku wypadła rewizja, rotmistrz wyszedł ze swej kajuty na korytarz i huknął do komisarzy: „Poszli won!“. Nie wiadomo, czemu się sprawa skończyła, gdyby na ten lwi ryk nie wyskoczyła z sąsiedniej kajuty uwiedziona komisarka i nie powtórzyła rozkazu swego przygodnego pana i władcy.

---

Archangielsk. Najgorsza, a więc najlepsza nocna knajpa. Do stolika polskich oficerów podchodzi oficer Polak w służbie rosyjskiej. Na mundurze — odznaki kapitana sztabu generalnego.

— Czy można?

Najstarszy z nas stopniem, Hrakało-Horawski, skinieniem brwi zezwala. Widzę jednak, że nie podoba mu się ten pół-Polak, pół-Moskal. Poznałem to po tonie. Ważkie, prowokacyjno-spokojne słowa Hrakały wypadały z pod wąsów, jak rękawice do podjęcia, a zapytania przybysza zostawały bez odpowiedzi.

— Napijemy się, panie rotmistrzu? — podnosi kieliszek przybysz.

Milczenie.

— Czy można się napić z panem rotmistrzem? — powtarza kapitan.

Wreszcie odzywa się ponury, przepity baryton:

— Pan z jakiego pułku?

— Jestem w sztabie generała Millera. Słyszałem, że wasze wojsko polskie jest świetne.

— A pan Polak czy Moskal?

— Ja? Ja... Polak.

— Więc: n a s z e wojsko!

— No, tak — wasze.

W źrenicach Hrakały zapaliły się iskierki. Utkwił w tamtym wzrok żbika, ale nie drgnął, tylko zwolna powtórzył z naciskiem:

— Pan chciał powiedzieć: n a s z e.

Wynarodowiony rodak nagle zmieszał się, jak żak, poczerwieniał i powtórzył kilka razy z rzędu z nienaturalnym pośpiechem:

— Nasze! No, tak: nasze! Ha-ha-ha! Nasze, chciałem powiedzieć...

— Ja myślę.

— Mówił mi generał Miller...

— A teraz, kiedy pan powiedział po ludzku, to ja się z panem napiję — i Hrakało podniósł swój kieliszek.

Kapitan wypił do połowy.

— A to co? Kiedy ja podnoszę swój kieliszek, to musi pan wypić do dna. Ile pan ma lat?

— Dwadzieścia ośm.

— Smarkacz i szczeniak!

Kapitan nie dosłyszał, bo właśnie zagrała orkiestra — czy też może wolał nie dosłyszeć, a ja straciłem przez to okazję oglądania jednej z codziennych burd rotmistrza Hrakały-Horawskiego.

Piję z nim dalej, choć nie lubię wódki, przyglądam mu się z upodobaniem i z należytą ostrożnością. Wspaniały typ rębajły, hulajduszy i zawadjaki! Żołnierz i rycerz starej daty, ze wszystkimi wadami i cnotami szlacheckimi. Lisowczyk, przemundurowany na nowoczesnego oficera.

XXXVIII

C H A N D R A



Dostaliśmy gazetę oficerską za listopad i za-  
ległości za miesiące poprzednie. Wynająłem *garson-  
njerę* i zacząłem „nowe“ życie, które w rzeczywistości  
było starem, znanem i do obrzydliwości nudnem. Nie  
mogłem się oprzeć pokusie, żeby nie poszaleć przez ty-  
dzień; później miałem wziąć się do pracy. Z tygodnia  
zrobiły się dwa tygodnie, z dwu — zrobił się miesiąc.  
Zresztą — do jakiej pracy tu się wziąć? Byliśmy te-  
raz prawie wszyscy bez przydziałów służbowych  
w oddziale, ponieważ w stosunku do ilości żołnierzy  
oddział wojsk polskich w Archangielsku miał  
o siedmdziesięciu czterech oficerów za dużo. Stano-  
wiło to nadwyżkę, którą miano odesłać do Francji,  
a tu miał pozostać jeden bataljon piechoty, obsadzo-  
ny etatową ilością oficerów-piechurów.

Ja, jako kawalerzysta, należałem wraz z rotmi-  
strzem Horawskim, porucznikami Glińskim, Dile-  
niusem, Gerwatowskim, Kalkowskim, Nestorowi-  
czem oraz kilku podchorążymi do partji, wyznaczo-  
nej do Francji i oczekującej na okręt. Pobyt w Ar-  
changielsku był zatem prowizorjum, wobec czego  
całe życie ułożyło się tu prowizorycznie i powiedział-  
bym — bezcelowo. A tymczasem oczekiwanie na  
okręt przeciągało się w nieskończoność. Nie umiałem  
ani szczerze i żywiłowo bawić się, ani wziąć się do

tej czy innej pracy, z przekonaniem i energją. Tymczasem powróciła z frontu okryta chwałą kompanja kapitana Sołdkowskiego i zasilila oficerami partję, czekającą na okręt do Francji.

Major Szul rozumiał dobrze nastrój rozpróżnienia wśród oficerów na bruku archangielskim i zorganizował coś w rodzaju szkoły oficerskiej czy kursu doszkolenia. W dzień musieliśmy więc chodzić na obowiązujące wykłady i ćwiczenia, a karty i kobiety odkładać, czy raczej rozkładać, na wieczór i na noc.

Tymczasem, po bardzo krótkotrwałej jesieni, nagle nadeszły trzaskające mrozy i spadły ogromne śniegi; powietrze stało się niesłychanie mroźne. Wystarczyło przejść z mieszkania do oficerskiej szkoły, czyli przebyć odległość około pół kilometra zaledwie, aby „zmarznąć w płuca“, jakeśmy mówili. Byliśmy ubrani tak ciepło, że niepodobna było sobie czegokolwiek odmrozić, natomiast oddychać trzeba było zimnem, jak lód, powietrzem. Przytem oddychało się tutaj mimowoli bardzo głęboko. Mnie i kilku innych kolegów bolały przytem zawsze piersi.

Mgły, cechujące latem i jesienią ten dziwny kraj, w zimie ustały prawie zupełnie. Powietrze stało się bardzo czyste. Mglistość było tylko na najludniejszych chodnikach miasta. Każdy przechodzień niósł przed sobą strumień pary, który podsycił ustawicznie oddechem. Strumienie pary z ust ludzkich krzyżowały się i mieszały z sobą. Człowiek paruje tutaj, jak koń, a koń — jak jakiś olbrzymi samowar. Od czasu do



czasu rozlegał się suchy, krótki, bardzo głośny trzask, niby trzaśnięcie z długiego bata, takiego, jakiego używa się przy powożeniu czwórką koni w lejc. Ten trzask wydawały pod stopą zmarznięte deski trotuaru.

Dnie stawały się coraz krótsze, a noce dłużyły się w nieskończoność i napędzały chandrę. Poza klimatem i zjawiskiem zorzy nie mieliśmy żadnych szczególnych wrażeń. Miasto było takie same, jak każdy inny „*gubernskij gorod*“ rosyjski pod każdą szerokością geograficzną, to znaczy nudna dziura, szablon do drugiej potęgi.

Mimo, że pieniędzy było stosunkowo dużo (każdy

z nas pobierał gażę oficera francuskiego), na szaleństwa zawsze brakło. Ceny były niesłychanie wysokie, a niektóre artykuły, jak na przykład, zwyczajna „czysta“ rosyjskiego monopolu wódczanego — niesłychanie drogie. Pamiętam, jaką scenę zrobił mi Sosnowski, gdy przez nieostrożność rozbił taką butelkę *aquae vitae*, wylewając zawartość na podłogę. Trunek był na wagę złota, więc słówka, które zaczął ciiskać nasz *viveur* i grandziarz w jednej osobie, przewyższyły ciężarem gatunkowym wszystko, co słyszałem kiedykolwiek w tej mierze i czem produkowałem się sam.

Ale był moim gościem i nie mogłem go wyrzucić za drzwi. Wobec tego, musieliśmy zapisać wspólnie to zmartwienie, postarawszy się o inny trunek, o zakąskę i „deser“. Najtrudniej było o dobry deser, bo Archangielsk był miastem portowem, i każdy „deser“ przeszedł już wiele razy z ust do ust i z rąk do rąk, zanim trafił do polskich legunów na pocieszenie.

XXXIX

MNIE WIELCE MIŁOŚCIWY  
P A N I E I B R A C I E



Gdy wczesną wiosną roku 1917 wybuchła pierwsza rewolucja rosyjska o charakterze umiarkowanym, czyli t. zw. rewolucja Kiereńskiego, Polacy przyjęli ją z uczuciem bardzo rozmaitem, zależnie od przekonań społeczno-politycznych. W każdym razie, ze względu na widoki odbudowy niepodległego państwa polskiego, obalenie caratu było zdarzeniem pomyslnem.

Gorzej było z ekscesami żołnierzy, robotników i chłopów przeciwko dyscyplinie, porządkowi społecznemu, kulturze, sprawiedliwości i cywilizacji. Ściągnęło to powszechne *odium* na wszystko wogóle, co pochodziło od bolszewików. Dlatego też przyjęta w rewolucyjnej Rosji forma zwracania się do wszystkich *per* „towariszcz“ stała się wkrótce dla zdyscyplinowanych oddziałów polskich synonimem okrucieństwa i barbarzyństwa, tak dalece, że między Polakami powiedzenia „towariszcz“ używano w charakterze ubliżającego przezwiska.

Tak to idea powszechnego braterstwa, w teorii piękna, w praktyce uległa karykaturalnemu spaczeniu i zohydzeniu.

Na tle tego chybionego braterstwa rosyjskiego jakże dodatnio przedstawia się inne braterstwo, zrealizowane już przed wiekami na ziemiach polskich

w szeregach braci szlacheckiej! Wprawdzie sfery nieszlacheckie pozostawały poza nawiasem, ale jak piękna była forma zwracania się, rozpowszechniona między ludem herbowym! Każdy był bratem, ale zarazem każdy był panem. Niwelacja ku górze, nie ku dołowi. Podwyższenie małuczkich, a nie poniżenie wielkich. Szlachcie na zagrodzie — równy wojewodzie. Nie mówiono „bracie“, ale nie mówiono i „panie“, tylko właśnie „Panie bracie“, „Pani matko“... A te listy i akta stare, których pełne były strychy Teodorowa, Botok, i Poszeszuwia! Czy nie ślicznie jest, zamiast oschłego, współczesnego zwrotu „Szanowny panie“, pisać tak jak ongiś „Mnie wielce miłościwy panie i bracie!“?

Lubiłem w dzieciennych latach szperać po strychach i czytać owe listy jaśnie wielmożnego pana kasztelańskie lub też podkomorskie czy sędziowskie. Najwięcej było sędziowskich, jako że człowiek — zawsze człowiekiem i chętnie pisze do sędziego o protekcję. A jeden mój praszczur, podstoli Księstwa Żmudzkiego, był zarazem sędzią trybunału, najwyższej podówczas instancji. Stąd moc tych „Mnie wielce miłościwy sędzio, panie i bracie!“.

W niejednym z nich znalazłem coś o mieczniku Kiełpszu, i to mnie szczególnie zainteresowało. Miałem bowiem w szkole kolegę Kiełpsza, który odznaczał się tem, że posiadał dziwnie smakowity „*zatyłek*“. Nie miało to nic wspólnego z inną częścią jego ciała, służącą do wycierania ławek szkolnych, tudzież do walenia w nią piłką w chwilach, gdy Kiełpsz na-



iwnie odwracał się tyłem na dziedzińcu „Kowienskoj gimnazji“. Zatyłek natomiast była to tylna część głowy; Polacy, mieszkający na Litwie, zapomnieli, że nazywa się ona właściwie potylicą.

Otóż, siedząc na ostatniej ławie klasy pierwszej (siedzieć bliżej — to nie był fason), o ile się nie czytało pod ławką przygód Kmicica, widziało się przed sobą same z a t y ł k i. Nasze z a t y ł k i były rozmaite: płowe i czarne, strzyżone, czesane i zgoła „kudłate“ lub też znowu semicko-kędzierzawe. Ale zatyłek Kiełpsza był szczególnie ponętny. Niepodobna opisać, co było w nim takiego osobliwego. Faktem jest, że nie można się było oprzeć pokusie, aby mu nie dać szcztka, lub jeszcze lepiej — nie uderzyć po nim jakim grubym podręcznikiem.

Najlepiej nadawała się do tego „Ruskaja chre-

stomatja“. Kiełpsz wytrzymawał swym z a t y ł k i e m wszystko. Ale grubej „Chrestomatji“ nie da-  
rował nigdy, i na pauzie zaczynała się z tego powodu  
homerycka walka, Dawida (mnie) z Goljatem (Kiełp-  
szem).

Im bardziej dostawałem zato od Kiełpsza na pau-  
zie, tem ponętniejszy był mi jego z a t y ł e k podczas  
lekcyj. Dlatego wizerunek mego druha z ławy szkol-  
nej oraz jego potylicy zaniósłem w pamięci aż na  
Murman. A że na obczyźnie człek lubi karmić się  
wspomnieniami, więc wciąż mi tu majaczą owe litew-  
skie Kiełpsze, Szukszty, Kupście, Pacewicze, Siaw-  
ciłły i Strumiłły.

Lecz co ma piernik do wiatraka, czyli Kiełpsz do  
zwrotu „Mnie wielce miłościwy sędzio, panie i bra-  
cie“? Otóż ma. Tak bowiem pisał do mego prapra-  
dziada, Imci pana podstolego Księstwa Żmudzkiego,  
wstawiając się za miecznika Kiełpsza, generał arty-  
lerji Wielkiego Księstwa Litewskiego, Antoni Do-  
woyno-Sołłohub z Lipniszek, anno Domini 1750.

A tu raptem w Archangielsku — znów Dowoyno-  
Sołłohub, tylko Stanisław, pułkownik wojsk polskich.  
Gdy więc ktoś z kolegów bąknął niechętnie, że nasz  
*attaché* wojskowy niepoprawnie mówi po polsku, rze-  
kłem na to, że jest Polakiem z dziada pradziada.

Wogóle trudno było sobie wyobrazić lepsze i sku-  
teczniejsze przedstawicielstwo polskie w Archan-  
gielsku. Mieliśmy w nim więcej, niż przedstawiciela  
wojskowości. Był to nieoficjalny ambasador polski.

XL

T C H Ó R Z



**K**tóregoś dnia spotkałem na ulicy pannę Łunkę.

Stało się to tak nagle, że zrazu nie zdążyłem wdziać na siebie maski chłodu i żartobliwej obojętności. Zaskoczenie!

Zresztą — nic w tem dziwnego. Po tych dziewczkach, któreśmy pożegnali nad ranem, Łunka wyglądała uroczo. Szła ku mnie, promienna i uśmiechnięta, jak wiosna, mimo, że śnieg padał wokoło, a z sutego futra wychylał się tylko nosek i jarzyły się czarne oczy w ciemnej oprawie.

— Taka czarna, a taka jasna! — wyrwało mi się mimowoli.

— Jakto?

— Tak, że nie wiem, jak to pani robi, wiem tylko, że chciałem przed sekundą uciec.

— A teraz?

— Teraz ta chęć stopniała równie szybko, jak płatek śniegu, który w tej chwili zawisł na ustach... na pani usteczkach...

— Jak pan dziwnie mówi...

— Głupio — prawda? Czuję bezdenne nonsens tego wszystkiego. Zaraz przestanę.

Panna Łunka się nadała.

— Przeszanę, to znaczy zaraz ucieknę i znowu będę niewidzialny i nieuchwytny... Ja nie chcę!

— Tak być musi.

— Wcale nie! Gniewam się na pana! Dlaczego pan przestał u nas bywać?

— Dlatego, że się boję...

— Ale przecież pan był na wojnie. Nie bał się pan kul i kartaczy. A teraz boi się pan słabej niewiasty?

— Boję się podłości.

— Zbyt to zawile i zagadkowe. Nie mogę tego zrozumieć.

— To zbytuczne. Objaśniać nie będę.

— Jak się pan może wogóle czegoś bać? Pan jest mocny człowiek.

— A skąd ta wiadomość? Nie lubię blagi, muszę panią rozczarować.

— Rozczarować? Przecież pan był na wojnie. Był pan na froncie przeciwniemieckim, przeciwaustrjackim, rumuńskim, przeciwbolszewickim pod Bobrujskiem i świeżo wrócił pan z frontu archangielskiego...

— Cóż stąd? Zanim nie przeszedłem pierwszego chrztu ogniowego, miałem również to samo złudzenie, że wystarczy raz w życiu spotkać w polu ulewę ognia, aby na zawsze zabić w sobie szamocącą się, jak trwożliwa kuropatwa, słabość.

— A jak jest w rzeczywistości?

— W rzeczywistości słabość jest nieśmiertelna — przynajmniej, dopóki nie zginie człowiek, w którym ona się gnieździ i panoszy.

— Oryginalne i całkiem nowe.

— Przeciwnie: szablonowe i stare, jak świat. Niemniej — prawdziwe. Póki człowiek żyje, żadna kula nie zabije słabości, ani tchórzostwa. Człowiek je nosi w sobie z frontu niemieckiego na austriacki, z austriackiego — na rumuński, z rumuńskiego — na bolszewicki, i tak bez końca. Nikt nie jest z brązu, tylko z krwi i kości. A, naogół biorąc, kończę swą włóczęgę wojenną, ostatni jej etap przynajmniej — prawie z tym samym bagażem złego i dobrego, z którym ją rozpocząłem. Trzeba przejść przez tysiąc piekieł, aby się wzbogacić o jeden skrawek nieba. Ma pani dysertację o potrzebie czyśca!

— Więc, jak pan sobie radzi ze słabością?

— Obezwładniam ją za każdym razem na potrzebny okres czasu. Ale to niełatwo — i to jest ten największy trud żołnierski. A po każdej bitwie odżywa na nowo. Zresztą przychodzą nieraz w sukurs: zapał, uniesienie — czy ja wiem zresztą? — ambicja... A jednak *à la longue* potrzebny jest wysiłek woli, to jest ustawiczna walka z samym sobą.

— Więc poco to wszystko? Niech inni się męczą. Ja nie chcę, żeby pan...

— Pani pyta, poco to wszystko? Sen o Polsce i sen o szpadzie... Duszny sen zamkniętej w niewoli młodości... Odpowiem pani słowami ulubionego poety:

...Niechaj mi otworzą,  
Niechaj wyjdą z chorągwią, wyjdą z Matką Bożą,  
Niech mi końskie kopyta przelecą po twarzy  
I niechaj mnie postawią gdziekolwiek na straży!...

— I postawili pod biegunem...

— Tak, to paradoks. Kapitan Szul napisał żartobliwy wierszyk na ten temat, który się tak zaczyna:

Chciał bronić kraju nieszczęśliwy legun,  
Obronił biegun!...

— Cóż pan myśli robić dalej?

— To samo, co Szul:

Z pruskiej korony już zrezygnowałem,  
Mogę nie zaraz zostać generałem,  
Tylko mi bilet, o Boże łaskawy,  
Daj do Warszawy!...

— Ale oto jesteśmy na rogu. Do widzenia pani!

— Jakto? Nie idzie pan do nas?

— Nie. Spotykam się z Sosnowskim, i idziemy gdzie indziej.

— Stanowczo?

— Stanowczo.

— Tchórz!

Tym razem oczy panny Łuny zabłysły gniewem, i druzgocąca opinja została wypowiedziana z siłą i przekonaniem.

Na rogu ulicy przystanęła i obejrzała się raz jeszcze. Gniew opadł, jak załamująca się doszczętnie na grzbiecie fali grzywa rozwichrzonej piany. Pozostał czar leniwej, pieściwej tęsknoty.

Jaka szkoda, że trzeba odeprzeć ten nieodparty urok! Ale cóż! W szeregach wojsk polskich na Murmanie niema miejsca na markietanki!...

XLI

URODA KALECTWA



# W

czoraj odwiedziłem dom państwa K. Jest to, po siostrach panny Łunki, już druga rodzina polska, którą znałem jeszcze przed wojną. Też *bieżeńcy*, czyli uciekinierzy z obszaru, objętego wojną światową. Wprawdzie i tu teraz w pobliżu — wojna, ale dalej już uciekać niema dokąd, chyba na biegun.

Z panią K. tańczyliśmy niejednego mazura w Kownie, gdy byłem sztubakiem. Jej siostra, panna N., przebywa obecnie w Londynie. Pozwolę sobie przypomnieć się jej, gdy w drodze do Francji zajrzę nad Tamizę.

Coraz więcej mówi się, że nas odeślą do Paryża wskutek starań generała Hallera.

Panie pytają o naszą Baškę. Czy ona wygląda rzeczywiście na niedźwiedzia, i to polarnego? Sama nazwa: niedźwiedź polarny — ścina krew w żyłach niewiast. A tymczasem Baška jest najłagodniejszym i najmilszym zwierzątkiem, jakie kiedykolwiek widziałem. Młode to jeszcze i płocze, a pocieszne, jak biała kula śniegu, z dwoma węgielkami, zamiast oczu.

Teraz można ją brać na kolana, jak prawdziwą Baškę. Ale gdy dorośnie, przestanę brać ją w objęcia, bo nuż uściśnie za mocno? Z kobietami nigdy nic wiadomo...

— — — — —  
Coraz więcej widuje się w Archangielsku żołnierzy amerykańskich. Tak się składało, że nigdy nie widziałem ich na froncie; zawsze walczyli na innych odcinkach. Ale z wrażenia, jakie wywierają na ulicy i w lokalach Archangielska oraz z opowiadań oficerów baterji Święteckiego, urobiłem sobie o nich pojęcie dość dokładne.

A więc, naogół pisząc — spora analogja z Anglikami. Jedynie umundurowanie amerykańskie jest bardziej sportowe i mniej wojskowe, niż angielskie. Wyekwipowanie i wyżywienie — równie obfite. Usposobienie i charakter narodowy — podobne, chociaż naogół Amerykanin nieco żywszy jest od Anglika.

Wartość bojowa oddziałów amerykańskich byłaby bardzo wysoka, gdyby nie całkiem słabe wyszkolenie. Zresztą nic w tem dziwnego: jest to armja, sklecona naprędce, i nosi cechy raczej milicji, niż wojska regularnego. Niemniej, indywidualnie biorąc, żołnierze amerykańscy podobnie zresztą, jak i kanadyjscy — to zuch w zucha.

Serbów i Włochów, którzy strzegli miasta Koli oraz działali na kierunku Murmańsk—Petersburg, nie widziałem.

Wśród różnojęzycznych i najrozmaiciej umundurowanych wojsk koalicyjnych wyróżniają się tu pod względem fizycznym Amerykanie. Rosłe to, barczyste, rumiane i wesole. Znalazłem wśród nich przygodnego przyjaciela — Jima Browna, studenta uniwersytetu nowojorskiego. Przyjaźń nasza skończyła



się jednak w tym samym dniu, w którym się zaczęła. Zraziłem się do niego, ponieważ zapytał, dlaczego nie stać nas na zdrowego fizycznie dowódcę. Była mowa o pułkowniku Skokowskim i jego strzaskanej ręce. Brown nie rozumie, że takie kalectwo może być piękne!

---

Dziś odbył się przegląd oddziału przez podpułkownika Skokowskiego. Potem — defilada. Szef sztabu, kapitan Szul-Skjöldskrona, adjutant Benedykt, doktor Karwowski i porucznik Mayer uświetnili orszak pułkownika. Oddział prezentował się pierwszorzędnie, i wszystko udało się bardzo dobrze. Najlepiej jednak u d a ł s i ę n a m sam dowódca, przyjmujący rewję — inwalida wojenny, który podobnie, jak Wróblewski, nie chce nim być za żadną cenę. Chce być żołnierzem służby czynnej i jest nim, a o rękę, zwisającą bezwładnie z ramienia, mniejsza. Impонуje mi to, bo sam byłem ranny i pamiętam, jak łatwo upada się na duchu, gdy straci się trochę krwi. A moje rany były przecież niczem w porównaniu z ranami Skokowskiego. Ten oficer jest sklejony z kawałków, jak cenna porcelana.

Człowiek, przygnębiony raną, robi wrażenie godne litości. Ale taki, który gwizdże na kalectwo, jest człowiekiem, podniesionym do potęgi; taka pogarda jest piękniejsza od pogardy śmierci.

A przytem i przeszłość Skokowskiego niepowszednia, pełna przeżyć, prób i najrozmaitszych przygód, począwszy od bitwy działdowskiej do rozmowy z Le-

ninem w Petersburgu i przedarcia się na Murman. Wszystkie te przygody, niebezpieczeństwa i cudowne wybawienia nie pozostawiły na nim najmniejszego śladu, tak doskonały jest spokój ruchów i niezmacona harmonja jego męskiej twarzy.

I ta ręka bezwładna — klasa! Zwisa, jak strzaskana gałąź dębu, który, mimo to, nie przestał być dębem.

B I A Ł E M O R Z E

**N**areszcie wyjeżdżamy...

Na przystań przybyły niespodziewanie obie siostry panny Łunki.

— A gdzie najmłodsza siostrzyczka?

— Kazałyśmy jej pilnować domu.

— Aha! — A po chwili dodałem mimowoli: — Szkoda!

— Przyszliśmy odprowadzić rodaków i życzyć szczęśliwej podróży.

— A paniom trzeba życzyć rychłej repatrjacji.

Siostry westchnęły i zasępiły się.

— No, chyba nie prędko. Są poważne trudności. Zresztą takich Polek i Polaków, jak my, rozsianych po Rosji i wzdychających do powrotu, są tysiące, ba! — miljony.

— Miljon bezimienny nie przemawia tak do serca, jak jedna konkretna panna Łunka.

— Ona też bardzo pana lubi. A teraz, kiedy pan i tak już odjeżdża i nie zobaczymy się więcej chyba nigdy w życiu, niech pan powie, czemu się pan nie żeni? Kobiety pana kochają...

— Kobieta kochająca jest, jak skrzypce. Trzeba na niej zagrać. A na wojnie na skrzypce niema czasu. Chyba na te, które się w swej włóczędze po drodze znajduje i porzuca. Ktoby to tam woził ze sobą!

— Można nie wozić, a mimo to mieć na własność, zostawiwszy narazie za dziesiątą górą i za dziesiątą rzeką.

— Powiedziałem: kobieta jest, jak skrzypce. U jednego — to cudowny instrument, u drugiego — skrzypi, jak źle nasmarowane drzwi. Trzeba na nim dobrze grać, lecz, aby dobrze grać, trzeba się egzer cytować. Zaczniemy to czynić po wojnie, o ile zaczniemy. A na teraz całkiem inna dewiza...

— Jaka?

— Przechodź obok i szybko — a tem szybciej, im ładniejsza.

„Światogor“ zahuczał swą syreną, trzeba było kończyć rozmowę i pożegnać się ostatecznie.

Wchodzimy na pokład okrętu. Łód na Dźwinie Północnej jest podobno tak gruby, że wszelki ruch w głównym porcie archangielskim zupełnie zamarł. Zawieźli nas, wobec tego, koleją nad brzeg morza Białego do stacji Maimaks, gdzie się znajduje drugi port, będący niejako filją archangielskiego.

Po przyjeździe przekonaliśmy się, że i ten port jest całkowicie i gruntownie zamarznięty — ba, nie tylko port, ale i morze — przynajmniej na całej przestrzeni, którą można ogarnąć wzrokiem z brzegu. Właściwie między lądem, a zamarzniętym morzem, niema najmniejszej optycznej różnicy. Jedno i drugie jest tak samo płaskie; jedno i drugie posiada tę samą, jednako białą pokrywę śnieżną. Trzeba się domyśleć, że połowa tej otaczającej nas zewsząd bia-



lej płaszczyzny — to ląd prawdziwy, podczas gdy druga połowa — to złudzenie lądu.

Jedynie w samym porcie łatwiej rozróżnić tę granicę, dzięki linii stałych urządzeń portowych. Natomiast same statki, skute lodem, znieruchomiałe i martwe, wydają się raczej trupami okrętów, wyciągniętymi na ląd, niż żywymi, zdolnymi do prucia fal i lodów parowcami. Bo i gdzież tu fale, kiedy, jak okiem sięgnąć, nie widać ani kropli wody! Nie chce się wierzyć, że to kadłuby prawdziwych okrętów, których spody tkwią, mimo wszystko, w wodzie. Raczej robi to wrażenie domów, wybudowanych na stałym lądzie i kształtem swym naśladowujących morskie olbrzymy.

Nagle jeden z tych olbrzymów — widocznie łamacz lodów — ożył i ruszył naprzód. Sunie oto po białem, śnieżnem polu, niby gigantyczny czołg, kruszący wszystko ciężarem opancerzonego dziobu. Przed nim i po jego bokach calizna lodu wciąż jeszcze robi wrażenie stałego lądu. Jedyne ztyłu po za nim zostaje szlak gęstej, strzaskanej kry. Ale szlak jest wąski — tak wąski, jak kadłub lodołamacza, i długi — tak długi, jak jego daleka droga. Po upływie pół godziny oddalający się z przystani lodołamacz zniknął na widnokręgu, natomiast pozostał na płaszczyźnie ośnieżonego lodu, niby ścieg na białem płótnie, wąski, długi, wijący się, jak wstęga, szlak kry — rzeka śródlądowa, którą teraz popłynęły inne okręty. Ale kra jest gruba, gęsta i skłębiona, a tęgi mróz ścina ją na nowo w bardzo szybkim tempie. Wobec tego, po paru godzinach rusza nowy lodołamacz, niby nowy czołg, wykreślający na lądzie łożysko nowej rzeki.

Ztyłu za nim sunie nowa karawana okrętów, wśród których znajduje się okręt rozbitków idei murmańskiej.

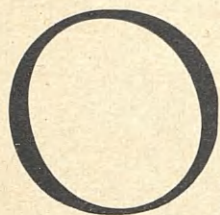
Z powodu późnej pory i wielkiego mrozu zeszliśmy z pokładu do kajut. Tu już nie widzieli ani pola lodowego ani pasma kry i nie odczuwaliśmy żadnego ruchu naprzód. Słyszeliśmy tylko ustawiczny grzmot i chrzęst, jakgdyby w burty statku waliły wciąż jakieś olbrzymie tarany. To dudniła i chrzęściła, roztrącana przez dziób okrętu, kra. Hałas był

taki, że minęła noc i pierwsza połowa dnia następnego, a nikt nie mógł zasnąć.

Wreszcie przyzwyczailiśmy się do tego, jak młynarz przyzwyczajają się do tarcia żaren i turkotu kół. Zaczęła się powszechna śpiączka.

Obudziliśmy się, gdy, miast ustawicznego grzmo-  
tu, zapanowała martwa cisza. Widocznie statek sta-  
nął. Ciekawe — dlaczego.

UWIĘZIENI W LODACH



kazało się, że po dwudniowej prawie podróży za lodołamaczem, utknęliśmy w zwałach lodowych tak zwanego gardła Białego morza. Jest to najwęższa i najtrudniejsza w zimie do przebycia część tego morza, łącząca je z oceanem Północnym, czyli Lodowatym. Burzliwy, ogrzany *Golfsztremem* ocean nie zamarza nigdy, natomiast obfituje w pewnych porach roku w góry lodowe i wielkie złomy kry, błaskające się po bezmiarze wód. Wiatry jesienne napędzają te kry i góry lodowe do gardła Białego morza, a tu zimowe mrozy zcinają je w jedną caliznę, tworząc nierówności i zatory. To też posuwaliśmy się naprzód coraz wolniej i z coraz dłuższymi przystankami.

Zapadła długa, podbiegunowa noc, a jednocześnie rozpoczęła się burza śnieżna i zadymka.

Wyszliśmy z Małaczewskim z kajuty. Na pokładzie było pusto, a dookoła — smętnie i ponuro, jak pod biegunem.

Lodołamacz dymił i sapał coraz silniej, jechał coraz wolniej, wreszcie stanął.

— My się stąd nie wydostaniemy — rzekł Małaczewski — aż na wiosnę. Trzeba będzie chyba zapolować na niedźwiedzie, aby nie umrzeć z głodu. Szkoda, że niema tu z nami Bałki murmańskiej. Ona

by nam gachów naprowadziła pod lufy. Niema co! zimujemy tutaj!

— Ale cóż znowu! Przecie przed nami — „Światogor“, największy w Rosji i na całym świecie łamacz lodów!

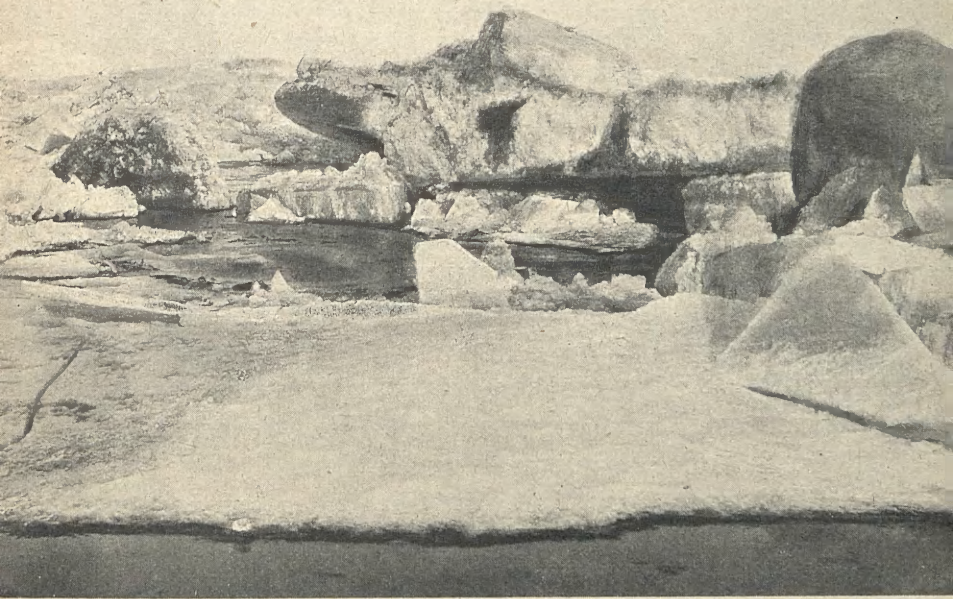
— Mój drogi, żaden dziadek do orzechów laskowych nie przełamie orzecha kokosowego. Spójrz, co się dzieje!

I rzeczywiście „Światogor“ kilka razy cofał się, aby odzyskać miejsce do rozbiegu, i rzucał się z furją naprzód, ale nie mógł pokonać napotkanej zapory. Wobec tego stanął i nasz okręt, i cała posuwająca się tym samym szlakiem karawana parowców.

Po chwili bezruchu, w której lodołamacz jakgdyby nabierał tchu do dalszej walki, usłyszeliśmy z jego pokładu przeciągły dźwięk syreny. Był to jakiś sygnał dla nas. Okręty posażerskie, a w tej liczbie i nasz, pozostały w miejscu, zaś lodołamacz cofnął się nieco, następnie zatoczył półkole i oddalił się, widocznie na poszukiwanie nowej trasy. Po chwili zniknął w mrokach nocy, pozostawiając nas własnemu losowi.

Oczekiwanie uprzyjemniało nam wycie kilkuset psów. Były to psy polarne, używane w tym kraju, prócz koni i reniferów, jako zwierzęta pociągowe. Koń nadaje się tu tylko w porze letniej, renifer — zimą i latem. Najlepszy jest jednak w zimie pies.

Kto, poco i dlaczego wiózł cały transport tych psów z Archangielska, którego okolice są nadzwyczaj zimne i śnieżne, do znacznie cieplejszego Mur-



mańska — tego nie wiem. Zresztą dopóki dudniły maszyny i o burty obijały się kry, ujadanie zupełnie do nas nie dochodziło, i nawet nie wiedzieliśmy, że na którymś tam okręcie za nami jada pleski.

Teraz — to prawdziwy koncert. Ma się wrażenie, że wyje tysiąc wilków.

Tak minęła godzina, dwie, trzy... Mimo nocy i zadymki śnieżnej, pokłady zaroily się od pasażerów. Wszyscy dopytywali się, co się stało. Denerwowali się zresztą i marynarze, bo od czasu do czasu parowce nasze, to pokolei, to chórem, wydawały z siebie niesamowite jęki syren, jakgdyby przywołując do siebie lodolamacz, który je opuścił bezradne po-

śródm lodowej pustyni. Istotnie, nikt nie wiedział, czy „Światogor“ oddalił się tylko na czas jakiś, czy też odjechał do portu archangielskiego po większą pomoc. W tym wypadku musielibyśmy tutaj tkwić co najmniej pięć dni, a tymczasem lód mógłby nas tak ścisnąć, że ściany okrętów nie wytrzymałyby naporu. Były to zwykłe parowce angielskie, nie przystosowane do tego rodzaju wypraw.

Na szczęście jednak w pewnej chwili na jeden z naszych chóralnych jęków o pomoc odezwała się gdzieś daleko w mrokach nocy inna syrena — widocznie z pokładu „Światogora“. Wszyscy odetchnęli z ulgą. A więc lodołamacz wraca!

Niebawem zamajaczyła sylwetka „Światogora“. Zbliżywszy się i stanąwszy ponownie tuż przed dziobem naszego statku, „Światogor“ dał znowu jakiś sygnał syreną. Tym razem na sygnał ten ruszyła z miejsca cała flotylla, i odtąd popłynęliśmy inną, nowoznalezioną drogą, już bez dłuższych przystanków.

XLIV

P O R T M U R M A Ń S K I



# P

o burzliwej nocy na oceanie Lodowatym zbliżamy się do portu Murmańsk i wpływamy do zatoki, zwanej Murmańską; w jej głębi ma się znajdować port właściwy. Portu długo nie widać, bo zatoka ciągnie się w nieskończoność i kręci, jak wąż, między okalającymi ją wzgórzami wybrzeża. Istny wyrostek robaczkowy oceanu.

Jedziemy już kilka godzin, oddawna straciliśmy z oczu ocean, a nie widzimy jeszcze portu. Przypominałoby to *fiordy* norweskie, gdyby wzgórze były bardziej skaliste.

Im dalej w głąb zatoki — tem więcej mgły. Wreszcie mgła przesłania nam już nietylko brzegi zatoki, lecz nawet dziób naszego własnego okrętu. Chociaż narazie nie spotykamy w zatoce najmniejszego nawet statku, nasza syrena okrętowa huczy i gwizdże coraz częściej i coraz przeciąglej; przytem jedziemy coraz wolniej. W istocie trzeba się posuwać bardzo ostrożnie, aby się w tych warunkach z kim nie zderzyć.

Ta mgła jest wytworem gwałtownego parowania ciepłej wody morskiej przy zetknięciu się ze znacznie zimniejszym powietrzem lądowym i powoduje intensywne ogrzewanie powietrza.

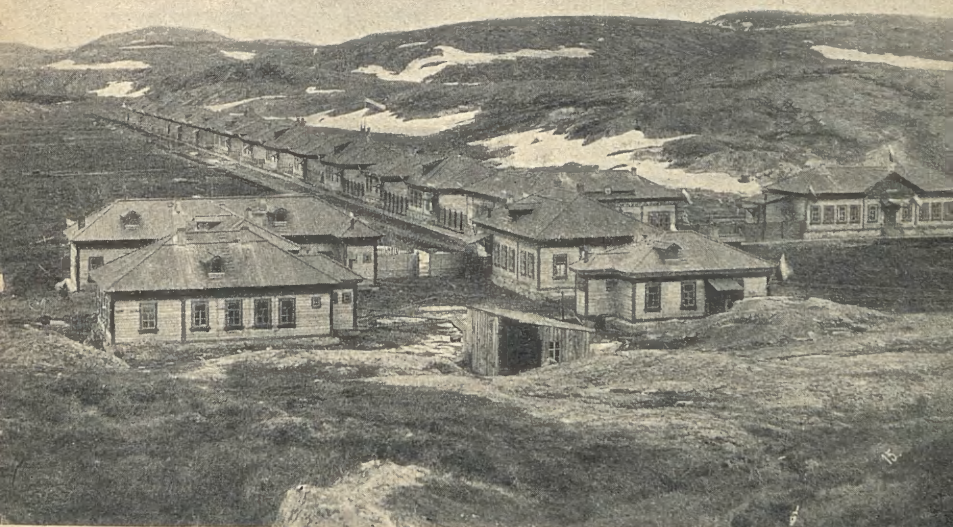
Wydaje się paradoksalne, że port Murmańsk,

położony o kilkaset kilometrów na północ od portu archangielskiego, nigdy nie zamarza i że klimat zimą jest tu łagodniejszy, niż, na przykład, w Zaleszczykach. W samej rzeczy przeciętna temperatura powietrza nie przekracza zimą dwóch stopni niżej zera, a temperatura wody jest o wiele cieplejsza.

Czyż nie trzeba na to czarodzieja? Czarodziejem tym jest ciepły prąd morski Gofsztrzem, opływający Anglię oraz Norwegię i docierający aż tutaj. Niestety, Gofsztrzem gubi się nieco dalej, gdzieś u północno-wschodnich wybrzeży Rosji europejskiej. Wskutek tego leżące na tej samej wysokości geograficznej brzegi Rosji azjatyckiej są już zupełnie niedostępne dla żeglugi.

To też rządy rosyjskie zawsze przywiązywały do Murmańska bardzo wielką wagę. Połączono go z krajem dwiema linjami kolejowymi; linją bezpośrednią Murmańsk—Petersburg i okrężną Murmańsk—Archangielsk—Wołogda, wiodącą dalej ku Moskwie lub Petersburgowi. Oba porty, to znaczy zamarzający Archangielsk i niezamarzający Murmańsk, odegrały olbrzymią rolę przy zaopatrzeniu Rosji carskiej w sprzęt wojenny i amunicję podczas wielkiej wojny. Niemieckie łodzie podwodne zapuszczały się aż tutaj, na ocean Lodowaty, i zatopiły niejednego angielski parowiec. Podobno wody pobraża dotychczas pełne są min.

Wskutek okupacji całego wybrzeża Murmanu i Białego morza przez aljantów, Sowiety były odcięte od swych północnych okien na świat. Aljanci ze swej



strony nie mieli tu teraz z kim handlować. To też w porcie stało tylko kilka kanonierek i okrętów handlowych angielskich.

Myśleliśmy, że po krótkim pobycie pojedziemy dalej. Niestety, zaszła jakaś zmiana, gdyż oświadczono nam, że do Anglii pojedziemy innym statkiem.

Zaczęło się wielce nudne i przykre, wielotygodniowe oczekiwanie.

---

Na wzgórzu „za miastem“, które właściwie świeżo powstało z małej wioseczki tubylczej, przerodzonej w większą osadę portową, stoi kilka kopulastych baraków: coś, jak wielkie budy dla zwierząt, lub pro-

wizoryczne schroniska letnie dla najbiedniejszych bezrobotnych i „bosiaków“.

W planie każdy barak tworzy wydłużony prostokąt, z przodu zaś ma kształt opartego o ziemię półkola. To półkole — to zwykła blacha, służąca za dach i za ściany legunom polskim w Murmańsku. Jedyne drzwi, a raczej drzwiczki, w których trzeba mocno schylić dumną głowę, aby wejść do środka, są stale zamknięte — w każdym baraku bowiem gnieździ się dwudziestu do trzydziestu oficerów, a jedyny piecyk grzeje póty tylko, póki się w nim pali.

Palić bez przerwy — niepodobna: brak opału, a zresztą dym wygryzłby oczy. Gdy zaś piecyk gaśnie, temperatura blaszanego dachu, a wraz z nią temperatura wnętrza, staje się niemal taka sama, jak nazewnątrz, to znaczy ma dwa lub trzy stopnie poniżej zera.

Nie trzeba dodawać, że o łózkach, materacach i pościeli niema mowy. Śpi się na drewnianych pryczach, a raczej na wspólnym drewnianym pomoście, biegnącym po obu stronach owego *wigwamu* przez całą jego długość, a przykrywa — kocami i kożuchami.

Dopytywanie o łazienkę wyglądałoby na kpiny. W całym Murmańsku niema nawet publicznej łaźni, a trudno kąpać się w przerębli.

Wydają nam nadal normalną rację angielskiego żołnierza, która jest najsutszą bodaj racją żołnierską na świecie, nikt więc na głód skarżyć się nie może. Natomiast każdy musi sam sobie gotować strawę

w kociołku. Kuchni niema żadnej, a kilkomiesięczne odżywianie się zimnem, konserwowem mięsem z puszek niejednego już przyprawiło o skorbut i wypadanie zębów. Zresztą stale jedzenie mięsnych konserw na zimno mogło przedewszystkiem przyprawić o wściekliznę.

Ponieważ w baraku było i tak pełno dymu, gotować wypadło na dworze.

Ma się rozumieć, że wszystko to są wielkie wygody w porównaniu z warunkami frontowemi na wojnie, zwłaszcza w archangielskich puszczech, ale co innego konieczności wojenne na froncie, a co innego niedbalstwo dowództwa angielskiego na tyłach.

Podporucznicy, porucznicy i kapitanowie, wszyscy razem i każdy z osobna, bez różnicy stopnia, klną, na czem świat stoi i wymyślają na te warunki i na wdzięczność aljantów w stosunku do pożegnanych tak pięknie w Archangielsku weteranów. Wymyślanie należy jednak raczej do „fasonu“ i pozy, niż wynika z nastroju. W rzeczywistości nastrój panuje wcale wesoły, przygnębienia — ani śladu. Zły jest w baraku tylko ten, na kogo padła kolejka rąbania drew i noszenia wody z przerębli. Poza tem do najgorszych funkcij należy podsycanie ognia w piecyku, gdyż z rana, kiedy temperatura najniższa, trzeba w tym celu wyskoczyć w bieliźnie z pod koców i, szcękając zębami, rozpalać ogień.

Skazaniec stara się robić to zawsze błyskawicznie, ale mniej mu nawet dokuczają mróz, niż docinki

Małaczewskiego, który zawsze obiera takiego delinkwenta za przedmiot urągowiska.

Tak mieszkaliśmy przez miesiąc, zanim nam oznajmiono że transatlantycki okręt „Steephen“ jest do dyspozycji polskich oficerów.

---

Odjeżdżamy do Francji. Za nami zostają: Murman, Archangielsk i ci, co będą tu kontynuowali polską legendę murmańską — oficerowie i żołnierze bataljonu podpułkownika Skokowskiego.

I zostają mogiły.

XLV

N A A T L A N T Y K U



Mineła burzliwa noc, a myśmy minęli przylądek Norwegji. To *Nord-Cap*, najbardziej na północ wysunięty cypl kontynentu. Tem samym pożegnawszy ocean Lodowaty, znaleźliśmy się na oceanie Atlantyckim.

Wyszedłem na pokład.

Jesteśmy na bezbrzeżnej wodnej pustyni, a zarazem na przedwiecznym, najszerszym gościńcu komunikacyjnym świata. Wszędzie — wolna droga dla naszego parowca, ale na każdej drodze, na każdym miejscu góry wody raz po raz usiłują nas zalać, obalić, roztrzaskać, zatrzymać.

Widok zaiste — niezwykle. Nieskończone szeregi wałów wodnych z szumem, sykiem i bulgotaniem pędzą — jeden za drugim — na spotkanie okrętu. Jak okiem sięgnąć, grzywy białej, rozwichrzonej piany kipią i załamują się na wierzchołkach fal. Im dalej od nas, a im bliżej horyzontu, tem mniejsze, częstsze i bliższe siebie są te białe linje piany morskiej, tem węższe zdają się przedzielające je pasma ciemno-granatowej wody i tem bardziej — zdawałoby się — zastygają w bezruchu coraz liczniejsze jej fałdy i fałdeczki. Jak gigantyczna, coraz drobniej plisowana granatowo-biała suknia. Na horyzoncie białe grzbieity najodleglejszych fal zlewają się już w jedno jasne

pasma, niby w biały szlak nad obrąbkami spódnicy starej Europy.

Im bliżej nas, tem więcej ruchu, życia i potęgi. Tem bardziej rosną i olbrzymieją nadbiegające fale i przepaściste między nimi odstęp.

Mam dziwne złudzenie, że statek, bujając się, trzeszcząc i stękając wszystkimi swemi wiązaniami, pozostaje jednak w miejscu, zaś fale płyną w odwrotnym kierunku, sunąc bez przerwy na nasze spotkanie. Każda nadchodząca fala kolejno chwyta okręt na bary, ciska go w przepaść poza siebie, a potem oddala się odeń tak samo, jak przedtem ku niemu dążyła. Sunące za nią siostrzyce równomiernie, monotonicznie powtarzają tę samą pracę przez godzinę, przez dobę, przez cały tydzień naszej podróży.

Lecz cóż znaczy ten tydzień, czy choćby ostatnie tysiąclecie istnienia oceanu! Żywioł robi wrażenie bezmiernego, nie tylko w przestrzeni, lecz i w czasie. Ocean jest chyba wieczny lub prawie wieczny. Od chwili jego powstania, które dokonało się miliony lat temu, szły te fale tak samo nieprzerwanemi, długimi szeregami w nieskończoną dal, jak idą dziś...

Zdaleka podobne są do siebie, jak „dwie krople wody“, choć każda składa się z milionów tonn. Zbliża się niema dwu fal jednakowych. Co nowa fala — to odmienny pióropuszczyk piany, inne boki przepaścistej głębi. Każde dwie sąsiednie fale przedzielone są wklęsłą olbrzymią otchłanią, która posuwa się ku nam, jak i inne otchłanie, wraz ze szczytami obrzeżających je bałwanów. Zjeżdżamy tedy dziobem wdół, by pod-

nieść się dziobem znów do góry, i znowu wdół i znów wgórze — i tak przez godzinę, przez dobę, przez cały tydzień naszej podróży.

Ztyłu, poza sobą, pozostawiamy na falach, na szlaku okrętu, wzorzysty, barwny i, jak ogon pawia, mieniący się ślad. W przeciwieństwie do wiekuistej żywotności i potęgi sędziwego oceanu, ślad okrętu jest efemerydą i ginie bezpowrotnie już paręset metrów za parowcem. Czy tak samo zaginie po nas wszelki ślad na oceanie życia? Hetmańskie duchy nie giną, lecz nato trzeba zostać hetmanem. A życie jest piękne i pociąga ku sobie młodość, tyleż, co urok hetmańskiej buławy. Jestem młody. Czuję w sobie moc spotkania się ze śmiercią, a jednocześnie — jakby niezdolność do owocnego życia i pracy, a przynajmniej do wielkiego życia i wielkiej pracy na miarę hetmańską, lub na miarę świętych pańskich. Dlaczego? Chyba dlatego, że w życiu grawituje się wciąż do użycia, a użycie obezwładnia, jak lepkie, grząskie bagno.

A zresztą wielkość i małość, podobnie, jak zło i dobro, nosi w sobie każdy człowiek. Ileż to razy na polu bitwy karły przeistaczają się w olbrzymy! Niechaj wyzwoli się Prometeusz w ludziach, a nastąpi raj na ziemi.

Raj na ziemi! Czy ten wieczny ocean doczeka kiedy takiej ery? To samo pytanie mógł sobie już tysiąc lat temu zadawać każdy szlachetny bard wypraw *wikingów*, każdy twórca pięknych sag i klechd normańskich, zdążając niegdyś tędy właśnie, wzdłuż skalnych wyrzeży Norwegji, na południe.

XLVI

N E W C A S T L E

# P

o tygodniu z górą podróży wzrok, nawykły do gubienia się w bezkresie, oparł się o ląd i wypoczął. Podpływaliśmy do brzegów szkockich, a mianowicie — do jednego z większych portów, *Newcastle*.

Jednocześnie zauważyliśmy, że fale były już mniejsze i wciąż się zmniejszały w miarę zbliżania do lądu, a bujanie okrętu stawało się coraz łagodniejsze, wreszcie — ustało zupełnie. Jakto dziwnie i niezwykle, że płyniemy po gładkiej prawie wodzie! A jeszcze dziwniejsze jest to, że pokład nie staje już dęba, raz tyłem, raz przodem, i że nic już nie ciska ciałem we wszystkie strony, jak to było stale w ciągu ostatniego tygodnia.

Zaiste, człowiek ma przedziwną łatwość przystosowywania się do wszelkich warunków! Gdyby nas wsadzono na dzień do wirującego bąka, to po jednym dniu kręcenia się wkoło siebie nauczylibyśmy się kręcić przez całe życie. Jest tylko jedna rzecz, do której nie można przyzwyczaić się nigdy — niewola. Żadne z pokoleń uciemnionej Polski nie mogło się z nią pogodzić; każde zrywało kajdany, każde ulegało przemocy, a jednak nic nie zabiło żywiołowego pędu ku wolności.

Na lądzie czekają nas gazety i upragnione wieści,

jak kruszą się resztki kajdan na wschodzie i zachodzie.

---

Wpływamy do portu. Las kominów i miasto okrętów. Na brzegu — dźwigi, elewatory, składy, doki, warsztaty, koleje, kolejki. Płyniemy godzinę, dwie godziny i nie możemy wydostać się z tłumu okrętów, statków, holowników, motorówek. Rzekłbyś, że to suma pracy i techniki całej cywilizowanej ludzkości, że to stolica wszystkich mórz i oceanów, a wraz z niemi — całej kuli ziemskiej.

A jednak jest to tylko jeden z wielu portów starej Anglii.

Mimowoli przychodzi na myśl ubóstwo zmartwychwstałej Polski. Bo co do nas, wiemy już, że będziemy mieli nad Bałtykiem albo tylko Gdańsk, albo — jeśli rokowania na konferencji pokojowej w Wersalu potoczą się niepomysłnie — pustą łacę piasku.

XLVII

L O N D Y N



S tolicę Wielkiej Brytanji trudno poznać z pierwszego rzutu oka. I nic dziwnego. Przede wszystkim, jak tu zobaczyć oblicze Anglji, gdy przesłania je, niby welon, przysłowiowa angielska mgła? Miast miljona domów, widzi się tylko niewyraźne kontury najbliższej kamienicy oraz kilkanaście wygolonych twarzy, które wylaniają się na szerokim chodniku o kilka kroków przed nami, aby zniknąć tuż za nami i ustąpić miejsca innym. Mgła wisi nad wszystkim i owija wszystko.

Gdyby mnie poproszono o scharakteryzowanie Londynu w dwóch słowach, odpowiedziałbym: ogrom i czystość.

Poza tem Londyn odznacza się niezwykle wielkim ruchem ulicznym, w którym jednak niema ani paryskiej gorączki, ani warszawskiej chaotyczności i bezcelowości. Na *Piccadilly*, czy innej *street* niepodobna spotkać w godzinach rannych ani jednego gapia, z gatunku, który widuje się w alei Ujazdowskiej lub na Nowym Świecie. Każdy Anglik ma minę starannie ubranego dżentelmena, który zawsze celowo gdzieś zdąża, ale nigdy się nie śpieszy.

Wreszcie Londyn słusznie chlubi się Westminsterem, British Museum i tysiącem innych, słynnych na

cały świat osobliwości, które jednak trudno zwiędzić dokładnie, mając tylko dwa dni czasu, jak my.

Słowem, siedmiomiljonowe miasto może wywrzeć niezatarte wrażenie na kogoś, kto tak, jak ja, nigdy go przedtem nie widział. Cóż, kiedy jeszcze większe wrażenie wywarła na mnie teraz pewna niewiasta, chociaż widywałem ją nieraz przedtem jeszcze, jako sztubak. Ale nie była to osobliwość londyńska, gdyż przybyła do stolicy Wielkiej Brytanji z maleńkiego Kowna.

Ponieważ była to kuzynka Sosnowskiego, poszliśmy we czworo wraz z jej *dame de compagnie* do jednej z miłych londyńskich restauracyjek. Lokal — nie większy od warszawskiego Boqueta, ale elegancja jego przewyższa nasz Bristol i Europejski. Kiedyś, gdy byłem mały, nie mogłem zrozumieć, dlaczego mój ojciec posyłał swą bieliznę do prania i krochmalenia ze Żmudzi do Warszawy, podczas gdy moje dziecięce koszule prała z powodzeniem na miejscu tak zwana Petryka. Okazało się, że tylko w Warszawie umiano nadać należyty połysk gorsowi frakowej koszuli.

Ale ta sława pralni warszawskich — to *tempo passati*. Podczas wojny światowej już w Warszawie było brudno.

Gdy teraz patrzę na angielskie obrusy i serwety, lśniące w powodzi światła, niby biały śnieg w promieniach słońca, myślę, że nie szkodziłoby posyłać bieliznę stołową do prania z Warszawy do Londynu.



Tego samego zresztą można życzyć restauracjom paryskim.

Śnieżystość nakrycia stołowego harmonizowała z zorzą, która przesłaniała mi oczy, gdym podziwiał na tle tłumu wielkonogich Angielek piękność i elegancję Polki z pod Kowna.

H E J, H E J, U Ł A N I !

# W

Londynie doszły do mnie z kraju pierwsze wieści o moim pułku. Jestem przecie, bądź co bądź, ułanem, jakkolwiek w skórze piechura. Zresztą piechura musiałem z siebie zrobić dlatego, że na Murmanie kawalerji polskiej nie było.

Istnieje już w odrodzonej Polsce odrodzony pułk ułanów Krechowieckich — mój pułk! Krew z krwi i kość z kości tych, co bronili Stanisławowa! Pułk nosi numer 1. — „z wieku mu i z urzędu ten zaszczyt należy“. Beliniakom przyznano dziedzictwo tradycyj szwoleżerskich wraz z nazwą 1. pułku szwoleżerów.

Okazuje się, że pułk mój brał chlubny udział w rozbrojeniu Niemców w Warszawie, a następnie niezwłocznie wyruszył na front pod Gródek Jagielloński. A więc na pomoc dzieciom lwowskim. Dobra nasza!

Już głośno w kraju od czynów Suszyńskiego, Dziewickiego, Podhorskiego, Bardzińskiego, Chmielewskiego, Racięckiego, Sędzimira i innych.

Wśród nowin radosnych nie brakło smutnych. A więc poległ pod Gródkiem mój druh serdeczny, dowódca 1. szwadronu, porucznik Dziewanowski — potomek rotmistrza Dziewanowskiego z pod Somozierry. Nadto padło około trzydziestu zabitych i ran-

nych ułanów. Co do koni, ubyło ich z szeregów blisko półtorej setki, co wskazuje, że walki w tym okresie musiały być uporczywe.

Jeszcze większe wrażenie wywarły na mnie wieści o losie Romera i Starzeńskiego, którzy wyruszyli z pułku z pod Bobrujska, udając się na Murman, i, jak wiadomo, tam nie dotarli. Rotmistrz Bronisław Romer był wodzem duchowym tych, którzy udawali się do Francji; organizował przedzieranie się poszczególnych partyj, udzielał przed wyjazdem instrukcyj i pokrzepienia. Dla mnie był tem bliższy, że wyznawaliśmy te same pojęcia oraz ideały i obaj pochodziliśmy ze Żmudzi. Spędziliśmy też wówczas niejedną wieczór, snując przewidywania i plany przyszłości. Nic dziwnego, że, żegnając się ze mną, pokazał mi wówczas swój list pożegnalny, pisany do rodziny. Dziś jeszcze dźwięczą mi w uszach całe ustępy tego wspaniałego listu:

„Bezgraniczne ukochanie narodu polskiego zda mi się być mojem jestestwem, treścią mojego życia, proszę więc Boga, żeby mi umysł oświecił i dał siły — służyć całą moją istotą ukochanej ojczyźnie, ku chwale której z największem szczęściem poniosę młode życie w ofierze...

Głęboka wiara w to, że wojna obecna da Polsce niepodległość, że ostoją wszelkiej niepodległości jest siła zbrojna narodu, wskazuje mi, by raz wziętej broni z rąk nie wypuszczać...

Pragnąłbym, by rodzina moja zawsze była żywym źródłem oraz niegasnącem ogniskiem miłości oj-

czynny, służbę ku szczęściu narodu polskiego uważała za swój pierwszy najświętszy obowiązek i w razie potrzeby była gotowa zawsze do wszelkich ofiar, jakich ojczyzna zażądać może, w myśl testamentu przodka naszego Matyasza, który „wolał wszystkie dobra i fortuny postponere, a wiary i cnoty Panu swemu i Rzeczypospolitej dotrzymał...

...Jeżelibym był chowany z honorami wojskowymi, proszę, by, poza wymaganiami przez regulamin wojskowy rzeczami, zagrano mi: „Hej! hej! ułani, malowane dzieci!“...

Niestety, nie stało się zadość nawet temu skromnemu życzeniu: nie było na pogrzebie ani trębaczy, ani tradycyjnej lawety. Rotmistrza Romera uwięziono w trakcie przedzierania się na Murman i rozstrzelano wraz z rotmistrem Starzeńskim i towarzyszącą im partją ułanów w głębi Rosji, nad brzegiem jeziora Ładoga.

...Hej! hej! ułani!...

XLIX

D U C H   L W O W A  
P O N A D   C I E Ś N I N Ą ,   L A   M A N C H E

# P

odjeżdżając koleją, do Portsmuthu, omawialiśmy z ozywieniem wieści z kraju.

— No, bracie — rzekł Małaczewski do Burhardta — już mi ten twój *Military-Cross* nie imponuje. Już nie jesteś bohaterem, boś za stary byk na to miano. Dwanaście, trzynaście lat — to jest wiek odpowiedni... Patrz, tu są w tłumaczeniu ostatnie depesze „Timesa“:

„W bohaterskiej obronie Lwowa w dalszym ciągu biorą udział dzieci i kobiety. Na górze, zwanej Górą Stracenia, odparto wszystkie ataki Ukraińców, potem, przeszedłszy do natarcia, odniesiono wielkie zwycięstwo“.

— Rzeczywiście! Morowe te lwowianki i te pędraki lwowskie! Niech żyje Lwów! — ryknął Burhardt.

— Niech żyje! — podchwyciło kilkunastu obecnych.

— A tu są, dostarczone przez konsula polskiego w Londynie nazwiska poległych dzieci i kobiet — dodał Sosnowski i zaczął wśród grobowego milczenia odczytywać długą litanję nazwisk.

— A no, musimy się śpieszyć, żeby odebrać karabiny z rąk tych dziewcząt i zastąpić je! — rzekł Burhardt. — Od 11-go listopada minęło już trzy mie-



siące, a my wciąż wałęsamy się po obczyźnie, jak błędni rycerze.

— Nie twoja w tem głowa, lecz generała Hallera — odparł Małaczewski.

— Dzielny to przewodnik, patrijota i statysta — wtrąca Strzetelski.

— Byle tylko prowadził nas co prędzej do Polski pod rozkazy Piłsudskiego!

— Mówią — prawil dalej poeta — że generał Haller formuje we Francji aż pięć dywizyj piechoty; to już cała armja. Entuzjam ochotników — nie do opisanja. Rdzeń tej armji — to polonja amerykańska, wychodźtwo polskie, różnorakie i różnostonowe, ale

zawsze jednakże w potrzebie. Kogoż tam niema? I taki Orlik, i taki Balcer z Brazylii, i taki typ, jak sienkiewiczowski latarnik lub awanturnik Beniowski. Zdarzy się i poszukiwacz złota, który, szukając kruszcu w ziemi, znalazł go nagle we własnem sercu.

Druga część — to ochotnicy, rekrutowani z jeńców Polaków z armji austriackiej, skoncentrowani w obozach włoskich i zwalniani stamtąd do formacyj polskich. Ci „z ziemi włoskiej do polskiej“ śpieszą, jak praojce, we francuskich mundurach.

Trzecia część — właściwa kadra tej armji — to stare, zahartowane w bojach pod sztandarem Francji weterany słynnego legjonu bajońskiego i 1-ej dywizji strzelców.

Wreszcie my — garstka murmańczyków, zbierająca wiarusów z pod różnych znaków, obieżyświatów i włóczęgów niepoprawnych...

Wszyscy poszli do kajut; zostałem sam. Jesteśmy na kanale La Manche. Płyniemy do Hawru, aby tam postawić nareszcie stopę na kontynencie, na gościnnej i pięknej ziemi francuskiej. Chociaż do Polski pozostało jeszcze parę tysięcy kilometrów, czujemy się już prawie w przedsiönku ojczyzny.

Pierwsza sala w tym gmachu, która nas czeka — to pełna słońca i kwiatów, ze wspaniałemi tarasami ku dwóm morzom, przyjazna i słoneczna Francja. Mimo to, śpieszno nam do o wiele skromniejszej, a przecie miłszej sercu, przestronnej i pełnej drogich pamiątek komnaty, którą uprzęta właśnie z rumowisk K t o ś z władczym marsem na czole i sumia-

stemi, jak wiechy, wąsami. Śpieszno nam, by bronić wschodniej ściany, czy zachodniej, czy może południowej, najeżdżanej zdradziecko przez sąsiadów. Nie wiemy jeszcze, dokąd nas rozkazy rzuca, ale jesteśmy przekonani, że rzuca zaraz...

Skrzy się w słońcu lazur nieba i ciemny błękit morza. Zamarł wietrzyk, usnęła fala, ale nie spocznie myśl, wałaca taranem w zagadkę przyszłości — przyszłości Lwowa, Wilna i Poznania. Przyszłości „Tej, co nie zginęła“.

Nie chcę spokoju, który mnie tu otacza. Nie chcę idylli morza, sielanki wysp południowych lub północnych. Chcę być tam, gdzie burza dziejowa bije piorunami w orlęta, a orlęta padają, jak „kamienie, przez Boga rzucone na szaniec“.

E P I L O G



# P

Przeszło kilkanaście lat. Każdy rok — to ocean nowych wrażeń. Mijają najpotężniejsze nawet przeżycia; mijają, jak krajobrazy w oknach pędzącego pociągu, wciąż nowe fakty i zdarzenia.

Śpieszymy w przeszłość, niby zadyszana lokomotywa. Jak ona — pracujemy, zatrzymujemy się na krótko i znów dążymy naprzód.

Pociąg dnia dzisiejszego unosi wszystkich w przestrzeń, a to, co minęło, wydaje się coraz dalsze, coraz mniejsze, coraz bardziej przymglone niepamięcią.

Rosną tylko cienie poległych i jaśniej polski czyn zbrojny, dokonany na wszystkich frontach.

Olbrzymie postać Wodza i Budowniczego.

I rośnie egzotyczna romantyka legendy murmańskiej.



	Str.
Słowo wstępne . . . . .	6
I. Pióro i karabin . . . . .	7
II. Niema gumy, niema wojny . . . . .	14
III. Małaczewski, jako wróż i znachor . . . . .	19
IV. Warcholstwo na uwięzi . . . . .	27
V. Sex - appeal . . . . .	34
VI. Piaskarze i pyskacze . . . . .	42
VII. Francuska dyscyplina . . . . .	48
VIII. Ostre pogotowie . . . . .	53
IX. Atak i obrona . . . . .	61
X. Wojna, żarcie i poezja . . . . .	69
XI. Trzech muszkieterów . . . . .	83
XII. W tłumie czubaryków . . . . .	91
XIII. Nadmiar tempa . . . . .	99
XIV. Wędrujemy borem — lasem... . . . .	106
XV. Zorza . . . . .	112
XVI. Herbata w lasku Ust-Waga . . . . .	116
XVII. Tam, na błoni, błyszczący kwiecie . . . . .	121
XVIII. Na tyłach . . . . .	129
XIX. Refleksje . . . . .	138
XX. Niedysponowany . . . . .	144
XXI. Człowiek i gwiazdy . . . . .	151
XXII. Wywczasy na froncie . . . . .	160
XXIII. Deus ex machina . . . . .	167
XXIV. Słońce zachodzi . . . . .	177
XXV. Na lewym skrzydle . . . . .	183
XXVI. Dyskusja pod Puczugą . . . . .	190
XXVII. O północy . . . . .	199
XXVIII. Na borsuka . . . . .	206
XXIX. Ballada . . . . .	215
XXX. Rzeczywistość wojenna na froncie archangielskim . . . . .	227

	Str.
XXXI. Noc podbiegunowa . . . . .	237
XXXII. Archangielsk . . . . .	241
XXXIII. Witaj, jutrzeńko swobody! . . . . .	246
XXXIV. Imię polskie . . . . .	250
XXXV. Kapitan Szul-Skjöldskrona . . . . .	254
XXXVI. Panny i dziewczynki . . . . .	260
XXXVII. „Nasze“, czy „wasze“ wojsko? . . . . .	270
XXXVIII. Chandra . . . . .	277
XXXIX. Mnie Wielce Miłościwy Panie i Bracie . . . . .	283
XL. Tehórz . . . . .	289
XLI. Uroda kalectwa . . . . .	295
XLII. Białe morze . . . . .	302
XLIII. Uwięzieni w lodach . . . . .	308
XLIV. Port murmański . . . . .	313
XLV. Na Atlantyku . . . . .	321
XLVI. Newcastle . . . . .	326
XLVII. Londyn . . . . .	329
XLVIII. „Hej, hej, ułani!“ . . . . .	334
XLIX. Duch Lwowa ponad cieśniną La Manche . . . . .	338
Epilog . . . . .	343



8-  
- 35

